PROF. JAN DUDA: TRAKTUJĄ NAS JAK PODBITE LUDY

PROF. LEGUTKO: TO MOMENT KRYTYCZNY

PYTANIA O WŁADYSŁAWA FRASYNIUKA. NIE TYLKO WSPÓŁCZESNE

AFGAŃSCY GÓRALE – CO DAJE IM SIŁĘ?

SIECI

POWRÓT TUSKA – WIELKI BŁĄD OPOZYCJI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 35 (457) 2021
30 sierpnia–5 września 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS
MANEWRY ZAPAD 2021

CZY ROSJA UDERZY JUŻ WE WRZEŚNIU?

WIELKIE ĆWICZENIA WYMIERZONE SĄ W „REPUBLIKĘ POLAR”. CZY CHODZI O POLSKĘ I CZY NASŁANIE IMIGRANTÓW TO POCZĄTEK AGRESJI?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

4. urodziny telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj w poniedziałek

30 sierpnia o godz. 19:15

na www.wPolsce.pl

Sprawdź, kogo nagrodzimy statuetkami **Złotych Kamer telewizji wPolsce.pl**

PARTNER ZŁOTY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

LOTOS

PGE

PGNiG

PARTNERZY

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

KGHM POLSKA MIEDŹ

PKO Bank Polski

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl f5a6496d03

Polski nie uniosą

„To jest wataha psów", „śmiecie po prostu" – tak Władysław Frasyniuk mówi o polskich żołnierzach. Dziennikarz Tok FM porównuje strażników naszych granic do zbrodniarzy spod znaku SS; parlamentarzyści opozycji sięgają po kolejne epitety: mówią o „zbirach" czy „esbekach". Próbują także rozerwać kordon graniczny od strony polskiej, korzystając z immunitetów. Wszyscy grają zgodnie ze scenariuszem Łukaszenki i Putina, którzy testują właśnie odporność państwa polskiego na pełzający atak hybrydowy. Jest jasne, że jeżeli rozerwą polską granicę za pomocą ludzkiej tarczy, to sięgną po kolejne prowokacje, być może z użyciem zielonych ludzików, a być może takie, których jeszcze sobie nawet nie wyobrażamy. Kreatywność wschodnich służb bywa imponująca – jeśli wyczują, że ofiara się cofa, jest słaba, poddaje się presji, uderzą mocniej i boleśniej.

Sensem obecnego zderzenia jest sprawdzenie bojem, na ile Mińsk i Moskwa mogą sobie pozwolić. Jest to oczywiste dla każdego, kto ma elementarne rozeznanie rzeczywistości. Elementem ataku jest także szantaż moralny, który próbują stosować wobec Polski. Szantaż obrzydliwy, bo to przecież władze w Mińsku ściągnęły przybyszów na Białoruś i wysłały na granicę z Polską. Ale po szantaż moralny sięgają również aktywiści i politycy opozycji, obrażając żołnierzy, chcą odebrać im moralne prawo do działania. I chcą zdemolować polskie instytucje. W istocie postulują, by słuchali poleceń płynących z TVN i „Gazety Wyborczej", a nie od dowódców i konstytucyjnych ministrów.

To nie pierwsze tego typu działania szeroko pojętej opozycji. Po przegranych wyborach sięgała po każdą możliwą broń w walce z polskim rządem. Celowo niszczono wizerunek kraju za granicą. Cynicznie kreowano chaos prawny. Brutalnie atakowano policję strzegącą najważniejszych instytucji państwowych. Prowokowano zamieszki, szukając krwi. Czyni to nadal, choć sytuacja zewnętrzna Rzeczypospolitej staje się coraz trudniejsza. Joe Biden okazał się prezydentem słabym, niszczącym w zastraszającym tempie prestiż Stanów Zjednoczonych. Niemcy coraz śmielej budują sojusz z Rosją, omijając Polaków i Ukraińców. Rosja nie skrywa agresywnych zamiarów.

W tym samym czasie państwo polskie zmuszone jest do walki na dwóch frontach: tym granicznym i tym wewnętrznym. Nie po raz pierwszy w naszych dziejach. Atak od wewnątrz jest równie brutalny, jak ten ze Wschodu: żołnierzom grozi się zemstą. To w istocie odpowiednik strzału w plecy. Trzeba pytać: do czego posunie się opozycja w razie wielokrotnie większych przeciążeń? Czy jeżeli trzeba będzie strzelać do napastników, posłowie opozycji także będą biegali po okopach i łapali za karabiny naszych żołnierzy?

Niestety, jest coraz bardziej prawdopodobne, że przesuwająca się na lewo opozycja nie udźwignie polskiej niepodległości, nie zabezpieczy suwerenności. Wirus infantylizmu i marksizm kulturowy zrobiły swoje. To obóz w znacznie gorszej kondycji niż w roku 2007, gdy poprzednio obejmował władzę.

Takie wybryki, jak bieg posła Koalicji Obywatelskiej Franciszka Sterczewskiego, pokazują, że duża część opozycji przestała myśleć politycznie. Porzuciła zdrowy rozsądek na rzecz hucpy i sterowanych medialnie emocji. Nad tym szczególnym zoo nie zapanował nawet Donald Tusk, którego stanowisko w sprawie ochrony granicy zostało otwarcie zlekceważone przez posłów happenerów. Opozycja na wygłupach nie zyska. Ale państwo polskie też traci: na powadze i prestiżu.

Dlatego władze muszą znaleźć sposób na odsunięcie opozycyjnego cyrku od granicy z Białorusią i jej punktów zapalnych. Na stosowną odległość. Być może trzeba sięgnąć po rozwiązania prawne przewidziane dla sytuacji nadzwyczajnych. Być może trzeba odizolować większe fragmenty naszego terytorium. Być może powinny zostać zablokowane drogi w pobliżu koczowiska podesłanych przez Mińsk imigrantów. Coś zrobić trzeba. Jeśli Polska zdecydowała się podjąć wyzwanie i bronić swojej oraz unijnej granicy, musi to robić z pełną determinacją. Musi szanować samą siebie.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl f5a6496d03

SIECI spis treści

28 *Cham na wojnie z Polską* — *Marek Pyza, Marcin Wikło*

40 Z prof. Janem Dudą *rozmawia Dorota Łosiewicz*

65 Mokra, czyli jak wyhamowano blitzkrieg *Wojciech Lada*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GŁADKI I GŁADSZY**
Krzysztof Feusette

9 **AMANTADYNA JEST BEZPIECZNA. TO JUŻ WIEMY NA PEWNO**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WRZEŚNIOWA MOBILIZACJA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **HOŁOWNIA WYPEŁNIŁ ZADANIE**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA KAROLINY PILARCZYK**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ETYKA W LABORATORIUM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **KOSMICZNI POLITYCY PO**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

20 **ZAPAD 2021. KIEDY I GDZIE UDERZĄ ROSJANIE?**
Marek Budzisz

24 **CZAS PRÓBY**
Konrad Kołodziejski

28 **CHAM NA WOJNIE Z POLSKĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

32 **GDZIE JEST GRANICA?**
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

34 **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski

38 **TUSK U SZYI**
Stanisław Janecki

40 **Z PROF. JANEM DUDĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

44 **BRZEMIĘ POLSKOŚCI**
Bronisław Wildstein

48 **TRUDNY POWRÓT DO SZKOŁY**
rozmowa Aleksandry Jakubowskiej

ŚWIAT

52 **SYN MARNOTRAWNY**
Aleksandra Rybińska

54 **KRYMSKA OFENSYWA ZEŁENSKIEGO**
Jan Rokita

57 **AFGAŃSKA KONCEPCJA WOLNOŚCI**
Ewa Kędzierska

HISTORIA

61 **MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU**
Dodatek historyczny

65 **MOKRA, CZYLI JAK WYHAMOWANO BLITZKRIEG**
Wojciech Lada

69 **Z JOANNĄ KRÓL**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

73 **STRAŻNIK PAMIĘCI**
z Eleonorą Szafran
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

76 **Z TOMASZEM ZYSKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

80 **HEGEMON I PLAN**
Robert Tekieli

81 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

82 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

94 **JAK CYFROWO ROZWIJAĆ CAŁY REGION**
rozmowa Maksymiliana Wysockiego

PODRÓŻE

98 **MOJE SZLAKI: PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **WOJNA PRZEZ POŚREDNIKA**
Wojciech Reszczyński

102 **KULTURA NOWEJ OKTAWY**
Aleksander Nalaskowski

103 **DEEWOLUCJA**
Wiktor Świetlik

104 **ROBAK BEZKARNOŚCI**
Ryszard Makowski

105 **KŁOPOTY WIEKUISTE...**
Leszek Długosz

106 **ZAKAZAĆ OBRAŻANIA III RP!**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 2/0721/F

eprasa.pl f5a6496d03

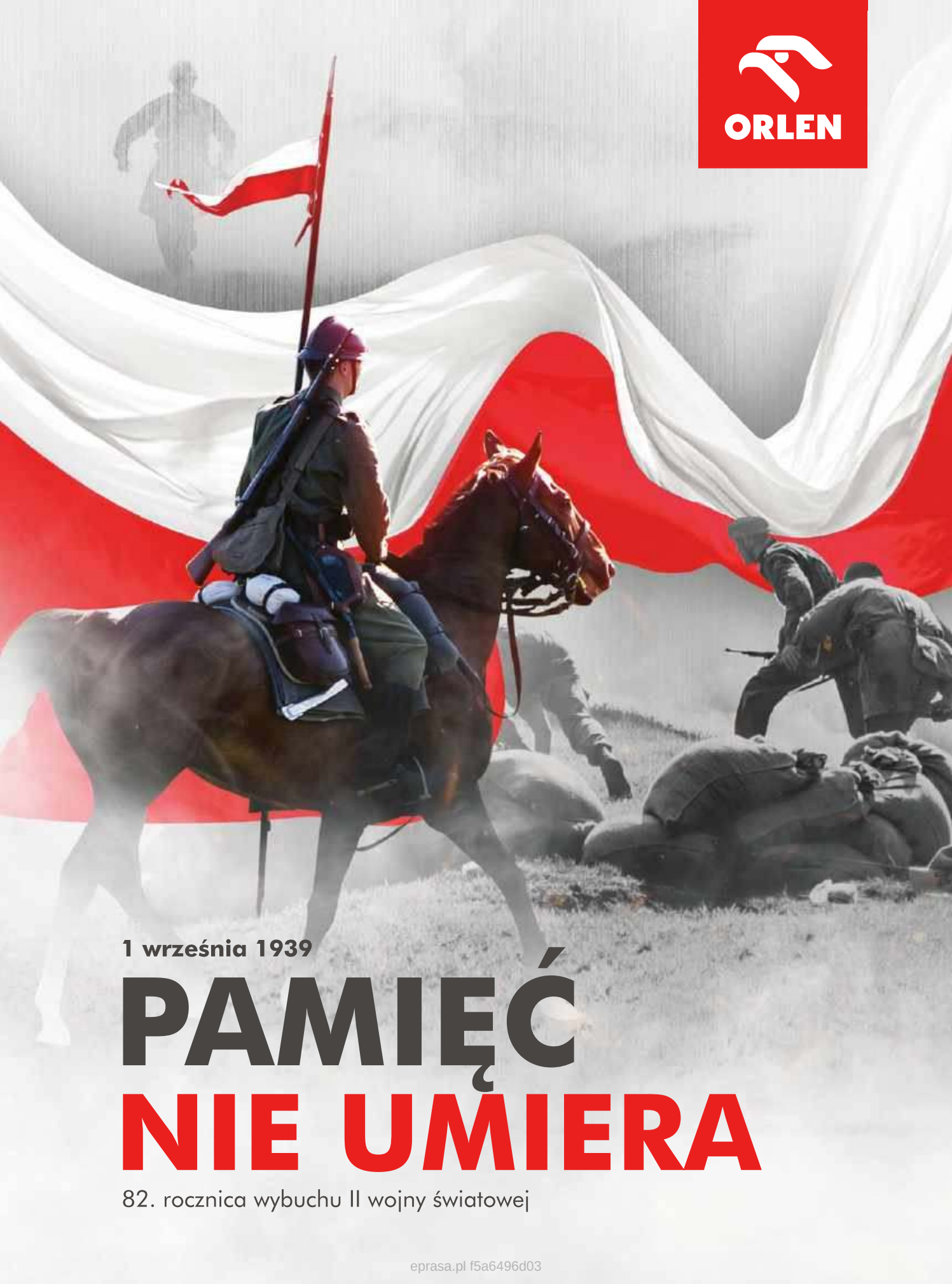

eprasa.pl f5a6496d03

Sygnalista nadaje

Lech Wałęsa wsparł Władysława Frasyniuka, który określił polskich żołnierzy broniących granicy z Białorusią jako „watahę psów" i „śmiecie". „Podpisuję się pod tym, co powiedział. Jeśli Frasyniuk by się tego wyparł, mogę przyjąć, że ja to powiedziałem" – stwierdził były prezydent, a więc również były zwierzchnik sił zbrojnych, dodając: „On zastosował radykalne słownictwo i dlatego jest głośno". Jest głośno, ale też pachnie wyjątkowo brzydko.

Janusz Lewandowski, minister ds. prywatyzacji w rządach Suchockiej i Bieleckiego, później unijny komisarz: „Na granicy z Białorusią, z woli rządzących hańbiony jest polski mundur. W przeszłości był hańbiony wielokrotnie, ale to było za komuny. (...) to jest kraj narodzin Solidarności, rządzony przez ludzi, których gęba jest pełna chrześcijańskich frazesów. Pora teraz, aby ten nieco zabrudzony polski mundur odzyskać od Błaszczaka, Kamińskiego i Kaczyńskiego". Odzyskać, a potem pewnie sprzedać. Oni tylko to umieli – wyprzedawać.

Z kolei ***Szymon Hołownia*** wsparł posła KO, który usiłował przedrzeć się przez granicę, ale nie zdołał, bo się przewrócił. „Z kogo wy się śmiejecie, mędrcy wielcy? Z Franka Sterczewskiego, który wczoraj próbował zrobić ludzką rzecz, dostarczyć tym ludziom jedzenie, picie, lekarstwa, zachować się tak, jak powinien zachować się każdy człowiek, a na co dzisiaj Rzeczpospolitej nie stać. Z niego się śmiejecie, że robi to, co powinien zrobić każdy człowiek?" – pyta lider Polski 2050. Przy takiej postawie to do 2050 r. Polski na pewno nie będzie.

Radosław Sikorski: „Oświadczam, że za sąsiada wolałbym jednego z moich afgańskich tłumaczy niż Krystynę Pawłowicz". Sędzia Trybunału Konstytucyjnego odpowiedziała następująco: „Nawet to rozumiem… Ja się w pana okolice wprawdzie nie wybieram, ale pana koledzy z Talibanu pewnie i owszem… Szkoda tylko tego polskiego dworku… No, to Allah z panem…". Koncepcja słuszna: imigrantów należy osadzać przy tych, którzy głośno się tego domagają.

Opozycja tak się rozochociła we wsparciu dla Łukaszenki, że Donald Tusk zarządził odwrót. „Polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione. Kto to kwestionuje, nie rozumie, czym jest państwo" – ogłosił w mediach społecznościowych. Europosłanka KO ***Róża Thun*** nie kryła zdumienia: „Donald, czytam ten wpis, w kontekście sytuacji w Afganistanie i informacji docierających od NGOsów, które są dziś na naszej wschodniej granicy, i... nie pojmuję!". Cóż, nie jest to zaskoczenie.

Iwona Hartwich, również posłanka KO: „Wpuśćcie w końcu tych ludzi do Polski! Kim są, ustali się później! Od czego macie służby?". Czy do swojego domu, pani poseł, też najpierw wpuszcza obcych, a dopiero potem pyta, kim są?

Bartosz Kramek z Fundacji Otwarty Dialog na łamach „Gazety Wyborczej": „Drut kolczasty staje się nowym symbolem Polski. Dewiza »Za wolność naszą i waszą« brzmi dziś równie szyderczo, jak »Arbeit macht frei«". Do tego wezwanie: „Pojedźmy tam i symbolicznie przewróćmy (...) te zasieki. Zaprotestujmy – czynnie i zdecydowanie, w duchu obywatelskiego nieposłuszeństwa. Barierki są tylko w głowach". Śmiało. Najlepiej od strony białoruskiej. Sądzimy, że przepustkę wydadzą. To (nieformalni?) sojusznicy.

Bo na Białorusi podejście do granicy nie jest proste. „Przecież to jest białoruska strefa nadgraniczna. To nie jest, jak w Polsce, że można sobie siedzieć na samej granicy. Żeby przeby-

eprasa.pl f5a6496d03

wać w strefie nadgranicznej na Białorusi – i to od zawsze tak było – trzeba mieć specjalną przepustkę. Wystarczy, że ekipa telewizyjna tam wjedzie, to jest od razu wywożona za uszy, a jeszcze jak się tam dobrze narazisz, to jesteś od razu deportowany, więc tu nie ma mowy o żadnym siedzeniu na granicy, z którym biedne służby łukaszenkowskie nic nie mogą zrobić" – tłumaczy Agnieszka Romaszewska, szefowa TV Biełsat, w rozmowie z portalem wPolityce.pl. Może pożyteczni idioci w końcu otrzeźwieją?

Urszula Sara Zielińska, posłanka Koalicji Obywatelskiej z ramienia partii Zieloni, zorganizowała zbiórkę darów dla imigrantów: „Kochani, daliśmy radę! BRAWO! Od wczoraj do biura poselskiego przychodzą cudowne osoby z pomocą dla ludzi, którzy utknęli na granicy. Mamy już mnóstwo rzeczy! Dziękuję!". Na zamieszczonych zdjęciach widać m.in. puszki z... wieprzowiną. Cóż, służby łukaszenkowskie są lepiej zorientowane niż ich polscy pomocnicy: dostarczają ludziom przywiezionym z Iraku puszki z wołowiną. Fachowcy.

Do niektórych już dotarło, że zwiezieni samolotami imigranci są bronią, po którą sięgnął reżim Łukaszenki. Magdalena Adamowicz: „ŻADNE względy ani okoliczności prawne, formalne czy nawet wojskowe, NIE zdejmują z nas obowiązku podania pomocnej dłoni cierpiącemu człowiekowi. Nawet na wojnie opatruje się rannych żołnierzy". Tak, ale po bitwie, a nie w czasie, gdy trwa walka.

Piotr Gursztyn opisał w mediach społecznościowych prześladowanie dzieci rodziców kojarzonych z PiS w warszawskich szkołach. „Ponieważ dzieci mają prawicowych rodziców to przestały być zapraszane na klasowe kinder-balle. Koledzy i koleżanki są zbyt mali, by wiedzieć o polityce, ale ich rodzice zdecydowali za nich. Tolerancja a la Miasteczko Wilanów. Żeby było jasne: dotyczy to dzieci z pierwszych klas podstawówki". Cóż, skoro ma się serca otwarte na imigrantów, to już nie starcza miejsca na życzliwość dla rodaków.

Prześladowanie dzieci za poglądy rodziców popiera były poseł Nowoczesnej Piotr Misiło: „I słusznie. PiS to bandyci i nie wolno ich wspierać. Rodzice tych dzieci muszą mieć świadomość, że czynią źle i że ostracyzm, to ich najmniejszy problem, bo tych biorących bezpośredni udział w przestępstwach PiS, czeka odpowiedzialność karna". Gdy zwrócono mu uwagę, że łamie zasady tolerancji, odpowiedział: „To nie ma nic wspólnego z tolerancją. PiS łamie prawo, Konstytucję (...). Dzieci muszą o tym wiedzieć, a rodzice mieć świadomość tego, że czynią zło zadając się z tymi bandytami". Jeszcze tylko ciemne koszule, pochodnie i będzie jak w latach 30. u naszych zachodnich sąsiadów.

„Ponure psychole", „Bydlaki! Brak na wasze kłamstwa innych słów – na szczęście już niedługo", „autorytarne zapędy PiS osiągnęły w tej kadencji apogeum", „dużo uśmiechu, a jest z czego się radować, bo każdy poranek to jeden dzień mniej do utraty władzy przez PiS. Rozkład tego mafijnego układu skończy się szybciej niż się spodziewacie", „banda socjalistów, umysłowych karłów na czele z zakompleksionym pseudointelektualistą", „Powiedzieć zdrajcy narodu to mało! Brzydzę się wami i gardzę takimi postawami" – tak Robert Anacki, do niedawna wiceszef Porozumienia, opisuje w mediach społecznościowych Prawo i Sprawiedliwość. Można powiedzieć: Porozumienie w pigułce.

Klaudia Jachira, posłanka KO znana z licznych prowokacji, weźmie udział w Campusie Polska Przyszłości – zapowiadanej od dawna politycznej imprezie Rafała Trzaskowskiego. Opowie m.in. o tym, „jak nie bać się wyrażać własnych myśli i robić to w taki sposób, by nas słuchano? Krótko mówiąc – jak ominąć system?". Celna ilustracja zakłamania, które mamy w Polsce. Bo przecież to nie myśli, a wykrzywione echo przekazu medialnego. To nie omijanie systemu, ale jego obrona i wzmacnianie. A do tego szydzenie z ofiar tragedii smoleńskiej. Jak to mawia Bronisław Wildstein, żyjemy w świecie na opak, odwróconym, gdzie sensy i wartości są postawione na głowie, gdzie nienawistnicy organizują się, by walczyć z nienawiścią.

W świecie, który dziecinnieje w zastraszającym tempie, warto przywołać słowa Prymasa Tysiąclecia z 1976 r., gdy przestrzegał, że Polska musi się zająć w pierwszej kolejności własnymi dziećmi: „Nie oglądajmy się na wszystkie strony. Nie chciejmy żywić całego świata, nie chciejmy ratować wszystkich. Chciejmy patrzeć w ziemię ojczystą, na której wspierając się, patrzymy ku niebu. Chciejmy pomagać naszym braciom, żywić polskie dzieci, służyć im i tutaj przede wszystkim wypełniać swoje zadanie – aby nie ulec pokusie »zbawiania świata« kosztem własnej Ojczyzny". Nic dodać, nic ująć. Przypominamy: beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego i matki Elżbiety Róży Czackiej odbędzie się 12 września o godz. 12.00 w Warszawie w Świątyni Opatrzności Bożej.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk, M. Czutko

eprasa.pl f5a6496d03

Gładki i Gładszy

KRZYSZTOF FEUSETTE

Gładki: Dobra, możesz ściągnąć opaskę. Albo czekaj, ja ci ściągnę... I co powiesz?
Gładszy: Misiek, gdzie ty mnie przywiozłeś? Co to ma być?
Gładki: Krzaki. Las. Przyroda. Dawaj, Darek, biegniemy, bo się spóźnimy.
Gładszy: To my mamy być na konkretną godzinę?
Gładki: No, sorry, kamery nie poczekają.
Gładszy: Jakie kamery? Monitoring?
Gładki: Tak, w lesie. Ty jak coś powiesz...
Gładszy: Czyli to jednak nie będzie hotel, tylko pensjonat?
Gładki: Jaki znowu pensjonat? Co ty piłeś?
Gładszy: Nic, liczyłem na all inclusive...
Gładki: Ale gdzie?
Gładszy: No, jak to gdzie?! Tam, gdzie mnie zabierasz!
Gładki: Czyli?
Gładszy: Myślałem, że to niespodzianka! Zadzwoniłeś, powiedziałeś, że jedziemy za granicę, no, to jedziemy...
Gładki: Nie „za granicę", a na granicę!
Gładszy: Żartujesz? To po co ja kąpielówki brałem? Siedem par, co mi jeszcze z aquaparku zostały... A na jaką?
Gładki: Białoruską. Ale spokojnie, przerzucimy pizzę i wracamy. A wieczorem basen w Warszawie.
Gładszy: A czemu my mamy za dostawców robić?
Gładki: Bo to jest gest solidarności...
Gładszy: Z właścicielem pizzerii?
Gładki: Nie, z tymi Arabami. To znaczy Afgankami z kotkiem. To znaczy Irakijczykami. Albo Somalijkami. Wszystko jedno.
Gładszy: A czemu pizzę, nie spaghetti?
Gładki: Bo łatwiej się niesie. Jak ty to trzymasz? Całą pogiąłeś!
Gładszy: Nie moja wina, że parzy. Poza tym, skąd wiesz, że to nie jest pizza w kształcie rogala calzone?
Gładki: Bo wzięliśmy hawajską.
Gładszy: Czyli z szynką?
Gładki: No i...
Gładszy: Szynka to wieprzowina.
Gładki: No i... O, kurczę, faktycznie!
Gładszy: Też bym nie wiedział, ale słyszałem, że Jachira chce im świńskie konserwy podrzucić, a jak ona coś wymyśli, to jest paw na pewno.
Gładki: Brawo, my, że to wyłapaliśmy. Ale nie mamy innej.
Gładszy: To może wyskubiemy?
Gładki: Nie będziemy niczego skubać. Przejdziemy się z kartonami i chwatit, i tak nas nie przepuszczą. Aha, jakby zaczęli strzelać, to wracamy...
Gładszy: Kanałami. Jak w powstaniu, w 1986, albo w stanie wojennym, rok później...
Gładki: Przestań podżerać!
Gładszy: No co? Tylko wędlinę wyjadam. Wiesz, co by się z nami stało, jak by to znaleźli na granicy ci muzułmanie z Białorusi? To nie są goście, których wypchniesz z toalety...
Gładki: Nikogo nie wypychałem! Ile razy mam ci powtarzać, że strasznie mi się wtedy chciało, a jeszcze mnie zarzuciło na kabinę, więc usiadłem na desce, zanim spodnie zdjąłem. Gość się wydziera, że pan tu nie stał, więc mu telefon, bach, na ziemię. To znaczy – on tak twierdził, a to jest słowo przeciw słowu, bo ja nic nie pamiętam.
Gładszy: A widzisz, a ja z kolei – zawsze i wszystko. O dwunastej w nocy możesz mnie obudzić, a ja ci powiem, czego teraz się nie mówi. Te narracje tak szybko się zmieniają, że człowiek praktycznie cały czas musi pamiętać, o czym miał zapomnieć... O czym to ja mówiłem? O, właśnie. A pamiętasz, jak żeśmy głupa rżnęli pod Narodowym, żeby zamknąć szpital, a potem, żeby otwierać?
Gładki: Nie tak było.
Gładszy: Widzisz? Ty już to masz automatycznie. Może zrobimy postój? Uchodźcy nie zające, nie uciekną. A nawet jeśli, to po kocie znajdziemy.
Gładki: Niby jak?
Gładszy: Wołasz: „Kici, kici" albo karmą szeleścisz i kot przybiegnie. Patrzysz, skąd wyszedł, i tam już masz Irak, Afganistan, Somalię, co chcesz.
Gładki: A wszystko na Białorusi.
Gładszy: To oni nie są w Polsce?
Gładki: W Polsce, nie w Polsce. Cholera wie, gdzie ta Polska leży tak dokładnie. Powinien być pas ziemi niczyjej...
Gładszy: A jak niczyjej, to znaczy, że naszej. W sumie logiczne, bo kimże my jesteśmy na arenie świata. Dobrze mówię?
Gładki: Ty wszystko robisz dobrze. Ale ananasa już zostaw. Może TVN będzie chciał tę pizzę pokazać?
Gładszy: Powiemy, że dziki zjadły.
Gładki: Tutaj nie ma dzików.
Gładszy: To co tam biegnie?
Gładki: Tamten? O, już leży... Nie poznajesz? Sterczyński? Sterczewicz? Na pewno coś ze „Stercz...". Od nas z klubu.
Gładszy: A co on tu robi?
Gładki: Nie wiem. Pewnie też dostał zaproszenie.
Gładszy: Od kogo?
Gładki: Skąd mam wiedzieć? Czy ja znam cyrylicę? Esemes mi się wyświetlił, potem zniknął. No nic, trzeba ruszać, bo wkrótce zrobi się gorąco. Podobno nadciąga huragan...
Gładszy: Jak „Katrina"?
Gładki: Jak Lempartowa.
Gładszy: To co? Może jednak kawałeczek? No, weź, bądź człowiekiem. Przecież tego w pięć minut nie będzie! A myśmy się szynką przejmowali...

eprasa.pl f5a6496d03

Amantadyna jest bezpieczna. To już wiemy na pewno

W badaniu klinicznym, które ruszyło realnie w maju 2021 r., wzięło dotychczas udział kilkudziesięciu pacjentów

Coraz częściej w mediach społecznościowych pada pytanie o wyniki badań nad amantadyną i dlaczego w tej sprawie zapadła cisza. Ano dlatego, że wszyscy czekają na wynik badania klinicznego, które toczy się dość wolno. Prawie wszyscy.

„Wyniki klinicznych badań nie potwierdzają skuteczności amantadyny w leczeniu COVID-19" – ogłosił niespodziewanie podczas konferencji prasowej minister zdrowia Adam Niedzielski. Problem w tym, że ktoś musiał wprowadzić pana ministra w błąd, pełnych wyników badania klinicznego jeszcze nie ma. Nikt więc nie mógł dojść, przynajmniej na ten moment, do takiego wniosku. To, co natomiast wiemy już na pewno, to to, że lek jest bezpieczny, w badaniach stwierdzono bowiem „bezpieczeństwo procedury".

W badaniu klinicznym, które ruszyło realnie w maju 2021 r., wzięło dotychczas udział kilkudziesięciu pacjentów. Liderem badania został Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny Nr 4 w Lublinie, a nad całością czuwa prof. Konrad Rejdak, kierownik Kliniki Neurologii SPSK Nr 4 w Lublinie. Projekt otrzymał 6,5 mln zł dofinansowania z Agencji Badań Medycznych. W badanie zaangażowały się także inne ośrodki: z Lublina, Warszawy, Rzeszowa, Grudziądza, Wyszkowa oraz Kalwarii Zebrzydowskiej. Równolegle toczy się inne badanie, na czele którego stoi prof. Adam Barczyk z Górnośląskiego Centrum Medycznego.

„Dotychczas kilkudziesięciu pacjentów wzięło udział w badaniu klinicznym. Docelowo powinno liczyć ono 200 uczestników, ale myślę, że do opracowania wstępnych analiz wystarczające będzie około 100 osób" – powiedział w rozmowie PAP prof. Konrad Rejdak.

Profesor zapytany o wstępne obserwacje w grupie pierwszych uczestników badania odpowiedział, że „stwierdzono bezpieczeństwo procedury".

Na razie nie znamy wyniku całego badania, ponieważ podawany lek jest zaślepiony, co oznacza, że nie wiadomo, czy dany pacjent przyjmował amantadynę czy placebo. Dopóki próba nie zostanie odślepiona, nie możemy mówić o wyniku badania. Można za to mówić o bezpieczeństwie, ponieważ dotychczas u żadnej osoby nie zaobserwowano działań niepożądanych związanych z procedurą leczenia. Nie potwierdziły się więc strachy na lachy i czarny PR niektórych ekspertów o toksyczności preparatu i straszliwych skutkach ubocznych jego stosowania.

Czytelników może dziwić, że dotąd w badaniu wzięło udział dopiero kilkudziesięciu pacjentów. Fakty są jednak takie, że badanie i przygotowanie dokumentacji do niego są niezwykle skomplikowane. Projekt, choć resort zdrowia zapowiedział badanie w grudniu, mógł realnie ruszyć dopiero w końcowej fazie zimowej fali zachorowań, gdy spadała liczba zakażeń, a szpitale były przepełnione bardzo ciężko chorymi pacjentami z COVID-19, co blokowało cały system opieki zdrowotnej. Natomiast kryteria badania obejmowały pacjentów z wczesną fazą infekcji, a więc takich, którzy do szpitala nie mogli się dostać.

Bez wątpienia jednak wyniki badania są bardzo ważne, ponieważ nie wszyscy mogą się zaszczepić z powodów zdrowotnych, a dziś już bez najmniejszych wątpliwości wiemy, że osoby zaszczepione także chorują (choć znacznie rzadziej, a po szczepieniu maleje ryzyko zgonu i hospitalizacji, co potwierdzają badania z Wielkiej Brytanii czy USA). Nie wiemy jeszcze w ogóle, czy w przypadku osób zaszczepionych nie wystąpią przypadkiem opóźnione powikłania ze strony układu nerwowego, nawet przy łagodnym przebiegu choroby.

Warto przypomnieć, że polscy naukowcy nie pracują sami. Prof. Rejdak wraz z zespołem z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie weszli w skład międzynarodowego konsorcjum planującego badania nad skutecznością amantadyny i jej pochodnych w leczeniu infekcji SARS-CoV-2. W projekt zaangażowane są też uniwersytety w Kopenhadze, Barcelonie, Atenach, Aarhus i Leuven. „Do całości projektu weszły dwa badania: nasze, jako pierwsze zarejestrowane na świecie oraz analogiczne badanie toczące się obecnie w Danii jako część kliniczna" – przypomniał neurolog w rozmowie z PAP.

Jedyne, co nam pozostaje, to uzbroić się w cierpliwość i czekać. Podobno czwarta fala nadciąga. Jest już szczepionka, ale leku wciąż nie ma. A świat czeka.

Dorota Łosiewicz

Rozgrzebany plac budowy

Ukraina

Pod koniec kadencji Merkel stosunki Niemiec z Ukrainą wyglądają jak plac budowy" – napisał, komentując niedawną wizytę niemieckiej kanclerz w Kijowie, „Süddeutsche Zeitung". To właśnie dlatego, zdaniem gazety, Angela Merkel postanowiła „wziąć łopatę do ręki" i odbudować format normandzki, w ramach którego przedstawiciele Ukrainy, Rosji, Niemiec i Francji mieliby wynegocjować pokój w Donbasie. Problem jednak polega na tym, że w Kijowie nikomu nie śpieszy się do rozmów, których formuła postrzegana jest bardziej w kategoriach zagrożenia niż szansy. Nic zatem dziwnego, że nie udało się osiągnąć porozumienia w tej sprawie, choć Merkel otwarcie opowiedziała się za prowadzeniem bezpośrednich rozmów z Moskwą, a nie z reprezentantami secesjonistów, jak chciałby Putin.

Pożegnalna podróż niemieckiej kanclerz do Kijowa przyczyniła się więc raczej do zarysowania katalogu różnic niż do zbliżenia stanowisk. Merkel musiała m.in. odpowiadać na pytania, dlaczego nie zostanie w Kijowie dłużej i nie weźmie udziału w obradach Platformy Krymskiej oraz w obchodach 30. rocznicy ukraińskiej niepodległości. Na wspólnej konferencji prasowej z prezydentem Zełenskim dziennikarz wręcz domagał się od niej odpowiedzi, czy taka decyzja została podjęta „po to, aby zadowolić Putina".

Z kolei prezydent Zełenski oświadczył, iż „Ukraina na pewno nie będzie mówić o Nord Stream 2 jako o kwestii gospodarczej". Kwaśno przyjęto też w Kijowie niemieckie propozycje, aby rekompensatą za utratę dochodów z tytułu tranzytu rosyjskiego gazu były niemieckie inwestycje w zieloną energetykę na Ukrainie. Szef Naftohazu Jurij Witrenko zauważył przy tym, że zielona transformacja będzie kosztować Ukrainę aż 100 mld dol., a na jej przeprowadzenie potrzeba 25 lat. Zełenski opowiedział się więc za oddzieleniem rekompensat z powodu utraty dochodów z tranzytu gazu od inwestycji w zieloną energetykę.

Innym punktem spornym, który Zełenski podjął na wspólnej konferencji prasowej, jest niemiecki zakaz eksportu broni i sprzętu wojskowego na Ukrainę. „Jestem prezydentem kraju w stanie wojny" – przypomniał Zełenski. „Potrzebujemy rzeczy materialnych, bardzo materialnych. Wiemy, w jakich obszarach Niemcy mogą nas wesprzeć. I naprawdę na to liczymy. Spodziewamy się karabinów i wielu [innych] rzeczy". Trudno o bardziej wymowne publiczne podkreślenie różnicy zdań w tej kwestii.

W efekcie mamy do czynienia ze znacznym ochłodzeniem wzajemnych relacji, co różni ekipę Zełenskiego od jego poprzednika, który mocno stawiał na Niemcy. Obecnie Kijów orientuje się raczej na Waszyngton, Londyn i Ankarę, a relacje z Berlinem, mimo zabiegów Angeli Merkel, nadal przypominają rozgrzebany plac budowy.

Marek Budzisz

Pełzająca islamizacja

Nigeria

Sukces talibów w Afganistanie uskrzydlił dżihadystów w Afryce Subsaharyjskiej i ośmielił ich do dokonywania coraz bardziej zuchwałych akcji. W ciągu kilku dni, jakie minęły od zdobycia Kabulu, islamiści przeprowadzili krwawe ataki w Burkina Faso, Somalii, Mali i Nigrze. Triumf talibów zachęcił też lokalne władze w niektórych prowincjach Nigerii do bardziej rygorystycznego przestrzegania szariatu.

Nigeria jest podzielona na 36 stanów oraz federalne terytorium stołeczne. Chrześcijanie, którzy stanowią 49 proc. mieszkańców kraju, zamieszkują głównie ziemie południowe, muzułmanie (43 proc.) żyją zaś na terenach północnych. Konstytucja uchwalona w 1999 r. dopuszcza w sprawach cywilnych, np. rodzinnych czy spadkowych, stosowanie lokalnego prawa zwyczajowego, pod warunkiem że obie strony sporu wyrażą na to zgodę. W praktyce jednak 12 stanów, w których dominują wyznawcy islamu, coraz częściej wprowadza elementy szariatu do kolejnych sfer życia publicznego. Zdarzają się np. kary publicznej chłosty lub ucinania rąk za kradzież. Dwukrotnie skazano nawet na śmierć przez ukamienowanie kobiety oskarżone o cudzołóstwo, jednak pod wpływem presji ze strony Zachodu uniewinniono je. Teraz podobna batalia toczy się o 13-letniego chłopca, któremu wymierzono karę 10 lat więzienia za obrazę Allaha.

Przestrzeganie prawa koranicznego wymuszane jest przez lokalne milicje religijne, zwane hisbah, które w tym celu kontrolują ulice. W stanie Kano zabraniają np. sprzedaży alkoholu, noszenia niektórych ubrań czy tańczenia w sposób uznany za nieprzyzwoity. Potrafią napadać na bary i kawiarnie lub golić publicznie mężczyzn z nieodpowiednimi fryzurami. Milicje mają jednak za sobą poparcie miejscowych władz. Przeciw tym nadużyciom protestują chrześcijańscy hierarchowie, jednak bezskutecznie. Rząd woli nie interweniować, ponieważ w praktyce jego możliwości działania na prowincji są ograniczone, a poza tym obawia się nowych napięć na tle religijnym. Szariat zagarnia więc kolejne sfery życia.

Grzegorz Górny

Fot. brnszaland/Shutterstock.com

eprasa.pl f5a6496d03

Biedawybory

Rosja

Partia Jedna Rosja w zaplanowanych na połowę września kolejnych wyborach do Dumy Państwowej wycenia swoje zwycięstwo na 500 mld rubli. Oczywiście wycenia je w przenośni, bo chodzi tu o łączną kwotę wypłat, jakie mają otrzymać rosyjscy emeryci i wojskowi, jeżeli Jedna Rosja otrzyma w wyborach wystarczającą liczbę mandatów, aby sformować większościową frakcję w Dumie.

Rzecz jasna, nikt nie powinien mieć wątpliwości, że rosyjska partia władzy i tak wygra wrześniowe wybory, bo faworyzuje ją ordynacja wyborcza, stawką jest więc jedynie wielkość tego zwycięstwa. Zwyczajowo odpowiednio wysokie wyniki uzyskuje się dzięki presji wywieranej przez Moskwę na gubernatorów. Ci, którzy są w stanie zapewnić wysokie wyniki wyborcze dla Jednej Rosji, mogą potem liczyć na znacznie hojniejszą pomoc dla swoich regionów. Dlatego na prowincji dochodzi niekiedy do niemalże ostentacyjnych fałszerstw.

Tym razem dodatkową zachętą dla głosujących mają być jednorazowe wypłaty dla emerytów – po 10 tys. rubli (ponad 500 zł) i wojskowych – średnio po 15 tys. rubli (czyli niecałe 800 zł). Będą one kosztować budżet państwa 500 mld rubli i zostaną wypłacone dopiero po wyborach. Wcześniej Władimir Putin, który formalnie nie należy do Jednej Rosji, wydał dekret nakazujący wypłatę 10 tys. rubli na każde dziecko w wieku 6–18 lat.

Niewykluczone, że te zapomogi pozwolą uzyskać Jednej Rosji przytłaczające zwycięstwo. Jednak nie będzie to świadczyć o wielkiej popularności partii władzy, lecz raczej o desperacji i biedzie milionów Rosjan. Bo choć oficjalne media twierdzą, że zapomogi są dowodem na powrót do zdrowia rosyjskiej gospodarki, rzeczywistość wygląda zgoła inaczej. Z najnowszego sondażu Centrum Lewady bowiem wynika, że aż 40 proc. mieszkańców Rosji nie starcza pieniędzy na podstawowe produkty. Z kolei połowy ankietowanych nie było stać na nową odzież i obuwie, a 70 proc. na wyposażenie mieszkania.

Oficjalne dane wskazują, że 12 proc. Rosjan (prawie 18 mln ludzi) żyje poniżej poziomu ubóstwa. Najgorzej jest na Kaukazie (w Inguszetii 30 proc., w Kabardo-Bałkarii – 24 proc.) oraz w graniczącej z Mongolią Republice Tuwy (aż 34 proc.), z której wywodzi się wszechmocny minister obrony Siergiej Szojgu.

W zeszłym roku Władimir Putin obiecał, że w ciągu czterech lat liczba osób żyjących poniżej progu ubóstwa spadnie do 10 mln. Dziś ten cel wydaje się zupełnie nierealny, więc Putin przesunął termin na 2030 r. To na tyle długo, że wiele może się w tym czasie zmienić. A jeśli nadal nie będzie starczać na chleb, to zawsze można zorganizować jakieś igrzyska.

Konrad Kołodziejski

Fot. Ponomus/Shutterstock.com

Dość już Facebooka

Rząd Etiopii zapowiedział w zeszłym tygodniu budowę własnej platformy społecznościowej, która mogłaby zastąpić Facebooka, Twittera i WhatsAppa. Władze tego afrykańskiego państwa oskarżyły Facebooka o kasowanie postów „mówiących prawdę" o wydarzeniach w Etiopii.

Od listopada 2020 r. trwa w Etiopii konflikt w prowincji Tigraj. Interwencję zbrojną podjęto na polecenie rządu Abiya Ahmeda Alego (laureata Pokojowej Nagrody Nobla w 2019 r.), który oskarżył polityków tigrajskich (a przy okazji swoich byłych koalicjantów) o terroryzm. Wojna kosztowała już życie setek ludzi. Znacznie więcej musiało opuścić swoje domy. Na wojnę nakładają się jeszcze plaga głodu oraz pandemia COVID-19.

Obie strony konfliktu bardzo chętnie korzystają z mediów społecznościowych. Powstanie własnych platform ma być – zdaniem rządu etiopskiego – odpowiedzią na zalew fake newsów. Wprawdzie władze Etiopii zapewniają, że żaden z działających dotychczas globalnych serwisów nie zostanie zablokowany, to jednak już wcześniej dochodziło do takich sytuacji. Przykładowo w 2016 r. zablokowano czasowo dostęp do serwisów społecznościowych, rzekomo z powodu wycieku pytań egzaminacyjnych na jednym z uniwersytetów. Z kolei w 2012 r. wprowadzono niemal całkowity zakaz korzystania z technologii VoIP, czyli telefonii internetowej. Zabronione było wówczas nawet korzystanie ze Skype'a. Za złamanie zakazu groziło do 15 lat więzienia.

Jak na razie rzeczniczka Facebooka w Afryce nie odniosła się do zarzutów rządu etiopskiego, choć – jak podaje agencja Reuters – przed czerwcowymi wyborami w Etiopii Facebook rzeczywiście masowo kasował konta, które jakoby zasypywały platformę prorządowymi treściami, co mogło być uznane za niedopuszczalną ingerencję w politykę suwerennego państwa.

Shumete Gizaw z agencji INSA, zajmującej się w Etiopii bezpieczeństwem internetowym, stwierdził, że Chiny nie przez przypadek używają własnego komunikatora WeChat. Nie jest jednak tajemnicą, że chiński rząd za jego pomocą kontroluje obywateli, czego Gizaw już nie dodał.

Łukasz Adamski

Etiopia

Fot. Elizaveta Kirina/Shutterstock.com

eprasa.pl f5a6496d03

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wrześniowa mobilizacja

Jan Pietrzak

„Dnia pierwszego września roku pamiętnego, wróg napadł na Polskę z kraju sąsiedniego" śpiewał uliczny artysta 82 lata temu i piosenka stała się przebojem długich lat okupacji. Niebawem do wroga pierwszego dołączył wróg drugi. IV rozbiór Polski stał się początkiem wojny, zwanej II światową. De facto była to wojna Niemiec i Rosji z Polską. 20 lat polskiej suwerenności było nie do wytrzymania dla Hitlera i Stalina. Opętani despoci nie mogli znieść niepodległego państwa wolnych ludzi. „Bękart traktatu wersalskiego" nabierał siły. Po okresie scalania skolonizowanych ziem, systemów administracyjnych, edukacyjnych, prawnych umocnione państwo rozkręcało moce przemysłowe. Byli zaborcy postanowili zatrzymać rozwój Rzeczypospolitej. Dziarsko zabrali się do eksterminacji i okradania Polaków. Już niebawem ruszyła fabryka śmierci w Auschwitz i rosyjskie mordownie na nieludzkiej ziemi.

To wszystko odbywało się w trakcie mego życia, więc nie jest zamierzchłą, wypłowiałą historią. Dzieje się tu i teraz. Póki my, przedwojenne pokolenie, jeszcze żyjemy, pamiętamy bomby rozwalające nasze domy, szkopów z miotaczami ognia, szubienice na placach, egzekucje pod ścianami, łapanki itd. A także piosenkę z kolejną ważną datą „1 sierpnia, dzień krwawy, powstał naród Warszawy, by stolicę uwolnić od zła i zatknęli na dachy, barykady i gmachy białoczerwonych sztandarów las".

Szkopów zastąpiły kacapy i musiało minąć znowu sporo lat, aż „stolicę od zła" uwolniła Solidarność pod duchowym przywództwem św. Jana Pawła II. To On był hetmanem nowej niepodległości. Jest w „Rocie" profetyczny akapit: „Duch będzie nam hetmanił, pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg, tak nam dopomóż Bóg". Tak właśnie się stało, nie zbrojną walką, lecz siłą ducha z woli Bożej pokonaliśmy imperium zła. To działo się w obrębie czasowym mojego pokolenia... Jest o czym śpiewać.

Zapraszam na koncert „Mobilizacja" przygotowany przez Towarzystwo Patriotyczne 3 września o godz. 18.30 w Zamku Ujazdowskim.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Gej niepełnowartościowy

Dominik Zdort

Niezła awanturka się rozpętała po tym, jak Jarosław Jakimowicz „ujawnił", że zmarły przed 10 laty aktor Krzysztof Kolberger był homoseksualistą. Piszę „ujawnił" w cudzysłowie, bo ta sprawa sekretem nie była. I to nie za przyczyną Kolbergera, który – jak zauważył Jakimowicz – swoimi skłonnościami się nie afiszował, nie namawiał innych do złego. Ale o jego męsko-męskim romansie opowiadali świadkowie, którzy widzieli, jaką tragedię przeżywali bliscy aktora.

Ujawnianie homoseksualizmu nieżyjących już znanych ludzi stało się stałym elementem propagandy gejowskiej. Chodzi oczywiście o wywołanie wrażenia, że dewiacja nie tylko jest normą, ale jest powszechna wśród najcenniejszych dla społeczeństwa grup.

W tego typu zestawieniach znanych osób, które miały jakoby homoseksualne skłonności, nieważne są dowody. Skoro Szopen nie żyje, to nie zaprzeczy, kiedy napiszą, że jakiś chłopaczek był dla niego ważniejszy od pani Sand. Konopnicka też nie zaprotestuje, gdy powiedzą, że wybrała Dulębiankę zamiast Gumplowicza. Niekiedy wystarczy pozostawanie w celibacie lub awersja do drugiej płci (co zdarza się po zawodzie miłosnym zaprzysięgłym heteroseksualistom), aby niewinnemu człowiekowi przypisać dewiację. I oczywiście go za to jeszcze pochwalić.

Tym razem jednak o preferencjach Kolbergera opowiedział nie działacz gejowski, ale celebryta związany z prawicą. Co gorsza, powiedział o tym na antenie telewizji, którą podobno należy zlikwidować. Nic to, że o skłonnościach swojego starszego kolegi opowiadał delikatnie, doceniając jego powściągliwość. Bo dla środowiska działaczy homo taka powściągliwość to nie zaleta. Dla nich sytuacja, która dla każdego innego jest normalna – czyli to, że geje są częścią społeczeństwa, ale nie ma powodu, żeby swoje łóżkowe problemy wynosili na sztandary – jest kłopotem.

Przypadek opisany powyżej najlepiej pokazuje, że tu nie chodzi o prawa człowieka i tolerancję dla odmienności, ale o publiczną demonstrację. O upokorzenie normalsów. W tym celu prawdziwy gej powinien przynajmniej raz do roku z tęczową flagą blokować największe miasta kraju. Swoją orientację musi demonstrować też na co dzień, publicznie przytulając swojego partnera, a przynajmniej chodząc z nim pod rękę stołecznym (lub chociaż lubelskim) Krakowskim Przedmieściem. Ten, który tego nie robi, to gej niepełnowartościowy. Jak Kolberger?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f5a6496d03

BRONISŁAW WILDSTEIN

Hołownia wypełnił zadanie

Operacja Szymon Hołownia jest kolejnym przedsięwzięciem, które establishment III RP organizuje w celu obrony swojej władzy i stanu posiadania. Działania takie mają rozmach, na gruncie amerykańskim zostały opisane (w tonie apologetycznym) przez tygodnik „Time", który odsłonił kulisy zablokowania ponownego wyboru Donalda Trumpa, ale ich modus działania nie różni się wiele w innych krajach demokracji liberalnej. Osobiste ambicje reprezentantów układu są do takiego projektu niezbędne, ale w nieprzewidywalnej polityce bywa, że potrafią się oni emancypować i odegrać samodzielną rolę. Obserwujemy to teraz na Ukrainie, gdzie finansowany przez oligarchę Ihora Kołomyjskiego Włodymyr Zełenski, po wygraniu prezydenckich wyborów odciął się od swojego protektora. Funkcja prezydenta umożliwia takie zachowanie, ale z oczywistych względów nie jest ono częste, a wydobycie się Hołowni na polityczną niezależność wydaje się nieprawdopodobne.

TVN-owska gwiazda jako reprezentant antypisu jest dużo lepszym trafieniem, niż jego, występujący w identycznej roli, poprzednik, czyli Ryszard Petru. Kiedy przed wyborami 2015 r. widać było, że Polacy dość mają PO, zwłaszcza pod przewodnictwem Ewy Kopacz, piarowscy spece wymyślili platformę bis, czyli Nowoczesną, z chwytliwą nazwą i celuloidowym liderem. Okazało się jednak, że pomimo wielkiej akcji mediów nowy byt polityczny nie przyniósł zwiększenia potencjału obrońców III RP, a poparcie dla obu partii nie przekroczyło tego, co uzyskiwała wcześniej partia Tuska. Nowoczesna nie prezentowała niczego nowego. W przypadku Hołowni jest inaczej.

Tym razem nauczeni doświadczeniem specjaliści postanowili zawalczyć o dodatkową grupę wyborców, tych z centrum, którzy przywiązani do tradycyjnych form, ale jednocześnie pod wpływem emancypacyjnej kultury chętnie uwolniliby je od jakichkolwiek wymagających treści.

Duch czasu domaga się wyzwolenia człowieka od wszelkich ograniczeń, spełnienia się w indywidualnej wolności i autentyzmie. Ponieważ jednak ludzie funkcjonują dzięki kulturze, która jest wspólnym budowaniem i odwołuje do określonych wzorów, propagowany dziś model staje się antykulturą natychmiastowej konsumpcji i podległości doraźnym impulsom. Autentyzm okazuje się egoistycznym zaspokajaniem kaprysów, a wolność – posłuszeństwem modom kreowanym przez sprzedawców, którzy wszystko potrafią obrócić w towar.

Postawa taka jest zaprzeczeniem zachodniej tradycji kulturowej, zwłaszcza chrześcijaństwa, które stanowi jego fundament. To światopogląd modernistów, którzy chcieliby unowocześnić Kościół i patriotyzm, a więc tradycyjną formę wypełnić odmienną treścią. Według nich Kościół ma stać się automatyczną pralnią duchową, która bezwarunkowo i hurtowo odpuszcza wszystkie grzechy: przeszłe, teraźniejsze oraz przyszłe i broń Panie Boże, pod żadnym pozorem, nie wymaga niczego od wiernych. Jedynymi potępionymi – bo okazuje się, że tacy zawsze być muszą – są ci, którzy trzymają się chrześcijańskich zasad, a bycie katolikiem wiąże się dla nich ze zobowiązaniami. Podobnie z patriotyzmem. W nowej wersji jest to zdanie się na mądrzejszych i bardziej cywilizowanych Europejczyków, którzy Polskę urządzą lepiej, niż my sami byśmy potrafili, bo przecież nasza tradycja pokazuje, że lepiej, aby władał nami kto inny. Obrałem postawy te z osłaniającej je retoryki miłości, sprawiedliwości oraz europejskości i sprowadziłem do esencji. To idealne rozwiązanie dla tych, którzy nadstawiają ucha syrenom nowoczesności, ale nie do końca gotowi są na jednoznaczne odrzucenie Kościoła czy ojczyzny. Taką wydrążoną z sensu, a więc łatwą i lekkostrawną religię oraz patriotyzm, Hołownia żeni z emancypacyjnym liberalizmem.

Ostatni spadek w sondażach nie zmienia sumy poparcia jego ugrupowania i PO, które wspólnie uzyskują ok. 40 proc. To wyraźnie więcej niż PiS. I tak jest od pojawienia się ewangelisty TVN. Wcześniej wszystkie próby zmiany szyldu i „poszerzenia" PO nie odbierały PiS przewagi nad partią Tuska. Wprawdzie dziś ona i Hołownia występują osobno, ale można mieć pewność, że po wyborach stworzą koalicję. Nic ich przecież poza osobami liderów i nieco odmienną retoryką nie różni. Skok poparcia dla dwugłowego antypisu to wpływ kaznodziei z TVN.

Jeśli doliczyć do tego lewicę, na którą głosować chce zwykle ok. 8 proc., i parę procent PSL, czyli dwóch ugrupowań III RP, dziś sukces jego establishmentu, a więc odparcie PiS, wydaje się zapewniony. Przesunięcie to uznać trzeba za efekt Hołowni. Do wyborów jeszcze dwa lata, wszystko może się zmienić, ale trend obecny wart jest odnotowania.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f5a6496d03

Walizka Karoliny Pilarczyk

profesjonalnego kierowcy driftingowego

Moje podróże są związane wyłącznie z pracą. Od kwietnia do października jeździmy na zawody, z kolei od października do marca mamy sezon targów, pokazów, konferencji i podpisywania kontraktów. Jeżeli chodzi o zawody, to startuję w mistrzostwach Polski, Europy i świata – w formule drift, które odbywają się w USA. Polskę zjechaliśmy wszerz i wzdłuż. Ostatnio byliśmy w Koszalinie, Żaganiu, Izdebkach na Podkarpaciu, w Radomiu, Kielcach, Kietrzu w województwie opolskim. Driftingowe rundy zawodów z kolei odbywają się m.in. w Niemczech, Czechach, Hiszpanii, we Francji, Grecji. Tak więc ciągle siedzimy na walizkach.

FUKSJA

Jako szatynka po informatyce, uprawiająca sztuki walki i pracująca w korporacjach, nigdy nie lubiłam różowego koloru, który kojarzył mi się raczej z eteryczną blondynką. Gdy szef teamu Mariusz Dziurleja zakomunikował, że będę jeździć w różowym samochodzie, moja reakcja była mało dyplomatyczna. Ale argument wyróżnienia mnie kolorystycznie jako pierwszej kobiety w Polsce biorącej udział w zawodach driftingowych był przekonujący.

Od tego czasu fuksja towarzyszy mi nie tylko na samochodzie, ale również na kombinezonie, kasku, bieliźnie, paznokciach i koszulkach całego teamu.

eprasa.pl f5a6496003

OLEJEK
To mieszanka różnych olejków eterycznych, którą wcieram w skronie i nadgarstki, żeby poprawić koncentrację. Niedoceniane w Polsce, leczą bóle głowy, usuwają problemy skórne, tarczycy, a nawet hormonalne.

OKULARY
Sportowe, przeciwsłoneczne z funkcją opaski na włosy, które po zdjęciu kasku zawsze są potargane.

RĘKAWICZKI I BUTY
Na razie czarne, ale firma OMP, która produkuje kombinezony, obiecała, że specjalnie dla mnie wyprodukuje modele w kolorze fuksji z motywami graficznymi z samochodu.

AMULETY
Jeden łańcuszek jest z wisiorkiem w kształcie pitbula, drugi przedstawia łapacza snów. Ich zadaniem jest wychwytywanie złej energii i demonów, zanim do mnie dojdą.

BIELIZNA
Niepalna ze specjalnym rozwiązaniem coolshirt. Jest to system rurek, w które pompowana jest schłodzona woda. Dzięki niemu w kabinie samochodu przy 50°C, ubrana w kombinezon, kask i rękawiczki, czuję się rześko.

KAMERA
Przydatna do robienia wideoblogów, ale również do udokumentowania przejazdu trasy. Po zawodach materiał można przeanalizować, co pomaga w edukacji, treningu i moim rozwoju.

JEDZENIE
Ponieważ jestem weganką, a podczas zawodów królują food trucki z hamburgerami i hot dogami, ja w swoim pudełku mam zawsze mleko roślinne, owsiankę, batony energetyczne oraz proszek Huela.

PODUSZKA
Przydaje się do spania podczas wielogodzinnej podróży, ale także gdy chcę się przejechać samochodem większych ode mnie kolegów. Wystarczy włożyć ją za plecy.

TEQUILA I BORYS
Adoptowane z fundacji AST, której jestem ambasadorem, ratującej amstafy, bulteriery, pitbule oraz tego typu pieski. Tequila i Borys, moi najlepsi trenerzy personalni, są dla mnie azylem. Po ciężkim dniu wystarczy się do nich przytulić, żeby naładować baterie. Gdy nie mogę ich zabrać w podróż, zawsze są ze mną – w sercu, na tatuażach, grafikach samochodu i w motywach wisiorków.

Fot. Andrzej Wiktor

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl f5a6496d03

OGNIEM NA WPROST

Tęczowa administracja

Specjalistyczny portal Defence24 pokusił się o opis stanu lotnictwa wojskowego Rosji, czyli Sił Powietrzno-Kosmicznych Federacji Rosyjskiej. Trudno powiedzieć, żeby wyglądało to dobrze. Owszem, ilościowo awiacja naszego wschodniego sąsiada prezentuje się wręcz imponująco z liczbą 1585 maszyn myśliwskich i bombowych, co plasuje ją na drugim miejscu przed Chińską Republiką Ludową, ale już za Stanami Zjednoczonymi. Natomiast jakościowo wygląda to dużo gorzej, żeby nie użyć sformułowania fatalnie. I tak Rosjanie dysponują 380 ciężkimi myśliwcami rodziny Su-27, 267 lekkimi myśliwcami MiG-29 różnych wersji, 131 myśliwcami przechwytującymi MiG-31, 274 bombowcami frontowymi Su-24 i 125 nowszymi Su-34 oraz 193 samolotami pola walki Su-25. Do tego dochodzą 124 ciężkie bombowce (16 Tu-160, 42 Tu-95 i 66 Tu-22M) oraz 91 odrzutowców bojowych marynarki wojennej (22 MiG-29K/KUB, 43 Su-27/33, 22 Su-24 i 4 Su-25). Część z tych samolotów lata już 30–40 lat i kończą się im resursy. Np. ponad 200 samolotów MiG-29 Fulcrum nie przeszło żadnych zabiegów renowacyjnych albo bardzo ograniczone, a ich stan może być niewiele lepszy od trzydziestki polskich fulcrumów, z których część jest obecnie uziemiona, a część wykonuje bardzo ograniczone zadania. Na jego następcę, którym jest MiG-35, złożono zamówienia jedynie na sześć egzemplarzy i będą one służyły być może wyłącznie w zespołach akrobacyjnych jako mająca robić wrażenie żywa reklama. Lekkiego myśliwca Rosjanie również nie posiadają, a jego następstwo w postaci jednosilnikowego Su-75 Checkmate to kwestia odległej przyszłości. Podobnie jest z bombowcami. Gdyby na fotelu prezydenta USA nie zasiadał człowiek z otępieniem starczym, zwanym popularnie demencją, można by było spać spokojnie.

Wygląda na to, że czyjeś kwalifikacje, jeśli chodzi o stanowisko, są nieistotne dla Joego Bidena, który zdaje się zapełniać rząd USA antychrześcijańskimi aktywistami" – stwierdza William Mahoney z „Church Militant", komentując nominowanie Scotta Millera, który jest homoseksualnym działaczem i filantropem, na stanowisko ambasadora Szwajcarii i Lichtensteinu. Można by rzec, że obsadzanie wysokich stanowisk w jego administracji osobami mającymi problemy z własną seksualnością stanowi wręcz pasję prezydenta USA. Homoseksualista Pete Buttigieg został odpowiedzialny za transport, lesbijska rabinka zarządza komisją wolności religijnej, a dwie lesbijskie aktywistki odpowiadają za sądownictwo federalne. Wspomniany Scott Miller, zanim został ambasadorem, sypał kasą na lewo i prawo wraz ze swoim 30 lat młodszym partnerem na wszystko, co się wiąże z LGBT, by znormalizować perwersję seksualną. Para ta sfinansowała akcję Jamesa Obergefella w Sądzie Najwyższym, która doprowadziła do przełomowej decyzji w 2015 r., by zalegalizować tzw. małżeństwa tej samej płci. 400 tys. dol. dostał Biden na swoją kampanię, nie licząc milionów, którymi od lat finansowali partię demokratów. Dlatego nie ma się czemu dziwić, że całe to towarzystwo woli walczyć z normalnością niż z talibami zagrażającymi ewakuacji afgańskich współpracowników USA z lotniska w Kabulu.

Po wielu miesiącach przygotowań na końcu Mierzei Helskiej rekonstruktorzy rozpoczęli 15. już z kolei D-Day Hel, czyli odtworzenie operacji Overlord, lądowania sił alianckich na plażach Normandii w czerwcu 1944 r. Zapierające dech w piersiach widowisko trwało pięć dni. Miasteczko Hel zamieniło się w centrum działań wojennych z II wojny światowej. Przez ostatni weekend sierpnia można było obejrzeć niezwykle widowiskowe inscenizacje, podczas których użyto historycznego uzbrojenia, pojazdów pancernych i spektakularnych efektów pirotechnicznych. Oprócz inscenizacji lądowania (plaża na cyplu) odbyły się również koncerty muzyki lat 40., pokazy mody, parady pojazdów. Słowo „hell" po angielsku oznacza piekło. Kiedyś kursował tam autobus z numerem „666", ale po protestach mieszkańców zmieniono numeracje. Teraz do angielskiej transkrypcji skutecznie nawiązali rekonstruktorzy, zamieniając raz w roku półwysep w pole bitwy.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f5a6496d03

Etyka w laboratorium

Marta Kaczyńska-Zielińska

Rada Ministrów skierowała do Sejmu projekt dotyczący rozszerzenia zakresu stosowania obowiązującej w Polsce od 2015 r. zasady „3R" odnoszącej się do zwierząt laboratoryjnych. Wedle wspomnianej zasady przeprowadzenie badań na zwierzętach jest możliwe jedynie wtedy, gdy nie istnieją alternatywne metody badawcze (replacement), liczba zwierząt poddanych procedurze eksperymentów jest ograniczona do poziomu niezbędnego (reduction), zwierzęta mają zapewnione środowiskowe warunki utrzymania odpowiednie do ich gatunku. Sposób prowadzenia badań uwzględnia zaś wyłącznie metody ograniczające do minimum albo eliminujące odczuwanie przez nie bólu i stresu (refinement).

Przepisy ustawy z 2015 r. o ochronie zwierząt wykorzystywanych do celów naukowych lub edukacyjnych stanowią o tym, że niedopuszczalne jest wykonywanie procedur, jeżeli wiążą się one z dotkliwym bólem, cierpieniem lub stresem, które mogą mieć długotrwały charakter i nie można ich załagodzić. Zakazane jest w szczególności prowadzenie badań z wykorzystaniem małp człekokształtnych. Zgodnie z przepisami zawartymi w nowelizacji obowiązkowe będzie planowanie i wykonywanie procedur w taki sposób, aby w największym możliwym zakresie unikać w ich wyniku śmierci zwierząt.

W 2019 r. w Polsce do badań naukowych wykorzystano ponad 143 tys. zwierząt. Najliczniejszą grupę spośród nich stanowiły gryzonie (77 proc.), głównie myszy, szczury, nornice i świnki morskie. Badaniom poddawano także króliki, świnie, owce, bydło, koty i psy, ptaki, gady, płazy i ryby. Dla porównania w latach 2016–2017 testom poddano 233 tys. zwierząt. Malejąca liczba badań na zwierzętach jest związana z nowymi przepisami obowiązującymi od 2015 r.

Od 2004 r. w Polsce – podobnie jak w pozostałych państwach członkowskich Unii Europejskiej – obowiązuje zakaz testowania kosmetyków na zwierzętach, a od 2009 r. zakaz sprzedaży takich wyrobów. Zwierzęta są wykorzystywane do tzw. badań podstawowych, dotyczących najważniejszych układów i narządów, przeprowadzanych w celu zdobywania nowej wiedzy o podstawach zjawisk i obserwowalnych faktów. Eksperymenty przeprowadzane na zwierzętach mają na celu także doskonalenie diagnozowania i leczenia chorób u ludzi i zwierząt (badania translacyjne). Badania podstawowe są związane z onkologią, układami: sercowo-naczyniowym, nerwowym, oddechowym, żołądkowo-jelitowym, mięśniowo-szkieletowym, odpornościowym, moczowo-płciowym i rozrodczym, a także narządami zmysłów i metabolizmem. Zwierzęta są także testowane pod kątem badania jakości, skuteczności i bezpieczeństwa stosowania leków oraz środków spożywczych, a także w związku z działaniami mającymi na celu ochronę środowiska naturalnego w interesie zdrowia ludzi lub zwierząt. To na zwierzętach prowadzi się badania nowych antybiotyków, szczepionek czy mechanizmu transmisji wirusów. Np. świnki morskie mają ogromny wkład w badania nad szkorbutem i nieprawidłową polimeryzacją kolagenu. Okazuje się bowiem, że to jedyne poza człowiekiem ssaki, które nie są zdolne do syntezy witaminy C.

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia rocznie 265 tys. osób umiera z powodu oparzeń wywołanych przez ogień. W Polsce co roku ok. 12 tys. osób wymaga hospitalizacji, a blisko 600 nie udaje się uratować. Znaczna część oparzonych pacjentów to dzieci. Dzięki badaniom prowadzonym na świniach wdrożono nowe metody leczenia oparzeń, a także zyskano możliwość wykonania skanów tomografii komputerowej. Badanie terapii zapalenia ucha jest wykonywane na uchu wewnętrznym szynszyli, a analizy dotyczące układu nerwowego człowieka są prowadzone m.in. na krabach.

Wykorzystywanie zwierząt do przeprowadzania badań naukowych budzi kontrowersje od wielu lat. Pierwsze głosy w obronie stworzeń, na których eksperymentuje człowiek, pojawiły się w drugiej połowie XIX w. w Wielkiej Brytanii. Ustawodawstwo poszczególnych państw europejskich oraz przepisy unijne z biegiem lat w coraz większym zakresie stają na straży praw zwierząt poddawanych badaniom, a w szczególności mają na celu maksymalne ograniczenie ich cierpienia.

Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP

KAROLINY KACZOROWSKIEJ

Małżonki ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego.

Urodzonej 26 września 1930 r. w Stanisławowie.
Podczas sowieckiej okupacji Kresów Wschodnich
została zesłana w 1940 r. na Syberię.
Dzieliła los polskich „dzieci tułaczych",
ewakuowanych wraz z Armią Andersa do Iranu,
a następnie przez kilka lat przebywających w Ugandzie.

Była absolwentką Uniwersytetu Londyńskiego,
nauczycielką i wychowawcą, osobą zasłużoną
dla harcerstwa polskiego na emigracji,
zaangażowaną w działalność charytatywną
Zjednoczenia Polek w Wielkiej Brytanii.

Od 2016 r. reprezentowała środowiska emigracyjne
w Radzie do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.
Patronowała przez wiele lat przedsięwzięciom
upamiętniającym polski czyn zbrojny
i kultywującym tradycję niepodległościową.
W latach 2010-2021 była Honorowym Patronem
Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej.

Uhonorowana była Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

60/0821/F

eprasa.pl f5a6496d03

Kosmiczni politycy PO

Jerzy Jachowicz

Dzięki małej satelicie umieszczonej nad naszą wschodnią granicą przez młodych wybitnych specjalistów z Uniwersytetu Warszawskiego i bratniej Politechniki badających tajemnice molekularnej fizyki kwantowej, naszym przyjaciołom z tygodnika „Peryskop Parlamentarny" („PP"), również fizykom kwantowym, udało się zdobyć unikatowe nagranie. Oprócz obrazu miało ono doskonale utrwalony dźwięk, co zawdzięcza superaparaturze rejestrującej nawet trzepot skrzydeł motyla. W tym przypadku chodziło zaś tylko o szept ludzki, który dla molekularnego nagrania miał głośność salw armatnich. Przedrukowujemy fragmenty tekstu, który w „PP" ukaże się w środę. Opisuje on owo nagranie włącznie z towarzyszącymi mu fascynującymi okolicznościami.

„Obrazy kraterów na Marsie zastąpiła zielona, wysoka trawa ziemska. Nagle coś się w niej poruszyło. Młode dziki już samodzielnie grasują i zaczynają ryć ziemię w poszukiwaniu kartofli" – pomyślał szef badań, zawołany myśliwy, przeglądający nagranie.

Nagle zobaczył dwie postacie męskie czołgające się w trawie. Każda ciągnęła obok siebie plecak z przytroczonym workiem ze śpiworem. Szef uruchomił teleskop. – Znam ich. To Dariusz Joński i Michał Szczerba, posłowie Platformy Obywatelskiej. Z prawej strony obrazu, na samym jego skraju, w przeciwną stronę niż czołgający się, powoli szedł trzyosobowy patrol Straży Granicznej. Miernik odległości wskazywał, że obie grupy dzielił dystans 42,67 m. I z każdą chwilą się powiększał.

– Co ci się udało kupić do jedzenia? – szeptem zapytał Dariusz Joński partnera. – Konserwy. Kilka puszek mielonki. Ale wyłącznie z luksusową wieprzowiną. – Boże, wiesz chyba, że muzułmanie nie jedzą mięsa. – Chciałem wziąć im coś pasującego na ich podniebienie. Znasz mnie. Ale sklepowa w GS-ie powiedziała, że zaczęły się żniwa i chłopi wykupili wszystkie sushi. A wczoraj sołtys wziął cały zapas pojemników z owocami morza. Chyba organizuje zebranie wyborcze. Zostały tylko konserwy. To co miałem zrobić? Ale mam butelkę wody gazowanej, którą podobno uwielbiają.

Niespodzianka w Opolu

Z siostrami Szydłowskimi, zwyciężczyniami pierwszej edycji programu „The Voice Senior", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Natasza Mludzik

Marzenia się spełniają?

Krystyna Szydłowska: Oj tak! Oczywiście! Trzeba tylko manifestować to, czego się pragnie.

Jolanta Szydłowska-Cichoń: Na naszym przykładzie widać, że się spełniają i to niezależnie od wieku i momentu życia. Nie spodziewałyśmy się zwycięstwa w „The Voice Senior", potem pandemia nas wszystkich przystopowała, ale – mamy nadzieję – koncert w Opolu będzie początkiem powrotu do słuchaczy i widzów.

Występ na 58. Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki (który potrwa od 3 do 6 września) to ciąg dalszy spełnianych marzeń?

Elżbieta Szymańska (z d. Szydłowska): Jestem w takim szoku, że wystąpimy w Opolu, że nadal w to nie wierzę. Być tam, stanąć na scenie, na której śpiewali kiedyś Ewa Demarczyk, Zbigniew Wodecki, Krzysztof Krawczyk, Anna Jantar... to jest kosmos.

K.Sz.: Opole to wspomnienie cudownych czasów, wspaniałych melodii i charyzmatycznych wykonawców, a teraz nasza współczesność.

J. Sz.-C.: Wiele lat temu, w początkach grupy wokalnej Primo Voto, startowałam w opolskich Debiutach, ale występ w sobotę 4 września trudno z tamtym porównać.

Jaki utwór wykonacie?

E.Sz.: Niech to pozostanie niespodzianką.

eprasa.pl f5a6496d03

2 887 037

tyle odnotowano w Polsce przypadków zachorowań na koronawirusa (od początku pandemii).

1300

tyle osób polskie państwo przetransportowało od czasu ewakuacji z Afganistanu.

63

tyle sekund trwał berek posła KO Franciszka Sterczewskiego ze Strażą Graniczną w Usnarzu Górnym.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Shutterstock, Biblioteka Narodowa

Na dziś jest od 30 do 40 proc. nastolatków już zaszczepionych. Im starsi nastolatkowie, tym więcej zaszczepionych.

Minister edukacji Przemysław Czarnek 23 sierpnia w „Sygnałach dnia"

Matejko to geniusz, który zasługuje na sławę poza granicami Polski.

Christopher Riopelle, kurator National Gallery w Londynie, w wywiadzie udzielonym „Teologii Politycznej"

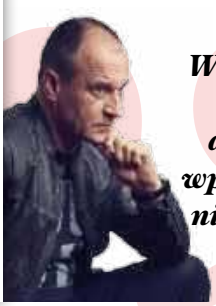

Wszyscy jesteście siebie warci, pogrobowcy Magdalenki, ale dziś to PiS ma możliwość wprowadzenia zmian, o które niezmiennie walczę od 2015 r.

Paweł Kukiz do opozycji

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, EAST NEWS/AFP, WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS, AP PHOTO/SERGEI GRITS/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ALEXANDROS MICHAILID, BERNATSKAIA OKSANA, OLGATLT63, GUY J. SAGI, EVGENIYGW, MIA STENDAL, MAXIM APRYATIN

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

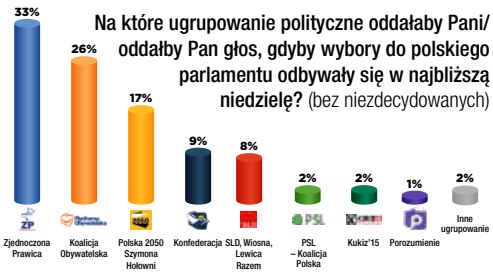

Proszę sobie wyobrazić, że Porozumienie i PSL startują razem w wyborach parlamentarnych. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Czy według Pani/Pana Polska powinna uszczelnić granice i zbudować ogrodzenie na granicy z Białorusią, jeżeli napływ imigrantów przez tę granicę będzie się nasilał?

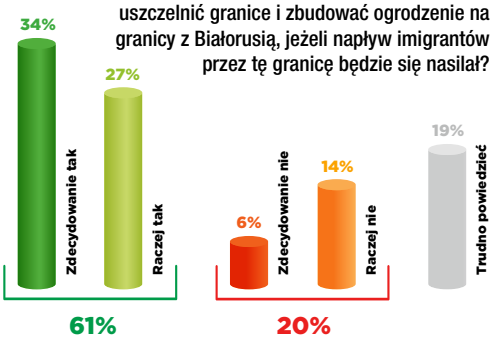

Czy według Pani/Pana Polska powinna przyjmować imigrantów, którzy docierają na granicę z Białorusią z Azji?

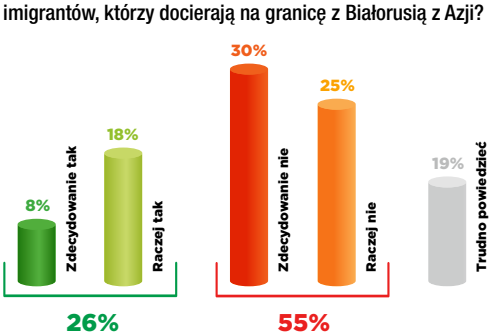

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1057.

Zakres czasowy badania 20–23 sierpnia 2021 r.

eprasa.pl f5a6496d03

Zapad 2021. Kiedy i gdzie uderzą Rosjanie?

W trakcie ćwiczeń strategicznych Zapad 2017 pojawiało się pytanie, czy świadczą one o przygotowaniach Federacji Rosyjskiej do wojny z NATO? Zastanawiano się, „czy Rosjanie uderzą"? Podobne pytania zadawane są i teraz, ale być może są źle postawione. Może rosyjska agresja już się zaczęła, a my jej nie zauważyliśmy?

MAREK BUDZISZ

Wiktor Gulewicz, szef sztabu białoruskich sił zbrojnych i wiceminister obrony, ujawnił w trakcie briefingu dla prasy, że zaczynające się oficjalnie 10 września, a kończące sześć dni później ćwiczenia Zapad 2021 będą przebiegać według scenariusza zakładającego wojnę z trzema hipotetycznymi państwami – Niaris, Pomorie i Republiką Polar. Przy czym głównym przeciwnikiem połączonego rosyjsko-białoruskiego zgrupowania wojskowego ma być Republika Polar. Fonetyczne podobieństwo, ale również twierdzenie, że walka z siłami zbrojnymi tego państwa ma być głównym zadaniem ćwiczeń, pozwalają sądzić, iż chodzi o Polskę. W przypadku Niaris sprawa jest prostsza, bo tym mianem w Rosji określa się też rzekę Wilia, która przepływa przez Wilno. Pomorie mogłoby w tym kontekście oznaczać Pomorze, gdzie znajduje się obwód kaliningradzki. Inna interpretacja zakłada, że może chodzić o Łotwę. Symbolika oddająca intencje strony rosyjsko-białoruskiej, nawet jeśli spierać się o szczegóły, jest w tym wypadku czytelna.

Białoruski wojskowy zastrzegał, że Zapad 2021 to ćwiczenia o charakterze defensywnym, jednak te deklaracje mają na celu raczej wprowadzenie w błąd obserwatorów, niż wyjaśnienie, w jakich działaniach rzeczywiście mają szkolić się rosyjscy i białoruscy żołnierze. Eksperci

eprasa.pl f5a6496d03

Fot. Evgeny Biyatov/East News

amerykańskiego think tanku wojskowego CNA w niedawno opublikowanym raporcie obalają mit rzekomo defensywnego charakteru rosyjskiej strategii prowadzenia wojny. Ich zdaniem doktryna aktywnej obrony, bo tak charakteryzował to, w jaki sposób Rosja ma zamiar walczyć, szef sztabu rosyjskich sił zbrojnych generał Walerij Gierasimow, występując w 2019 r. w Akademii Sztuki Wojennej, wcale, mimo nazwy, nie ogranicza się do obrony. Rosyjski generał mówił wówczas, że aktywna obrona w praktyce oznacza „wyprzedzającą neutralizację zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa", a to dowodzi, że atakując i napadając, tak jak to było we wrześniu 1939 r., Moskwa w świetle swej doktryny się broni. Chodzi o to, że wyprzedzając uderzenie, jak deklarował Gierasimow, rosyjskie siły zbrojne dążą do „zadania przeciwnikowi nieakceptowalnych strat" i mają na celu „przejęcie inicjatywy strategicznej".

BEZPRECEDENSOWA SKALA

Wracając do manewrów strategicznych Zapad 2021, warto odnotować ich bezprecedensową skalę. Generał major Jewgienij Iljin, zastępca naczelnika departamentu wojskowej współpracy międzynarodowej rosyjskiego resortu obrony, powiedział mediom, że będzie w nich uczestniczyć zarówno na Białorusi, jak i w Rosji 200 tys. osób. Deklaracja ta wywołała konsternację i niedowierzanie, wcześniej bowiem przedstawiciele zarówno białoruskich, jak i rosyjskich sił zbrojnych mówili o znacznie mniejszej skali manewrów na Białorusi, w których uczestniczyć miało mniej niż 13,5 tys. żołnierzy i oficerów, a dokładnie padała liczba 12,8 tys. Jednak w tym przypadku mamy do czynienia ze świadomym i celowym zabiegiem ze strony białorusko-rosyjskiej, mającym na celu uniknięcie obowiązku przyjęcia, zgodnie z konwencją wiedeńską, zagranicznych obserwatorów. Rosjanie dlatego organizują zazwyczaj ćwiczenia podzielone na mniejsze, formalnie niepowiązane z sobą manewry na bardzo wielu poligonach. Sprawdzają w ten sposób zarówno gotowość państwa do wojny, jak i przygotowanie sił zbrojnych do działań w skali znacznie większej niż regionalna. Tak było i jest w tym roku.

> Być może manewry Zapad 2021, oprócz sprawdzenia tego, jak Polska i państwa bałtyckie są przygotowane na atak ze strony Rosji, mają również inny cel?

W sierpniu rosyjskie ministerstwo obrony przeprowadziło ćwiczenia Ochrona 2021 (Zaszczita) w okolicach Archangielska i Siewierodwińska, w których testowano przygotowanie odpowiednich służb do radzenia sobie z zagrożeniem radiacyjnym. Specjalne oddziały ćwiczyły reagowanie na sytuację nadzwyczajną, jaką w tych manewrach był atak na elektrownię atomową Kursk. We wrześniu rosyjskie siły nuklearne również będą miały swoje manewry, a dla porządku przypomnieć trzeba, że poprzednie, przeprowadzone cztery lata temu ćwiczenia Zapad, kończyły się rosyjskim uderzeniem nuklearnym na siły przeciwników.

Już w czerwcu Rosgwardia, pierwszy raz w swej historii, jak napisano na oficjalnej stronie tej rosyjskiej formacji mającej radzić sobie z zagrożeniami wewnętrznymi, przeprowadziła ćwiczenia Ekran 2021 (Zasłon). Zgodnie z oficjalnym komunikatem i one są częścią manewrów Zapad 2021, a ich scenariusz przypomina, jak napisał Konrad Muzyka, polski analityk wojskowy pracujący m.in. dla amerykańskiego think tanku wojskowego CSIS, działanie wojsk NKWD w czasie II wojny światowej.

Zapad 2021 to nie tylko określane tym mianem ćwiczenia, które odbędą się na czterech poligonach na Białorusi i dziewięciu w Rosji, lecz znacznie ambitniejsze przedsięwzięcie mające w zamyśle sprawdzić, jak państwo związkowe jest przygotowane do wojny z NATO. Mitem jest też to, że manewry mają odbywać się między 10 a 16 września. One już trwają, rosyjscy sztabowcy, planując ćwiczenia tej skali, dzielą je na kilka faz. Obecnie, jak napisał w swym blogu płk Ireneusz Kulesza, obserwujący rosyjsko-białoruskie przygotowania, zakończona została pierwsza faza manewrów Zapad 2021, która przewidywała utworzenie na Białorusi wspólnego zgrupowania wojsk i przerzut oddziałów z Rosji, ale nie tylko, bo również zakładała to, co wojskowi określają niejasnym terminem „destabilizacji regionalnego środowiska bezpieczeństwa". Zanim postaram się wyjaśnić, co to może oznaczać w praktyce, warto skrótowo omówić, jakie wnioski, na podstawie tego, co już zaobserwowano, wyciągają analitycy wojskowi, jeśli chodzi o ćwiczenia Zapad 2021.

DESTABILIZACJA, CZYLI UDERZENIE UCHODŹCAMI

Otóż w tym roku, w przeciwieństwie do poprzednich ćwiczeń strategicznych, doborowe i najlepiej wyszkolone rosyjskie

eprasa.pl f5a6496d03

Fot. Viktor Tolochko/East News

oddziały wojskowe, m.in. z 6 Brygady Pancernej, przybyły na Białoruś znacznie wcześniej. Może to świadczyć zarówno o skali tegorocznych manewrów, jak i, znając wagę przykładaną przez rosyjskich sztabowców do okresu, który określają oni mianem „początkowej fazy wojny" jeszcze przed formalną agresją, że faktycznie manewry Zapad 2021 rozpoczną się już w sierpniu, a może wręcz już trwają, tylko my tego nie zauważyliśmy.

Jeśli chodzi o „destabilizację regionalnego środowiska bezpieczeństwa", to Rosjanie, zanim zaczęli testować, jak przygotowane do konfliktu nowego typu są państwa NATO, rozpoczęli od sprawdzenia własnej odporności. Jak informował dziennik ekonomiczny „RBC", niedawno sprawdzana była możliwość odłączenia kraju od internetu. Chodzi o trwające od 15 czerwca do 15 lipca „manewry", w których uczestniczyli wszyscy rosyjscy operatorzy telekomunikacyjni. Ich celem było przetestowanie, jak rosyjski segment sieci będzie działał „w przypadku zewnętrznych zakłóceń, blokad i innych zagrożeń". Wypowiadając się na ten temat, rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow powiedział, że ćwiczenia „odpowiadają aktualnym wyzwaniom" i są jednym z elementów działań związanych z bezpieczeństwem.

Potem na pierwszy ogień poszła Litwa. Gdy Łukaszenka wypowiedział umowę o readmisji z Unią Europejską i zadeklarował, że teraz „sami będziecie musieli sobie radzić z uchodźcami", przez zieloną granicę zaczęły przechodzić zorganizowane grupy migrantów, przede wszystkim z Iraku, ale również z krajów afrykańskich, a nawet z Rosji. W ciągu kilku tygodni od maja granicę nielegalnie przekroczyło ok. 4 tys. osób, 50 razy więcej niż w całym roku 2020. Przy czym nie mamy do czynienia ze spontanicznym napływem uchodźców, lecz ze zorganizowaną przez białoruskie służby specjalne akcją werbowania migrantów i kierowania ich na zieloną granicę. W ramach wznowionej, opracowanej jeszcze w 2010 r. przez braci Iwana i Jurija Tertelów (z których Iwan, co warto pamiętać, kieruje białoruskim KGB, a wiosną ubiegłego roku odpowiadał za operację aresztowania Wiktara Babaryki, głównego rywala Łukaszenki w wyborach prezydenckich), akcji „Śluza" z Iraku ściągani są ci, którzy chcieliby znaleźć się w UE. Z Bagdadu, Erbilu, Basry i Sulejmanii, jak napisał Tadeusz Giczan, białoruski dziennikarz opozycyjny, który najpełniej opisał cały mechanizm tej operacji, tygodniowo przylatuje kilkanaście wielkich boeingów 777 i 747 wypełnionych migrantami chcącymi dostać się do Unii. W Mińsku przejmowani są oni przez przedstawicieli państwowej firmy Centrkurort, należącej do Zarządu Sprawami Prezydenta, biznesowego imperium Łukaszenki oraz agentów służb specjalnych. Następnie w zorganizowanych i eskortowanych grupach, co wielokrotnie udowodnili już Litwini, prezentując nagrania filmowe, trafiali oni na granicę.

Już od samego początku mieliśmy do czynienia nie ze spontanicznym napływem uchodźców z obszarów ogarniętych wojną domową, jak było w przypadku Syrii w 2015 r., ale ze organizowanym i używanym przez reżim Łukaszenki narzędziem agresji, po to by wywrzeć presję polityczną na państwa uznawane za wrogie. Jak ujawnił Gabrielius Landsbergis, litewski minister spraw zagranicznych, Wilno dysponuje dowodami, że emisariusze Łukaszenki latali także do innych państw, takich jak Maroko, Liban, Iran czy Tadżykistan, by „organizować" napływ uchodźców. Ale nie tylko o uchodźców może chodzić, Łukaszenka niedawno bowiem zapowiedział, że państwa Zachodu, w tym Polska, muszą się liczyć z „przemytem narkotyków na skalę przemysłową".

Kryzys związany z migrantami jeszcze się nie skończył. Waler Karbalewicz, białoruski politolog, jest zdania, że sytuacja na granicy z Litwą jest nie tylko na rękę Łukaszence, ale możemy mieć niedługo do czynienia z eskalacją napięcia, nawet do poziomu starć granicznych czy wręcz wojny. Jego punkt widzenia podziela Arvydas Anušauskas, litewski minister obrony, który wraz ze swymi odpowiednikami z Łotwy i Estonii w specjalnym oświadczeniu uznał, że to, co dzieje się na litewsko-białoruskiej granicy, jest formą „ataku hybrydowego" na Unię Europejską

Autopromocja

eprasa.pl f5a6496d03

i NATO i wezwał obydwie wspólnoty do skoordynowanej, wspólnej odpowiedzi. Oświadczenie NATO, w którym mówi się o używaniu migrantów „w charakterze broni" i „ataku" na państwa bałtyckie i Polskę, jest potwierdzeniem słuszności tych ocen.

LITWA POD PRESJĄ

Na Litwie wraz z rozpoczęciem kryzysu migracyjnego miały miejsce również inne zastanawiające wydarzenia, których zbieżność w czasie skłania do sądu, że być może mamy do czynienia ze sprawdzaniem odporności państwa na destabilizację, a nie normalną aktywnością społeczną. I tak do działania przystąpili antyszczepionkowcy. Zorganizowali oni demonstrację przed Sejmem, która zakończyła się bijatykami z siłami porządkowymi. Równolegle na litewskie urzędy centralne, w tym MSZ, przypuszczono zmasowane ataki hakerskie o niespotykanej wcześniej intensywności, a policja była bombardowana telefonami o ładunkach bombowych podłożonych w centrach handlowych. Na to nałożyły się protesty ludności niezadowolonej z tego, że w okolicy ich domostw powstają obozy dla uchodźców, w których zresztą zaczęły wybuchać bunty.

Litewska opozycja, zaniepokojona sytuacją, zaczęła mówić o tym, że rząd nie daje sobie rady i potrzebna jest jego dymisja. Tę eskalację zatrzymała decyzja o tym, że migranci z Białorusi nie będą wpuszczani na Litwę i siłą zawracani. Gdyby jednak rząd w Wilnie okazał słabość, to niewykluczone, że Mińsk i Moskwa osiągnęłyby, używając narzędzi presji niewojskowej (poniżej art. 5 traktatu północnoatlantyckiego), swe cele polityczne, jakimi wydaje się obalenie rządu państwa uprawiającego twardą wobec nich politykę, uznawanego za jeden z filarów europejskiego obozu zwolenników Ameryki.

Cała gra jeszcze się nie skończyła, przeniesienie presji migracyjnej z Litwy najpierw na Łotwę, a teraz na Polskę pokazuje, że nadal trwa faza „destabilizacji regionalnego środowiska bezpieczeństwa".

UKRYTE CELE

Trzeba też zauważyć, że rzeczywiste cele Moskwy mogą być na razie zakryte. Pamiętajmy, że Rosja nie wycofała sprzętu i wojska, które wiosną tego roku zgromadziła na granicy z Ukrainą. Ostatnio pojawiły się zresztą doniesienia, że we wrześniu planuje powołanie do służby dodatkowych 50 tys. rezerwistów, czego nie zakładano wcześniej.

Retoryka wobec Kijowa też ulega znacznemu zaostrzeniu. W czasie niedawnej konferencji prasowej Putina i Merkel w Moskwie obecny na niej Dmitrij Kozak, zastępca szefa administracji prezydenta Rosji, który nadzoruje na Kremlu m.in. Ukrainę, powiedział, że „przyjęcie przez Kijów regulacji o narodach autochtonicznych oznacza wojnę". Wołodymir Zełenski podpisał tę ustawę w dzień Święta Niepodległości (24 sierpnia). Teraz trzeba czekać na ruch Moskwy.

Być może manewry Zapad 2021, oprócz sprawdzenia tego, jak Polska i państwa bałtyckie przygotowane są na atak ze strony Rosji, mają również inny cel?

6 września
w tygodniku SIECI
dodatek Rakiety LOTOSU

- Czy Polska ma szansę stać się tenisową potęgą?
- Jak młodzi polscy tenisiści pną się w górę w światowych rankingach?
- Czy największe polskie talenty mają solidne wsparcie sponsorskie?

Fot. Shutterstock

PARTNER DODATKU:
LOTOS

eprasa.pr15b6496d03

Fot. Jakub Kamiński/East News

Czas próby

Podczas kryzysu imigracyjnego spora część opozycji zagrała w orkiestrze dyrygowanej przez Łukaszenkę. Tym samym Mińsk i stojąca za jego plecami Moskwa uzyskały pewność, że są w stanie zdestabilizować sytuację w Polsce. To dla nich zachęta do podjęcia w przyszłości dalszych, być może znacznie groźniejszych, działań

KONRAD KOŁODZIEJSKI

To, co od kilkunastu dni obserwujemy na granicy z Białorusią, z pewnością mieści się w definicji konfliktu hybrydowego, a więc takiego, w którym stosuje się niekonwencjonalne formy napaści. Ściąganie przez reżim Łukaszenki imigrantów z Bliskiego Wschodu oraz Afryki, a następnie próby nielegalnego przerzucania ich przez granicę mają na celu wywołanie poważnego kryzysu w sąsiednich państwach. Taką taktykę zastosował już – zresztą z sukcesem – Recep Erdoğan w Turcji, który w zamian za „uszczelnienie" swojej granicy otrzymuje z Unii Europejskiej odpowiedni haracz.

To samo chciałby dziś uzyskać Łukaszenka, mocno już osłabiony przez polityczną izolację, presję Moskwy i unijne sankcje. Jego sukces zależy jednak w głównej mierze od tego, czy – nawiązując do wojennego języka – zdoła on znaleźć słabe punkty przeciwnika i przełamać jego obronę. W Polsce, gdzie opozycja nie przepuści żadnej okazji, aby uderzyć w rząd, nie jest to takie trudne. Dowiodły tego obłąkane rajdy „w obronie uchodźców" podejmowane na granicy przez opozycyjnych polityków i aktywistów, których antypisowska obsesja (połączona niekiedy z najzwyklejszą głupotą) zaczyna już otwarcie zagrażać bezpieczeństwu państwa. Obserwując ich wyczyny i słuchając ich słów, trzeba powiedzieć wprost, że ci ludzie w mo-

eprasa.pl f5a6496d03

mencie próby prawdopodobnie nie zdaliby egzaminu. Najgorsze jest jednak to, że wiedzą o tym także Mińsk i Moskwa, co może stanowić zachętę do podjęcia w przyszłości dalszych, być może znacznie groźniejszych działań przeciwko Polsce.

PLAN ŁUKASZENKI

Mogłoby się wydawać, że nikt w Polsce nie powinien mieć większych złudzeń co do rzeczywistej natury i przyczyn nagłego kryzysu migracyjnego na granicy z Białorusią. Nagle bowiem na Litwę, a wkrótce potem do Polski i na Łotwę zaczęli napierać uchodźcy z Bliskiego Wschodu. Trzeba być chyba skończonym idiotą, aby poważnie sądzić, że imigranci po prostu przyjechali sobie z odległych zakątków świata na rządzoną przez dyktatora Białoruś i – jak gdyby nigdy nic, przez nikogo tam niezatrzymywani i niekontrolowani – dotarli na polską granicę, gdzie rozbili sobie obozowiska. A „nikczemni" Polacy zamiast ich od razu powitać z otwartymi ramionami, zagrodzili im drogę. Tylko skończony idiota może bowiem sądzić, że łukaszenkowski reżim, który brutalnie represjonuje własne społeczeństwo, mógłby się zgodzić na takie „spontaniczne" eskapady przez jego terytorium. Tym bardziej w strefie przygranicznej, gdzie bez specjalnego zezwolenia nie wolno przebywać żadnym obcokrajowcom.

Dla każdego w miarę przytomnego człowieka od początku było więc jasne, że wszystko jest elementem zaplanowanej operacji Łukaszenki wymierzonej w sąsiednie państwa. Proceder ten został opisany przez białoruskiego dziennikarza Tadeusza Giczana oraz byłego policjanta Aleksandra Azarowa. Operacja o kryptonimie „Śluza" polega na przerzucie bliskowschodnich imigrantów na unijną granicę. Chętnych wyszukuje się głównie w Iraku, choć jak wynika z danych przedstawionych przez litewskie służby graniczne, wśród przyjezdnych są również obywatele państw afrykańskich (m.in. Konga i Kamerunu) oraz Tadżykistanu.

Jak pisze Giczan, iracka telewizja państwowa wielokrotnie rozpowszechniała informacje o tym, że Białoruś „nie będzie przeszkadzała" w dotarciu imigrantów na unijną granicę. Zainteresowani otrzymywali białoruską wizę turystyczną i docierali do Mińska rejsowymi samolotami. Pasażerów było tak dużo, że trzeba było uruchomić codzienne rejsy z Bagdadu na Białoruś i skierować od ich obsługi największe maszyny, jakie posiadają Iraqi Airways (zabierające do 500 osób boeing 747 oraz 777). Gdy nawet to nie wystarczyło, do „imigracyjnych lotów" skierowano jeszcze linię Fly Baghdad, która rozpoczęła kursy z kurdyjskiego Irbilu i Sulejmanii oraz z Basry.

> Sytuacja na granicy białoruskiej pokazuje, że radykalny antypisizm, który jest groźną i zapewne nieuleczalną chorobą, może w pewnym momencie wpędzić nas wszystkich w poważne tarapaty

Ściągniętych do Mińska imigrantów przejmowało należące do biznesowego imperium Łukaszenki przedsiębiorstwo Centrkurort. Każdy „uchodźca" za kwotę od 600 do 1000 dolarów wykupywał miejsce w hotelu oraz „wycieczkę" po kraju. W ramach tej „wycieczki", szczelnie eskortowanej przez białoruskie służby, „turyści" docierali na granicę, gdzie rozbijali obóz. Białoruscy pogranicznicy mieli przymykać oko lub – jak wynika z zamieszczonych w internecie filmów – wprost eskortowali przybyszy do miejsc, gdzie najłatwiej przejść granicę. Komu nie udało się jej przekroczyć, ten mógł nie mieć już odwrotu. Na granicy z Polską pogranicznicy Łukaszenki, wśród których znaleźli się funkcjonariusze specjalnych jednostek szturmowych OSAM, uniemożliwiali bowiem niektórym imigrantom powrót na Białoruś. Być może wynikało to z zamieszania po polskiej stronie, gdzie kordon polskiej Straży Granicznej stale próbowali przerywać sfiksowani przedstawiciele opozycji z kocami dla koczujących rzekomo na „ziemi niczyjej" imigrantów.

Oczywiście żadnej „ziemi niczyjej" między Polską i Białorusią nie ma. Imigranci znajdowali się po białoruskiej stronie i każda próba dotarcia do nich oznaczałaby naruszenie granicy i poważne kłopoty (wyobraźmy sobie np. że białoruscy pogranicznicy aresztowaliby głupca biegnącego z paczką w ręku lub w najgorszym wypadku – nie wiedząc, co jest w paczce, otworzyliby do niego ogień). Jednak antypisowcy byli zbyt rozgorączkowani, aby w ogóle zaprzątać sobie głowę możliwymi konsekwencjami.

CYRK NA GRANICY

Trzeba byłoby dobrego specjalisty, aby zrozumieć, co właściwie dzieje się z głowami osób przybywających na wschodnią granicę, aby „wesprzeć uchodźców". Być może część z nich naprawdę ma poczucie misji, uważając, że skoro jakaś grupa ludzi koczuje na granicy, to bez względu na to, jak tam się dostała, trzeba ją wpuścić. Oczywiście nie biorą oni pod uwagę tego, że taki gest oznacza w oczach Łukaszenki słabość, co sprowokuje go do ściągnięcia kolejnych imigrantów. Nie dostrzegają też tego, że każdy, kto chce uzyskać schronienie w Polsce, może sięgnąć po legalną drogę, a więc złożyć wnioski w konsulacie lub przynajmniej ubiegać się o pomoc na przejściu granicznym. Naprawdę nie ma żadnej potrzeby, aby koczować w krzakach i przemykać nielegalnie przez zieloną granicę. Na Białorusi, na którą imigranci dostali się zupełnie legalnie, nie toczą się działania wojenne, które mogłyby uzasadniać tak desperackie metody poszukiwania azylu. Skoro więc dochodzi do takich sytuacji, to oczywiste jest, że zostało to ukartowane przez reżim Łukaszenki. Jednak świadomość tego, że uczestniczy się w wyreżyserowanym spektaklu, najwyraźniej nie zniechęca opozycyjnych aktywistów. Ich obsesja na punkcie PiS jest silniejsza od instynktu samozachowawczego.

W pewnym momencie dostrzegł to Donald Tusk, który chyba jako jedyny w antypisowskim obozie zachowuje przytomność. Pamięta on bowiem dobrze, że to właśnie na kwestii imigracyjnej wyłożyła

eprasa.pl f5a6496d03

Wojsko rozpoczęło w ubiegłym tygodniu budowę płotu na granicy polsko-białoruskiej. Docelowo ma on mieć ok. 180 km i zabezpieczyć lądowy odcinek granicy

Fot. Marcin Onufryjuk/PAP

się PO w 2015 r. I jeśli chodzi o nastroje większości społeczeństwa, niewiele się w tej materii zmieniło. O ile bowiem posłowie Szczerba i Joński budzili śmieszność, gdy w wyprasowanych koszulkach i wyglancowanych bucikach maszerowali z jakimiś kartonami w stronę granicy, skąd przegoniła ich Straż Graniczna, o tyle chamstwo Władysława Frasyniuka sypiącego bluzgami pod adresem pełniących służbę polskich pograniczników było już (nie po raz pierwszy zresztą) przekroczeniem granicy sporu politycznego.

Opozycja sama wykreowała obraz, w którym z jednej strony jest rząd, który wraz z wojskiem i Strażą Graniczną strzeże wspólnego bezpieczeństwa, a z drugiej znajdują się jego polityczni przeciwnicy domagający się krzykliwie wpuszczenia do Polski ściągniętych przez Łukaszenkę imigrantów. Nie jest to obraz dla opozycji i jej szans wyborczych korzystny. Poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski próbujący nielegalnie przekroczyć granicę i ganiający się z próbującą go powstrzymać Strażą Graniczną, snująca głupawe wywody Klaudia Jachira czy wreszcie Marta Lempart, która także ściągnęła na granicę, zapewne po to, aby kogoś stamtąd „wyp... dolić", już tylko dopełniają żałosnego obrazu cyrku urządzonego na oczach całej Polski przez opozycję. Zresztą nie tylko na oczach całej Polski. Cyrk ten jest bowiem dość obszernie relacjonowany w mediach za Bugiem. Rzecz jasna jest to tam interpretowane jako słabość państwa polskiego. Taki sam fatalny sygnał dociera również do tych państw naszego regionu, które uważają Polskę za swojego głównego sojusznika w walce z zagrożeniem płynącym ze Wschodu. W ten sposób szkody polityczne, jakie wyrządza Polsce grupka nawiedzonych, nieodpowiedzialnych awanturników, są naprawdę bardzo duże.

TUSK I ANTYPISOWSKA SPIRALA

Nieszczęśni imigranci na białoruskiej granicy są jedynie amunicją wojenną wystrzeloną przeciwko Polsce. Używa jej zarówno Łukaszenka, jak i spora część opozycji zupełnie już zaślepionej ideologiczną i polityczną wojną z PiS. Wezwanie Bartosza Kramka z Fundacji Otwarty Dialog, który na łamach „Gazety Wyborczej" zaproponował w ostatnią środę zerwanie zasieków postawionych niedawno na polskiej granicy, jest nie tylko prowokacyjnym nawoływaniem do anarchii, ale również działaniem przeciwko bezpieczeństwu państwa. Szczególnie że już we wrześniu tuż za tą granicą, którą chciałby dziś „rozbroić" Kramek, rozpoczynają się wielkie rosyjsko-białoruskie manewry wojskowe Zapad 2021. Manewry te, w opinii szefa dyplomacji Łotwy Edgarsa Rinkēvičsa mają „dość wysoki potencjał do incydentów" i celowych prowokacji.

Gdy więc Tusk, widząc, że wydarzenia wymykają się spod kontroli, woła teraz, że „polskie granice muszą być szczelnie i dobrze chronione", to niewielu go słucha. Antypisowska spirala, którą nakręcił kiedyś on sam, jest już nie do zatrzymania.

Oczywiście Tusk nie nawołuje do wstrzemięźliwości w odruchu ponadpartyjnej odpowiedzialności za kraj. On dobrze wie, że imigracyjna awantura gra na niekorzyść opozycji i jego samego. Zresztą wycofanie się Tuska podczas kryzysowej sytuacji to jego stały trik, który świadczy jedynie o tym, że nie chce być za bardzo kojarzony z imigranckim problemem. Zwłaszcza że akurat w tej sprawie nie może liczyć na pomoc ze strony Unii Europejskiej. UE popiera bowiem działania polskiego rządu na rzecz ochrony granicy z Białorusią.

Paradoksalnie więc kryzys imigracyjny, który radykalne skrzydło opozycji chciałoby wykorzystać do obalenia rządu PiS, może się okazać samobójczym strzałem. Już dziś bowiem widać, że pozycja Tuska, przedstawianego jako zbawca opozycji i jej najwyższy autorytet polityczny, nie jest aż tak silna, skoro jego wezwania, mocno wsparte przez powiązane z PO media, zostały przez część antypisu zupełnie zignorowane, a nawet skrytykowane. Gdy w ostatnią środę Tusk chciał odzyskać choć trochę inicjatywy i zaproponował debatę w sprawie kryzysu imigracyjnego, posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska odpowiedziała mu, że nie został upoważniony do zabierania głosu „w imieniu całej opozycji". Widać wyraźnie, że Lewica chce na problemie z imigrantami ubić własny polityczny interes. A że przy okazji osłabi Tuska, to tym lepiej. Podobnie myślą zapewne oponenci byłego premiera w innych formacjach antypisowskich, nawet w samej PO.

Polityczny los Tuska i całej opozycji jest jednak w obliczu zagrożenia bezpieczeństwa zupełnie nieistotny. Podczas tego stress testu wyszło bowiem na jaw, że radykalny antypisizm, który jest groźną i zapewne nieuleczalną chorobą, może w pewnym momencie wpędzić nas wszystkich w poważne tarapaty. Jeżeli bowiem dziś garstka rozgorączkowanych fanatyków szuka swojej szansy w taktycznym przymierzu z białoruskim satrapą, to strach pomyśleć, do czego może się okazać zdolna jutro.

Reklama | 48/0721/F

eprasa.pl f5a6496d03

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

#WielkieChwile

eprasa.pl f5a6496d03

Cham na wojnie z Polską

eprasa.pl f5a6496d03

Kiedyś uchodził za bohatera walki o polską wolność. Dziś stał się politycznym pyskaczem, któremu się wydaje, że może wszystko, włącznie z pluciem na mundur polskich żołnierzy

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W niedzielny wieczór 22 sierpnia w TVN24 Władysław Frasyniuk tak komentował obronę polskiej granicy przed hybrydową agresją reżimu Aleksandra Łukaszenki: „Mam wrażenie, że to jest wataha, wataha psów, która osaczyła biednych, słabych ludzi (...) Tak nie postępują żołnierze. Śmiecie po prostu, to nie są ludzkie zachowania. To antypolskie zachowania. Ci żołnierze nie służą państwu polskiemu".

Prowadzącemu rozmowę Grzegorzowi Kajdanowiczowi nawet nie drgnęła powieka. Nie przywołał do porządku swego gościa. Nie oburzył się na te słowa. Nawet się od nich nie odciął. W konsekwencji stacja przeprosiła za inwektywy, które padły na antenie i nieprofesjonalne zachowanie dziennikarza. A ten ostatni stwierdził jedynie, że „popełnił błąd". Widocznie takie są te amerykańskie standardy w koncernie Discovery. Widocznie tak ma w rzeczywistości wyglądać wolność mediów według tego nadawcy.

FRASYNIUK OTWIERA ŚLUZĘ

Zawiadomienie do prokuratury w związku z tą wypowiedzią złożył minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Na Frasyniuka spadła fala krytyki, również ze środowiska Platformy Obywatelskiej. Choć trzeba przyznać, że niewiele było głosów tak stanowczych jak Bogusława Sonika. Ów poseł PO, odnosząc się do słów klubowego kolegi Arkadiusza Myrchy („Może tak przeprosić i na jakiś urlop? Przynajmniej od występów publicznych. Z szacunku do munduru i dla dobra sprawy"), napisał: „Niech spada ze swoimi przeprosinami, do niczego nie są potrzebne z ust frustrata i chama".

Większość stanęła jednak murem za Frasyniukiem. Borys Budka z jednej strony pozorował dystans wobec byłego szefa Unii Demokratycznej, ale wyłącznie z perspektywy interesu PO: „Mam wrażenie, że nawet ludzie z dużym doświadczeniem – jak Władysław Frasyniuk – swoimi wypowiedziami nie służą sprawie, mimo że nie podejrzewałbym ich o jakiekolwiek złe intencje". Z drugiej jednak – go usprawiedliwiał: „Z całym szacunkiem, ikona walki z komuną, opozycjonista, ma dużo więcej prawa do tego, żeby posługiwać się ostrymi sformułowaniami, bo wie, czym jest władza totalitarna". Tym samym szef klubu PO umieścił Frasyniuka na półce ze świętymi krowami, których nie obowiązują cywilizowane ramy debaty publicznej ani podstawowy szacunek do własnego państwa.

> Koledzy Frasyniuka z lat 80. zwracają uwagę, że jego dzisiejsza „odwaga" może być swego rodzaju leczeniem kompleksów z przeszłości, gdy wcale tak radykalny nie był, gdy ostre formy protestów raczej hamował

Z takim statusem od dawna funkcjonuje Lech Wałęsa. I tym razem były prezydent nie zaskoczył: „Brawo, Władek! Podpisuję się, masz rację, tak trzeba, tak trzymać!".

„Na granicy z Białorusią, z woli rządzących, hańbiony jest polski mundur" – dorzucił Janusz Lewandowski, człowiek kojarzony z hańbą wyprzedaży majątku narodowego w latach 90.

Dalej poszło już szerokim strumieniem, jak gdyby Frasyniuk otworzył śluzę z pomyjami wylewanymi na Polskę (na marginesie: białoruska operacja z imigrantami nosi właśnie kryptonim „Śluza"). Gdy posłanka KO Urszula Zielińska pakowała do kartonów konserwy wieprzowe przeznaczone dla muzułmańskich „uchodźców", jej klubowa koleżanka Klaudia Jachira sięgnęła po kłamstwa historyczne rodem z wachlarza nienawidzącego Polaków Ya ira Lapida: „Polacy tak samo pomagają uchodźcom, jak kiedyś Żydom w czasie wojny". Kolejny z parlamentarzystów tej formacji Franek Sterczewski urządził sobie sprint z torbą pomiędzy strażnikami granicznymi, dzielnie walcząc o wielki sukces Łukaszenki w razie nielegalnego przedostania się na terytorium Białorusi. Brakowało już tylko porównania polskich żołnierzy do rosyjskich zielonych ludzików z Krymu. To zadanie wypełnił Jerzy Owsiak.

Szybko też się okazało, które media są gotowe stanąć ramię w ramię z białoruskim dyktatorem i zagrać w jego grę. Tomasz Lis (redaktor naczelny „Newsweeka"): „Wolność słowa wymaga, by mogły być wypowiadane także sądy, z którymi większość się nie zgadza, także w formie, która większości się nie podoba. W innym wypadku to fikcja". Piotr Maślak (Radio Tok FM): „Nie potrafię tego nazwać inaczej, strażnicy graniczni, którzy zabraniają dostarczyć wody i dopuścić lekarzy do uchodźców, mogą sobie przyczepić naszywki SS. Tamci też wykonywali rozkazy".

Fot. Mishelo0/Shutterstock.com

eprasa.pl f5a6496d03

Franciszek Sterczewski z torbą usiłował się przedrzeć do znajdujących się po białoruskiej stronie uchodźców. Komediowa szarża posła KO została udaremniona

Tą ostatnią wypowiedzią prokuraturę zainteresował szef MSWiA Mariusz Kamiński.

MIŁOŚNIK BLUZGÓW

Jak wobec tego wszystkiego brzmią apele o zgodę narodową lidera tego obozu (i azymutu dla tej strony mediów) Donalda Tuska (inna sprawa, że kompletnie niewiarygodne, bo to dziś w polskiej polityce hejter numer jeden)? Są niczym więcej niż piarowskim powtórzeniem głosu Brukseli (jak zwykle w jego przypadku) w sprawie, w której jego podwładni oraz medialni najemnicy albo nic nie rozumieją, albo w swojej szaleńczej nienawiści do politycznych oponentów są skłonni ryzykować łatę zdrajców ojczyzny.

Wydaje się, że Tusk zrozumiał, iż numer, jaki wyciął Frasyniuk – a w ślad za nim politycy KO – może poważnie zaszkodzić jego ugrupowaniu. Szkoda, że politycy PO nie dostrzegli tego wcześniej, gdy wzięli Frasyniuka jako taran do walenia w PiS i ochoczo podpisali się pod jego tyleż krótkim, co rynsztokowym programem: „J... PiS!".

Wszak to ten dawny działacz demokratycznej opozycji wprowadził to hasło do debaty ulicznej i publicznej. To dzięki niemu taką karierę zrobiło osiem gwiazdek, które posłowie PO umieszczają nawet na bożonarodzeniowych ciasteczkach, a sześciokolorowa młodzież radośnie skanduje na melodię dyskotekowego przeboju.

Na licznych wiecach opowiadał swoją kombatancką historię z peerelowskiego więzienia, w której wulgarny bezokolicznik pełnił kluczową funkcję. Jeden z najbardziej zaangażowanych w walkę z polskim rządem portali tak tytułował ówczesny (grudzień 2019 r.) wywiad z dolnośląskim ordynusem: „Frasyniuk dla OKO.press: Dlaczego krzyczę »Pisiora jebać i się nie bać«?". Rozmówca ochoczo przywołał historię z łęczyckiego więzienia: „Marek stawał na taboret i krzyczał w okno: »Jebać komunę«, a my w chórze krzyczeliśmy »Jebać i się nie bać«. I zaręczam ci, że po paru dniach była pod więzieniem demonstracja mieszkańców, którzy krzyczeli »Solidarność. Kiedy będzie jebać?«, bo ludzie czekali na te nasze okrzyki".

CHAMSTWO NIE DZIWI

– To, co Władek ostatnio wyprawia, jest kompletnie nie do przyjęcia. Ale ja wiem, jak on postępował nawet ze swoimi najbliższymi, znam takie szczegóły z jego życia prywatnego, że jego chamstwo mnie nie dziwi. Całkowicie zatracił idee, wartości nurtu solidarnościowego lat 80. – mówi nam Andrzej Kołodziej, współtwórca Solidarności Walczącej i jej lider na Pomorzu, jeden z najbliższych współpracowników Kornela Morawieckiego.

Dziś w zbiorowej wyobraźni Władysław Frasyniuk funkcjonuje jako niezwykle odważny, działający wręcz brawurowo opozycjonista. To prawda tylko w pewnej części, ale po filmie Waldemara Krzystka „80 milionów" wszelkie głosy krytyczne wobec dolnośląskiego lidera ucichły. Akcja uratowania pienię-

Fot. Mikołaj Kiembłowski/REPORTER

eprasa.pl f5a6496d03

dzy Solidarności przed bezpieką stała się legendarnym wyczynem, a Frasyniuka mało kto śmiał krytykować. Dopiero teraz wracają pytania o tamten czas. Grupa dolnośląskich działaczy Solidarności, RKS i Solidarności Walczącej wystosowała oświadczenie, w którym nie zostawiają na nim suchej nitki. Piszą m.in.: „Jesteśmy oburzeni skandaliczną i haniebną wypowiedzią Władysława Frasyniuka. Obraził Wojsko Polskie i państwo polskie. Wojsko Polskie i Straż Graniczna to fundament naszego bezpieczeństwa, powinien to rozumieć każdy Polak. Władysław Frasyniuk przekroczył tą wypowiedzią wszelkie granice przyzwoitości. (...) Stanowczo potępiamy jego wypowiedzi i elementarny brak kultury". Ale przy okazji stawiają też pytania: „Jak to się stało, że po jego zatrzymaniu SB aresztowała wiele osób związanych z konspiracją antykomunistyczną: czy przyczyniły się do tego znalezione przy nim notatki z nazwiskami i adresami? Drugie pytanie, które nurtuje nas już od ponad 30 lat – czy w końcu zostanie rozliczone 80 mln zł podjęte z banku tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego?".

Wśród autorów oświadczenia jest Jadwiga Chmielowska, przewodnicząca Ogólnopolskiego Komitetu Wykonawczego Solidarności Walczącej. – Frasyniuk był jedną z tych osób w podziemiu, z którymi było mi politycznie bardzo nie po drodze. On był „magdalenkowy", czyli za okrągłym stołem, ja byłam przeciw – opowiada nam opozycjonistka. – Przy okazji wprowadzenia stanu wojennego władza przeprowadziła operację wymiany elit Solidarności. Wyselekcjonowali sobie po prostu tych, którzy mieli pełnić funkcję „wielkich opozycjonistów" i Frasyniukowi taką legendę dorobiono – dodaje.

MŁODY PRZEDSIĘBIORCA

Warto sięgnąć jeszcze głębiej do źródeł, a tych nie brakuje. Ówcześni działacze Solidarności przyznają, że ich środowisko było bardzo dobrze rozpoznane przez bezpiekę, co znajduje potwierdzenie w resortowych archiwach. W wydanej przez IPN książce „Solidarność Walcząca w dokumentach" znajdują się fragmenty notatki z lipca 1982 r. W dokumencie o klauzuli „tajne specjalnego znaczenia", opracowanej w KW MO we Wrocławiu, przedstawiona jest „charakterystyka kontrwywiadowcza" dolnośląskich opozycjonistów. „Z uzyskanych informacji operacyjnych wynika, że w nielegalnym Regionalnym Komitecie Strajkowym doszło do rozłamu. Wyłoniła się grupa umiarkowanych na czele z Władysławem Frasyniukiem, popierana przez hierarchię kościelną. Grupa ta zalecała unikanie awantur politycznych, a nawet dążenie do kompromisu z władzą".

Ciekawe, prawda? Koledzy Frasyniuka z lat 80. zwracają uwagę, że jego dzisiejsza „odwaga" może być swego rodzaju leczeniem kompleksów z przeszłości, gdy wcale tak radykalny nie był, gdy ostre formy protestów raczej hamował. Igor Janke w książce „Twierdza. Solidarność Walcząca – podziemna armia" tak pisze o rozdźwięku między nim a Kornelem Morawieckim: „Frasyniuk był młody i ambitny, miał dwadzieścia sześć lat. Czterdziestoletni Morawiecki był spokojniejszy, ale bardziej zdeterminowany. Frasyniuk był robotnikiem, Morawiecki – doktorem fizyki otoczonym ludźmi równie lub lepiej od niego wykształconymi. Między liderami rosła nieufność i różnice w ocenie sytuacji i pomysłach na działanie. Rosnąca szybko grupa Kornela Morawieckiego budowała dobrze zakonspirowaną podziemną strukturę i z irytacją patrzyła na Frasyniuka lekceważącego – ich zdaniem – zasady konspiracji".

To wtedy Morawiecki wraz z najbardziej zaufanym gronem założył Solidarność Walczącą, która od początku deklarowała, że nie interesuje jej jakiekolwiek układanie się z komunistami, że celem nie jest doraźna poprawa warunków pracy i płacy, tylko wolna Polska. Frasyniuk się od tego odcinał. Chciał z jednej strony działać zachowawczo, z drugiej – dbając o własną popularność – zmuszał swoje grono do pewnych wyskoków i podejmował ryzyko, nie zawsze potrzebne. Pisze o tym Janke: „(...) uważał, że musi spotykać się z pracownikami zakładów pracy, kazał się prowadzić do zakładów, w których wybuchły strajki w pierwszych dniach stanu wojennego, a potem na spotkania z działającymi w ukryciu komisjami zakładowymi".

– Gdy przy okrągłym stole stanął po stronie budowy nowego ładu komunistycznego, to mu się w głowie przewróciło – opowiada Andrzej Kołodziej. – Wtedy dostał duże pieniądze, koledzy z Solidarności do dzisiaj nie wiedzą od kogo. I stał się z dnia na dzień jednym z największych przedsiębiorców transportowych w Polsce. To ogromny przeskok, bo z podziemia wyszedł jako biedny chłopak, rzekomo uczciwy działacz. Jego zachowanie od tamtego czasu zaprzecza temu, co robił w latach 80. Zresztą szybko sam się od tego odciął, związał się z nowo utworzoną władzą we Wrocławiu i interesował go już tylko jego biznes, a nie dobro Polski.

ZNÓW NA BARYKADZIE

Władysław Frasyniuk był posłem trzech pierwszych kadencji Sejmu po 1989 r. Kandydował i później, także do Senatu, ale kierowana przez niego Unia Demokratyczna nie uzyskała mandatów. – Jego działalność konsekwentnie była daleka od ekstremizmu, aż przyszła dobra zmiana i Władkowi jakby ktoś włączył przycisk „start" – opowiadają jego dawni koledzy. 10 czerwca 2017 r. wraz z bojówkarzami Obywateli RP usiadł na drodze przejścia uczestników marszu pamięci ofiar katastrofy smoleńskiej. Policjanci go wynieśli, oskarżał ich publicznie o agresję, ale to jemu ostatecznie zarzucono „naruszenie nietykalności cielesnej dwóch policjantów". Frasyniuk dwukrotnie nie stawił się w prokuraturze, doprowadzono go więc skutego w kajdanki.

Po roku Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa uznał legalność zatrzymania, ale wskazał, że użycie kajdanek było bezprawne. W lipcu 2019 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia uznał, że Frasyniuk dopuścił się naruszenia nietykalności cielesnej policjantów, ale postępowanie karne w tej sprawie warunkowo umorzył na rok próby. W marcu 2020 r. sąd odwoławczy uchylił ten wyrok i umorzył postępowanie, oceniając, że społeczna szkodliwość czynu była znikoma.

Frasyniuk nie jest typem człowieka, który uczy się na błędach. Co więcej, pewna pobłażliwość nie wywołuje u niego refleksji, ale coraz bardziej go rozzuchwala. Czuje się bezkarny i przesuwa granice, których nie powinien przekraczać nikt. Co gorsza, znajduje licznych naśladowców, którzy – tak jak on – nie odróżniają wolnej Polski od PRL.

eprasa.pl f5a6496d03

Gdzie jest granica?

Skoro podstawienie przez białoruskiego dyktatorka pod polską granicę ponad 30 podróżnych z Bliskiego Wschodu jest w stanie wygenerować taką histerię mediów i opozycji, to znaczy, że powinien nam się zapalić sygnał alarmowy

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Usnarz Górny to naprawdę koniec Polski – niektóre drewniane płoty wiejskich gospodarstw przylegają do granicy z Białorusią. – Sklepu tu nie ma, przyjeżdża taki na kółkach raz na jakiś czas i odjeżdża – mówi mieszkaniec wioski. – Panie, to już za długo trwa, trudniej pracować, trudniej na pole wyjechać, a wszędzie kręcą się dziennikarze i pytają – macha ręką mężczyzna o mocno spracowanych dłoniach.

Przyjezdnych przy polnej drodze biegnącej pod granicę jest więcej niż wszystkich kilkudziesięciu mieszkańców miejscowości. Co chwila przyjeżdżają i odjeżdżają samochody z dziennikarzami, policją, Strażą Graniczną. Na włączonych silnikach stoją telewizyjne wozy transmisyjne gotowe do relacjonowania wydarzeń z niewielkiego pola odgrodzonego od Białorusi szpalerem policjantów. Na otwartej przestrzeni snują się działacze i sympatycy Fundacji Ocalenie, którzy rozbili tu kilka namiotów.

W tle, z megafonu, rozbrzmiewa egzotyczny język – to tłumaczka perskiego zadaje proste pytania do odległej 200 m grupki bliskowschodnich przybyszy. – To język afgański, dialekt dari – wyjaśnia tygodnikowi „Sieci" tłumaczka. – Dialektu paszto nie znam – przyznaje kobieta. Wcześniej, zanim służby mundurowe nie rozdzieliły granicy od gapiów większą przestrzenią, można było dosłyszeć przybyszy, teraz trzydziestokilkuletni Muhammad daje znak ręką, a działacze fundacji obserwują go przez lornetkę. – Po której stronie granicy siedzą imigranci? – pytamy. Tłumaczka przyznaje uczciwie: – Są różne interpretacje.

O Fundacji Ocalenie opowiada Marianna Wartecka. Są powody do satysfakcji, bo organizacja istnieje od ponad 20 lat, zatrudnia ponad 60 pracowników, prowadzi dla obcokrajowców kursy językowe, pomoc prawną i przyucza ich do życia w europejskiej kulturze. Teraz przyjechała pomóc koczującym na granicy przybyszom. Działaczka z sympatią wypowiada się o przyjeżdżających tu politykach lewicy. – Mam wrażenie, że są empatyczni, szczerzy – wyznaje. Czy nie boi się, że los ludzi na granicy będzie kartą przetargową dla wszystkich stron partyjnych sporów? – To nie nasza sprawa, my tylko chcemy ściągnąć tych ludzi – mówi otwarcie.

W rozmowach tego ochotniczego obozowiska słychać liczne narzekania: że służby mundurowe nie mają prawa trzymać tych ludzi na granicy,

> Widzi pan ten las? – wskazuje palcem strażnik graniczny na ścianę drzew. – To jest Białoruś. A widzi pan te młode drzewa? To jest Polska. Pomiędzy nimi jest pas drogi granicznej, ok. 15 m szerokości, a w jego środku dokładnie przebiega granica państwowa – tłumaczy stanowczym tonem

Fot. Andrzej Wiktor (4x)

eprasa.pl f5a6496d03

że muszą dopuścić do nich wolontariuszy, żywność, prawników. Wszyscy są przekonani, że imigranci czekają po polskiej stronie granicy. Dyskretnie zapytany o to strażnik graniczny jest wyraźnie podirytowany. – Widzi pan ten las? – wskazuje palcem na ścianę drzew. – To jest Białoruś. A widzi pan te młode drzewa? To jest Polska. Pomiędzy nimi jest pas drogi granicznej, ok. 15 m szerokości, a w jego środku dokładnie przebiega granica państwowa – tłumaczy stanowczym tonem. Musiał

się nasłuchać różnych bzdur o tej sytuacji, skoro nawet wicemarszałek Senatu, Gabriela Morawska-Stanecka, prawnik z wykształcenia (!), stwierdziła, że to jest „jakiś pas ziemi niczyjej". Przez lornetkę widać, że grupka mężczyzn i ich namioty są w krzewach przy lesie. Jeśli odejdzie się kilkaset metrów na północ, gdzie ściana lasu (Białoruś) zbliża się do pola (Polska), widać, że obozowisko imigrantów jest po stronie państwa Łukaszenki.

Ale to nie koniec – do obcokrajowców od strony białoruskiej podchodzą dziennikarze z Mińska. Robią zdjęcia, nagrywają kamerami okolicę, rozmawiają między sobą. Potem pod uzbrojoną eskortą udają się wzdłuż lasu na północ i znikają w zaroślach. Przecież gdyby przybysze z Azji byli po polskiej stronie, ludzie Łukaszenki nie mogliby zbierać o nich materiałów – a jednak to robią.

Do Usnarza Górnego przyjeżdża mieszkanka okolicznych Krynek i zagaduje posła Koalicji Obywatelskiej Franciszka

Sterczewskiego z krytyką jego poczynań. Wokoło zbierają się ludzie. Dziennikarze, którzy przed chwilą z uśmiechem słuchali ckliwych apeli Sterczewskiego o humanitaryzm, teraz zarzucają kobietę pytaniami o to, skąd jest, co tu robi, po co przyjechała. Sympatycy fundacji dorzucają swoje drwiny: – Pewnie z PiS! Pewnie ogląda TVP! Pisówa? O jej rzekomym członkostwie w Prawie i Sprawiedliwości krąży plotka w internecie. Tymczasem Podlasianka przyjechała oświadczyć parlamentarzyście prostą rzecz: – Panie pośle, czy pan wie, że to propaganda Łukaszenki, ci ludzie nie są zagrożeni przez śmierć ani przez choroby, ponieważ Łukaszenka dostarcza im żywność, napoje, koce, oni nie cierpią, oni o tym wiedzą, że to jest propaganda Łukaszenki. A obowiązkiem naszych służb jest dbanie o bezpieczeństwo nas, Polaków, jest pilnowanie i strzeżenie polskich granic. A tu się robi wielkie halo, panie pośle. Po krótkiej wymianie zdań kobieta miło się żegna i wraz z siostrą oraz wnukami wraca do wsi. Te proste i jasne słowa, z których poseł Sterczewski niewiele sobie zrobił, znajdują potwierdzenie w doniesieniach dotyczących działań tajnych służb zza naszej wschodniej granicy. Wbrew bajkom o cierpieniu uchodźców okazuje się, że muzułmanie faktycznie są dokarmiani przez Białorusinów. Dziennikarz Cezary Gmyz opublikował zdjęcia koczujących nad granicą przybyszy, którzy jedzą posiłki z konserw opatrzonych rosyjskojęzycznymi etykietami.

Ale w polskim obozowisku w Usnarzu Górnym nikt nie chce o tym wiedzieć – fundacja wierzy przybyszom na słowo, dziennikarze lewicowo-liberalnych mediów nagrywają melodramatyczne wypowiedzi o konieczności pomagania potrzebującym, których reżim w Warszawie nie chce wpuścić na terytorium Polski. Do widowisk politycznych dochodzą wygłupy realizowane pod płaszczem humanitaryzmu – bieg posła Sterczewskiego przez kordon wojska, przyjazd księdza celebryty Wojciecha Lemańskiego, a także pojawienie się w wiosce zatroskanej Marty Lempart. Mało kto chce słuchać argumentów, że nad wszystkim czuwa białoruskie KGB. A może niektórzy o tym wiedzą, ale im to nie przeszkadza?

eprasa.pl f5a6496d03

Jesteśmy w krytycznym momencie

Dojdzie do oligarchizacji Unii Europejskiej i szerzej – świata. Grać będą Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone, Niemcy. My będziemy mogli robić tylko to, co się nam zleci. Polska suwerenna, przy wszystkich obecnych ograniczeniach, stanie się wspomnieniem

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Ryszardem Legutką, filozofem, publicystą, autorem książek o tematyce społeczno-politycznej, posłem do Parlamentu Europejskiego

Słowa Władysława Frasyniuka, który polskich żołnierzy strzegących wschodniej granicy określił mianem „watahy psów" i „śmieci", wstrząsnęły wieloma osobami. W procesie dziczenia totalnej opozycji doszliśmy chyba do punktu krytycznego?

Ryszard Legutko: Proces dziczenia totalnej opozycji przebiega w tempie przerażającym i właściwie wydaje się nie mieć końca. Zawsze można sobie wyobrazić kogoś, kto pójdzie jeszcze dalej i przelicytuje. Ale tym razem rzeczywiście zdarzyło się coś ważnego.

Dlaczego?

Za komuny mówiono, że są dwie instytucje, które Polacy szanują: Kościół i wojsko. Chodziło rzecz jasna nie o Ludowe Wojsko Polskie, ale ogólnie o wojsko, zajmujące ciepłe miejsce w świadomości Polaka. Gdy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f5a6496d03

pojawiało się zagrożenie, wojsko zwykle stawało w obronie ojczyzny, a brak wojska lub słabe wojsko przynosiło katastrofę. Kościół zaatakowano już kilkanaście lat temu, najpierw słownie, metafizycznie. Chodziło o zabicie szacunku dla Kościoła i jego przekazu przez zbrukanie go bluźnierstwami. Teraz uderzono również w wojsko.

W ramach wojny z rządem nie może zostać oszczędzona żadna instytucja, nawet tak ważna jak armia?

W Polsce, w czasie tej wojny polsko-polskiej, nie ma konsensu praktycznie w żadnej sprawie. Kiedyś się mówiło, że konflikt powinien omijać politykę zagraniczną, ale oczywiście nigdy tak nie było. Wskazywano także na obronność jako sferę szczególnie wrażliwą, wymagającą powściągliwości. Teraz się okazuje, że nie, że wojsko też jest wrogie. I dzieją się rzeczy tak haniebne, że na ich określenie brakuje odpowiednich słów.

Jakie są źródła tego procesu?

Ważnym źródłem jest oczywiście zwykłe chamstwo, które od 2005 r. zalewa nas rosnącą falą, a które zostało uruchomione przez Tuska i jego wojsko. Chamstwo stało się bronią mającą za cel zdeprecjonowanie każdej osoby czy instytucji w jakikolwiek sposób związanej lub choćby dotkniętej przez rządzącą partię. To jest coś w rodzaju zabijania słowem.

Nie ma już Trybunału Konstytucyjnego, jest „Trybunał Julii Przyłębskiej".

To jest przykład logomachii, tworzy się język, który już na poziomie nazewnictwa ma zabijać. W świadomości opozycji państwo już nie istnieje, ponieważ jego instytucje są już pisowskie, a skoro są pisowskie, to są skontaminowane i można je zbluzgać, upokorzyć, podważyć rację istnienia, działać przeciw nim. To jest w sumie rzecz niezmiernie przygnębiająca. I nie chodzi o tego czy innego chama, o tego czy innego błazna. Bo jeśli około połowy Polaków, w każdym czasie spora część społeczeństwa, aprobuje te działania, jeśli faktycznie uczestniczy w procesie delegitymizacji instytucji państwowych, to znaczy, że kryzys jest bardzo głęboki.

> Siła ideologii LGBT jest ogromna, nawet Donald Trump jej uległ. Do tego dochodzi absurdalność retoryki, według której chodzi o słabą „mniejszość". Co to za „mniejszość", skoro wspierają ją potężne rządy, UE, ONZ, UNESCO, globalne korporacje, banki, wszyscy?

Czy państwo tak niszczone od wewnątrz może przetrwać?

Obserwując to, co się dzieje, niektórzy przestają się dziwić, że historia Polski przebiegała tak, jak przebiegała. To oznacza, że rzeczywiście jest jakieś pęknięcie w polskiej świadomości. Nie wiem, czy można mówić o dwóch narodach, ale wiele na to wskazuje. Próbuje się zdelegitymizować państwo polskie tylko dlatego, że to państwo pozostaje pod wpływem rządu i nawet jeśli prowadzi politykę w oczywisty sposób racjonalną, to i tak się je niszczy. Teraz mamy moment pewnego zagubienia, bo opozycja zatrzymała się na starej wersji ortodoksji...

...czyli na założeniu, że Unia Europejska popiera wpuszczanie imigrantów. Dziś Bruksela mówi, żeby jednak nie wpuszczać. Tusk próbował interweniować w sprawie linii swojego obozu, ale okazało się, że mało skutecznie. „Król Europy" też nie panuje nad tym całym zoo.

Szalony dżin został już wypuszczony z butelki i trudno go z powrotem zamknąć. Opozycja nie powie: myliliśmy się, to rząd miał rację. Chór złożony z błaznów i chamów nie zamilknie, dalej będzie dyrygował wielką orkiestrą, ignorując to, że chodzi o sprawy najpoważniejsze, decydujące o naszym losie w perspektywie nie tylko lat, lecz dziesięcioleci.

To, że UE zmieniła zdanie w sprawie masowej imigracji, jest jednak ciekawe. Elity unijne bardzo niechętnie ustępują w sprawach ideologicznych, symbolicznych. Często idą dalej, choćby po trupach. Tym razem mamy wyraźną korektę. Z czego ona wynika?

Ideał społeczeństwa wieloetnicznego pozostaje aktualny, ale tym razem zwyciężył pragmatyzm. Fala migracyjna z 2015 r. przyniosła naprawdę dużo kłopotów i pojawiła się obawa, że odruch buntu będzie nadal narastał. Masowa migracja jest jedną z niewielu spraw, które mogą popchnąć rzesze ludzi do sprzeciwu. Agendy zielona i tęczowa weszły tak głęboko w świadomość człowieka Zachodu, że nikt przeciwko nim nie protestuje. W sprawie granic zdecydowały kwestie bezpieczeństwa politycznego. Unijni decydenci boją się ryzykować powszechnego buntu. Zapewne gdyby Angela Merkel znów powiedziała: „Witamy", to wówczas Komisja Europejska też prezentowałaby inne stanowisko. Ale skoro Berlin nie chce przyjmować, to i UE nie chce.

Czyli teraz mają płynąć małe strumyczki, a nie wielkie rzeki, które mogą przebudzić narody?

Tak. Nie miejmy złudzeń: polityka migracyjna nadal będzie używana przeciwko Polsce, nie doczekamy się pochwał ani uznania. Presja na imigrację w sferze symbolicznej, presja na multikulturalizm w edukacji, w życiu społecznym, nie zniknie.

Można zadać pytanie, czy opozycja byłaby w stanie udźwignąć niepodległość, gdyby doszła do władzy? To obóz w znacznie gorszej kondycji niż w 2007 r., gdy poprzednio obejmował władzę. Doszła duża dawka infantylizmu, marksizm kulturowy też zrobił swoje.

eprasa.pl f5a6496d03

Tam są różne nurty. Jedni chcą przyjąć braci imigrantów, żeby dokopać PiS, licząc, że w ten sposób uda się wykreować chaos i partia rządząca straci popularność. Jest grupa neomarksistów, którzy uważają, że w wielokulturowym tyglu tworzy się nowe społeczeństwo, nowy człowiek, a znienawidzona przez nich tożsamość polska, narodowa i katolicka zniknie. Są wreszcie ci, których można określić mianem „sentymentalnych durniów", operujący retoryką współczucia, powołujący się instrumentalnie na wartości ewangeliczne. Gdyby, nie daj Boże, doszło do zmiany politycznej, to nawet gdyby część opozycji starała się prowadzić politykę w miarę racjonalną, gdyby chciała zachować jakiś potencjał decyzyjny w rękach państwa polskiego, to będzie na to już chyba zbyt późno.

W jakim sensie?

Ci ludzie tak mocno zadłużyli się politycznie u obcych podmiotów, że nie będą się mogli niczego domagać. Poza tym są już mentalnie od tych podmiotów uzależnieni i też tak przez nie traktowani. Ponadto procesy globalizacyjne zaszły tak daleko, że opozycja – jeśli przejmie władzę – nie dostanie tego marginesu swobody, który miała w 2007 r. Równolegle realizowany jest przecież program odbierania kompetencji państwom narodowym już w sposób formalny.

Szykuje się kolejne skrócenie smyczy?

Jeśli Bruksela wprowadzi system głosowania większościowego we wszystkich sprawach, a do tego zmierza, to będzie już koniec. Opozycja będzie w sytuacji Targowicy, która po trzecim rozbiorze upominała się o obiecane wolności. Jesteśmy więc w momencie absolutnie krytycznym. Już dziś w Unii rozwija się absolutne bezprawie, żadne reguły nie mają znaczenia. Kolejny krok będzie oznaczał, że Polski w takim kształcie politycznym, z jakim obcowaliśmy przez ostatnie dziesięciolecia, już nie będzie. Rzecz jasna, kompetencje stracą głównie państwa słabsze.

Czyli plan zakłada się, że niektóre państwa zachowają swoją suwerenność i moc?

Tak, bo realnej siły politycznej i gospodarczej nie unieważni się żadnymi traktatami. Odwrotnie, to najsilniejsze państwa przejmują interpretację nowych regulacji i ich egzekwowanie. W planowanym modelu skokowo zwiększy się władza instytucji unijnych nad państwami takimi jak Polska i inne, mniejsze kraje. Siła tych instytucji, które nie mają legitymizacji demokratycznej, pochodzi od państw najsilniejszych. Dojdzie do oligarchizacji Unii i szerzej – świata. Grać będą Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone, Niemcy. My będziemy mogli robić tylko to, co się nam zleci. Nie będzie żadnej możliwości przeciwstawienia się, nie będzie głosowania, które moglibyśmy wygrać. Polska suwerenna, przy wszystkich obecnych ograniczeniach, stanie się wspomnieniem. Powinniśmy mieć jasną, ostrą świadomość tego, co próbuje się nam narzucić.

Marzeniem stanie się jakiś rodzaj autonomii? I czy te plany można zatrzymać? Przemoc ze strony Unii jest dla społeczeństw trudno dostrzegalna, to jest system, który doskonale pozoruje swoją rzekomą demokratyczność. Co należy robić?

Demokratyczne jest to, co Unia uznaje za demokratyczne. Nie ma żadnych obiektywnych procedur, reguł postępowania, które mogłyby kogoś ochronić przed zarzutami. A co należy robić? Pole manewru nie jest wielkie. Na pewno powinniśmy szukać sojuszników, choć nie jest to łatwe. Europa jest dziś pod władzą monopolistycznej lewicowej większości. Zachodni chadecy też realizują lewicowy program. Mimo to trzeba budować porozumienia z różnymi partiami i rządami, licząc na zmianę we Włoszech, Hiszpanii czy we Francji. Jest też podział Wschód – Zachód, który w pewnym momencie stał się wyraźniejszy, bo Europa Zachodnia stała się bardziej arogancka wobec Europy Wschodniej. Nasza część kontynentu nie wytworzyła wciąż wystarczającej siły, ale to też jest ważna oś działania. Generalnie, musimy robić to, co robimy, pewnie lepiej niż dotychczas. Przy sprzyjającej koniunkturze nie jesteśmy bez szans. Na reguły, na prawo, nie możemy już liczyć.

Odpowiedzią na to bezprecedensowe wyzwanie ma być szerokie porozumienie partii prawicowych. Podpisano specjalną deklarację, sprawa jednak ucichła. Co się dzieje?

W tym rozdaniu w Parlamencie Europejskim zasadnicza zmiana jest niemożliwa, ale szeroki sojusz trzeba budować. Teraz wiele zależy od Fideszu, Viktor Orbán musi podjąć decyzję, czy wchodzi do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Węgrzy zwlekają, zapewne z powodu wyborów, które mają w kwietniu przyszłego roku. Dziś nie chcą się narażać na ataki, co jest zrozumiałe. Ale decyzje będą w końcu musiały zapaść. Na pewno prawica w Parlamencie Europejskim nie będzie milczała. Główny nurt europejski organizuje konsultacje społeczne, które są faktycznie pastiszem komunistycznej rzeczywistości, bo mają uzasadnić to, co już zostało zdecydowane, czyli dalszą centralizację. My chcemy mimo wszystko przedstawić swoją propozycję konkretnych zmian w traktatach. Choćby po to, by nie mogli mówić, że wszyscy popierają ich dążenia centralizacyjne.

Nadciągający kryzys migracyjny wiąże się z klęską Zachodu w Afganistanie. Do władzy, właściwie bez walki, wrócili talibowie. Czy ta bezładna, chaotyczna rejterada USA oznacza początek schyłku amerykańskiej potęgi? Czy to wydarzenie będzie ważną cezurą w historii świata?

To jest znacznie dłuższy proces. Za początek schyłku można uznać już Wietnam. Amerykanie, mimo swoich tendencji do izolacjonizmu i przekonania o swojej wyjątkowości, mają przekonanie o uniwersalizmie swojego modelu demokracji i gospodarki – uważają, że jest najlepszy na świecie. Wielokrotnie ingerowali w sprawy innych państw, próbując narzucić ten model. Kolejne próby ratowania świata poprzez eksportowanie demokracji były nieudolne, dość brutalne, realizowane przez kiepskich polityków. Teraz mamy kumulację tych problemów: amatorszczyzna, a do tego słabość wewnętrzna. Ameryka targana nienawiścią do samej siebie próbuje stworzyć demokrację w społeczeństwie, które składa się z tradycyjnych grup plemiennych.

eprasa.pl f5a6496d03

Do tego jest to wizja demokracji dość specyficzna. Nad amerykańskimi bazami, przynajmniej od czasu do czasu, powiewała flaga LGBT. To raczej nie pomogło w promocji nowego porządku.

To jest rzeczywiście niebywałe. Jest tyle spraw na świecie o wadze pierwszorzędnej, które decydują o życiu bądź śmierci ludzi, a oni zajmują się LGBT jako sprawą absolutnie kluczową dla tożsamości amerykańskiej, nowoczesności, demokracji. Ameryka z takimi priorytetami ma przewodzić światu i wygrać z islamem?

Bix Aliu, najwyższy rangą dyplomata amerykański w Warszawie, zajmował się właściwie tylko tą kwestią. W państwie frontowym NATO, w okresie potężnych przesileń geopolitycznych.

I robił to niezwykle arogancko, tak jakby Polska była amerykańską kolonią. Ale ambasadorowie innych krajów też w sprawie LGBT przekraczają granice tego, co dopuszczalne.

Węgrzy mówią, że nigdy nie doświadczyli takiego ataku jak teraz, gdy przyjęli ustawę chroniącą dzieci i także ograniczającą propagandę LGBT.

Siła tej ideologii jest ogromna, nawet Donald Trump jej uległ. Do tego dochodzi absurdalność retoryki, według której chodzi o słabą „mniejszość". Co to za „mniejszość", skoro wspierają ją potężne rządy, UE, ONZ, UNESCO, globalne korporacje, banki, wszyscy? Zastanawiam się, jak to w ogóle jest możliwe? Co tu się dzieje? W jaki sposób niewielka grupa ludzi była w stanie faktycznie podporządkować sobie najważniejsze instytucje świata zachodniego?

Może to nowa pseudoreligia? Jakaś namiastka sensu istnienia, działania?

To możliwe. Gdy upada metafizyka, gdy postępuje sekularyzacja, tworzy się próżnia, w którą wchodzą różne demony. Nie mogę się jednak nadziwić, że to właśnie ten demon szturmem zdobył świat. To jest zapewne druga fala zwycięskiej rewolucji seksualnej z 1968 r., która zmieniła pejzaż polityczny całej cywilizacji zachodniej. Nas ta rewolucja śmieszyła, ale to nie było zabawne. Strona konserwatywna, reprezentowana przez instytucje hierarchiczne, uniwersytety, szkoły, rodzinę, Kościół, została zaatakowana, zdelegitymizowana i przegrała. Robiono to rzekomo w imię ochrony sfery prywatnej. Efekt jest jednak odwrotny: sfera intymna została człowiekowi zabrana, uczyniona niemal centrum polityki. Po rewolucji przyszli biurokraci, doktrynerzy, którzy zamienili lewicowy bunt w struktury, programy reedukacyjne, powiązali tę sprawę z pieniędzmi. W ten sposób sprawy najprywatniejsze z prywatnych, związane z płcią, stały się taranem ideologicznym, którym potężne struktury polityczne dokonują wielkiego i brutalnego eksperymentu społecznego. A tych, którzy się im sprzeciwiają, nazywają wrogami. Nic dziwnego, że liczba wrogów obecnej demokracji jest znacznie większa niż dawniej liczba wrogów komunizmu. Dziś dużo łatwiej popełnić myślozbrodnię. Łatwiej stać się jakimś „fobem".

> Na kompromis z Unią nie ma co liczyć, bo UE zależy nie na porozumieniu, lecz na zniszczeniu tego rządu. Trzeba grać na zwłokę, robić uniki, czekać na nową sytuację

Jeśli wygra klimatyzm, który całą aktywność człowieka podporządkowuje kwestii śladu węglowego, może czekać nas świat naprawdę totalny. Wszystko stanie się polityczne, wszystko będzie podlegało kontroli, bo od tego będzie zależał „los planety".

Znaleźliśmy sobie „Matkę", której wszyscy, nie tylko ludzie, jesteśmy dziećmi. Mamy tak żyć, żeby ona miała się dobrze. Ale to tylko pozory. Robimy przecież rzeczy straszne, tworzymy 50 parę płci, łączymy mężczyzn z mężczyznami, kobiety z kobietami, ingerujemy we wszystko, co się da. Słowa „natura" i „naturalny" stały się wyklęte, a metafizyka odrzucona. Człowiek dzisiaj wykształcony gotów jest połknąć wszystkie dyrdymały genderyzmu byle tylko nie użyć słów „natura" i „naturalny" w odniesieniu do człowieka i moralności. Z drugiej strony mamy być pobożni wobec „Matki Natury", mamy czuć się lichą cząstką przyrody, przeciw której w przeszłości strasznie zgrzeszyliśmy i nadal grzeszymy, zadając jej gwałt. Dziwne pomieszanie rzeczywistej pychy i pozornej pokory w obchodzeniu się z porządkiem natury. Chaos w głowach, który łatwo rodzi ideologiczne zapamiętanie.

Na tym tle mamy kruchą łódkę polskiego rządu, z niepewną większością, atakowaną z każdej strony. Czy ta łódeczka ma szansę na przetrwanie?

To jest trudny okres. Zjednoczona Prawica nie była tak zjednoczona, jak sądziliśmy. Sojusznicy moralizatorzy okazali się niezbyt lojalni. Konfliktów jest rzeczywiście wiele, ale prawda jest też taka, że cokolwiek robimy, to natychmiast wywołuje atak. To działa tak: „Frankfurter Allgemeine Zeitung" lub inne medium opisuje sprawę, komisarze unijni wyrażają zaniepokojenie, Parlament Europejski debatuje i potępia, i to wszystko wraca do Polski, przysparzając oręża propagandowego opozycji i problemów rządowi. Dziś najważniejszy problem to stabilna większość w parlamencie. Jeśli ona będzie, to sądzę, że z opozycji nieco ujdzie powietrze. Opozycja wpada w szał radości, gdy sądzi, że może zrobić nam choćby niewielką krzywdę. Trzeba pokazać, że rządzimy. Na kompromis z Unią nie ma co liczyć, bo UE zależy nie na porozumieniu, ale na zniszczeniu tego rządu. Trzeba grać na zwłokę, robić uniki, czekać na nową sytuację.

eprasa.pl f5a6496d03

Tusk. u szyi

Po stronie opozycji powrót byłego premiera już jest postrzegany jako największy błąd i największe zagrożenie dla sukcesu wyborczego

STANISŁAW JANECKI

Choć na początku zadziałał mit i wielkie pragnienie, by Platforma Obywatelska była znowu silna, co spowodowało wzrost notowań partii, Donald Tusk nie okazał się żadnym cudotwórcą, a coraz bardziej jest i będzie balastem. A już kompletną klapą byłego dyktatora Platformy okazuje się niesubordynacja wobec niego, w dodatku kompletnie bezkarna, gdy nie może on zaczynać urzędowania w partii od wyrzucania ludzi.

Tusk chciał zracjonalizować i skoordynować stanowisko PO dotyczące kryzysu z imigrantami na białorusko-polskiej granicy z tym prezentowanym przez Komisję Europejską, żeby nie wyjść na kogoś, kto jako były premier kwestionuje polski interes narodowy, a jako były przewodniczący Rady Europejskiej strategię KE wobec nowej fali migracji. Ale zbuntowali się nie tylko „starzy" przyjaciele byłego premiera, tacy jak Janusz Lewandowski, lecz także nowy narybek (nawet jeśli tylko klubowy, a nie partyjny) w postaci posłów Klaudii Jachiry czy Franciszka Sterczewskiego. Szaleńczy bieg tego drugiego na terenie pasa granicznego był zniewagą i policzkiem dla Tuska po jego apelu, że „polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione". Takim policzkiem były też deklaracje bliskich Tuskowi prezydentów Gdańska (Aleksandry Dulkiewicz) i Sopotu (Jacka Karnowskiego) o bezwarunkowym właściwie przyjmowaniu imigrantów, choć to sprzeczne ze strategią instytucji europejskich oraz interesami PO.

Przywództwo Tuska posypało się prawie natychmiast po tym, jak miało rozbłysnąć dawnym blaskiem. Jakby tego było mało, wcale nie zniknął kłopotliwy dla byłego premiera oraz kierowanej przez niego partii konflikt z Rafałem Trzaskowskim – i o przywództwo, i o rząd dusz. Mimo deklaracji prezydenta Warszawy o dobrodziejstwach powrotu Tuska i mającym pokazać dobre relacje zaproszeniu na Campus Polska Przyszłości. Dotychczas jedynym plusem powrotu Tuska jest szybsze odbieranie głosów Polsce 2050 Szymona Hołowni, ale na to się zanosiło jeszcze przed jego deklaracją o powrocie. To odbieranie głosów nie jest zresztą niczym nadzwyczajnym, bo coraz więcej jest dowodów, że to projekt wydmuszka, a sam Hołownia tylko wykorzystuje modę na polityczne kariery ludzi show-biznesu, jak niedawno na Ukrainie czy 20 lat temu na Filipinach. Można powiedzieć, że pod koniec sierpnia br. Tusk wpadł w polityczną czarną dziurę, zamiast być w tym czasie supernową. Jest w dużo większym stopniu obciążeniem niż atutem.

SAMOTNOŚĆ OUTSIDERA

Sprawa imigrantów na granicy z Białorusią dowodzi, że mimo całej swej bezwzględności i demagogii Donald Tusk nie może się odwoływać do naiwnego, emocjonalnego humanitaryzmu, jak Borys Budka czy Małgorzata Kidawa-Błońska. Ciąży na nim przeszłość, czyli bycie przewodniczącym Rady Europejskiej, który kompletnie sobie nie poradził z wielką falą migracji w 2015 r., a nawet się skompromitował, popierając przymusową relokację imigrantów oraz nałożenie kar na te państwa, które się temu przeciwstawiły, m.in. Polskę. Z tego powodu nie może obecnie wypowiadać pochodzących „z czapy" opinii na temat zewnętrznej granicy UE, co mogą robić Budka czy Kidawa-Błońska. Nie może też dlatego, że uderzyłoby w niego wcześniejsze nastawienie do imigrantów, od którego cała UE i jej najważniejsze państwa już dawno odeszły, bo groziło katastrofą. Nie chcąc się kompromitować na forum europejskim, gdy jako szef Europejskiej Partii Ludowej musiałby się w kwestii imigracji konfrontować z przywódcami państw UE z tej partii, ale też biorąc pod uwagę nastawienie

eprasa.pl f5a6496d03

polskiego społeczeństwa, Tusk musi się trzymać linii Komisji Europejskiej. A ta jest twardo przeciw nowej fali imigrantów i uleganiu łzawym, a najczęściej aranżowanym widowiskom, w których znika handel ludźmi i fundamentalny fakt, że „uchodźcy" słono płacą za przedostanie się na teren UE, że nie są to ofiary wojny ani prześladowań, lecz imigranci ekonomiczni. A ci w najgorszej sytuacji pozostają na miejscu, bo ich nie stać na wyprawę do któregoś z państw UE. Tusk byłby w Brukseli traktowany jako ktoś kompletnie nieodpowiedzialny, gdyby mówił to, co np. Dulkiewicz. I byłby kompletnie nieodpowiedzialny, gdyby atakował tych, którzy strzegą zewnętrznej granicy UE. Znając te wszystkie ograniczenia, Tusk nie jest w stanie zapanować nawet nad własną partią. Jej członkowie tak się bowiem przyzwyczaili do miękkiego przywództwa Budki i na tyle nie wierzą w siłę Tuska, że mówią i robią, co chcą. Siedem lat temu Tusk wyjeżdżał z Polski jako lider bezwzględny, obecnie jest liderem bezradnym.

Wbrew pozorom międzynarodowa pozycja Tuska nie jest wcale mocna, tym bardziej że odchodzi jego jedyna promotorka – Angela Merkel, a pozostali przywódcy państw UE nigdy specjalnie go nie lubili, zwłaszcza francuski prezydent Emmanuel Macron czy holenderski premier Mark Rutte. Nie przepada za nim także przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ani jego następca na stanowisku szefa Rady Europejskiej – Charles Michel. Tusk nie jest więc wielkim międzynarodowym atutem opozycji, mimo że wciąż jest szefem EPL. Poza Europą, np. dla prezydentów USA, europejski polityk jest wart tylko tyle, ile znaczy obecnie. A Tusk obecnie w polityce europejskiej nic nie znaczy. Tym bardziej że niewiele znaczył także jako najwyższy formalnie urzędnik UE podczas prezydentury Donalda Trumpa, dawał bowiem twarz otwarcie antyamerykańskiej kampanii, co w USA się zapamiętuje niezależnie od tego, kto jest prezydentem. A obecnie, nie będąc przywódcą państwa ani ważnej unijnej instytucji, Tusk jest daleko na liście tych, którzy mają na coś wpływ i z którymi warto rozmawiać.

NAJWIĘKSZY BŁĄD OPOZYCJI

Po siedmiu latach poza Polską utrwaliły się negatywne nawyki Tuska, czyli przede wszystkim wysługiwanie się innymi i decyzyjna prokrastynacja. Tyle tylko, że jako lider PO nie ma do dyspozycji nawet małej części tych ekspertów, których miał jako przewodniczący Rady Europejskiej. W rezultacie Tusk nie ma wokół siebie wartościowych ludzi, którzy by na niego pracowali, co widać po jego miałkich działaniach i wypowiedziach. A bez wartościowych pomocników robi się kimś w rodzaju Lecha Wałęsy, czyli szybko się dewaluuje i wychodzą na jaw jego najgorsze cechy: lenistwo i odkładanie wszystkiego na ostatnią chwilę. Mit sprawczego i wpływowego Tuska był silny do czasu, aż nie poddał się on próbie w krajowych realiach. A kiedy się poddał, okazało się, że wcale się nie wybija z przeciętności, zaś wszystko, co jeszcze pozostało jego atutem, blednie przy tym, że realnie nie jest już nikim ważnym i niewiele może. Także w rozgrywkach z liderami innych opozycyjnych ugrupowań, a nawet z członkami własnej partii czy klubu parlamentarnego.

Donald Tusk całkiem słusznie bał się w ostatnich dwóch latach powrotu do polskiej polityki, spodziewał się bowiem, że ujawnią się wszystkie jego obecne słabości, a nie ma żadnych atutów poza legendami z przeszłości. A najbardziej bał się wyborczej porażki, dlatego nie zdecydował się na udział w jakichkolwiek wyborach. Jako przewodniczący partii nie tylko nie może unikać wyborów, ale też będzie rozliczany z ich wyniku, i to nie tylko we własnej partii, ale też z wyniku całej opozycji, niezależnie od tego, czy do wyborów przystąpi ona w wielkiej koalicji czy osobno. Konfrontując się z Trzaskowskim, a wręcz próbując go upokorzyć poprzez odbieranie mu poparcia prezydentów wielkich miast, Tusk nie może liczyć na zaangażowanie rywala we własnym przedsięwzięciu, choćby obaj składali deklaracje o ścisłej współpracy.

> Przywództwo Tuska posypało się prawie natychmiast po tym, jak miało rozbłysnąć dawnym blaskiem. Jakby tego było mało, wcale nie zniknął kłopotliwy dla byłego premiera oraz PO konflikt z Trzaskowskim – i o przywództwo, i o rząd dusz

Długofalowo Tusk jest największym problemem PO i opozycji, a nie ich największym atutem. On wywołuje konflikty i opór, które przy innym przywódcy w ogóle by się nie ujawniły albo nie byłyby większym problemem. Z nim wszystko jest czarno-białe, działa zasada manicheizmu, polityka ma być bezwzględną wojną bez brania jeńców, co oznacza skrajną polaryzację i wytworzenie atmosfery wojny domowej. Nieznośnej dla ogromnej większości społeczeństwa. I to już jest przez wielu opozycyjnych polityków uświadamiane. Z tej perspektywy Trzaskowski ma znacznie więcej atutów niż Tusk. A im dłużej będzie trwała wojna podjazdowa Tuska z Trzaskowskim, tym mniejsze będą szanse na wykorzystanie atutów Trzaskowskiego, nawet gdy Tusk ostatecznie zostawi mu pole do działania.

Po siedmiu latach nieobecności Tusk nie jest politykiem, który łączy, lecz dzieli, i to radykalnie. I przeraża inne ugrupowania opozycyjne jako ten, który wciąga je w otchłań konfliktów, zemsty i odwetu, czego nie da się kontrolować, a co może być powodem odrzucenia przez społeczeństwo. W PO, i nie tylko w tej partii, można usłyszeć głosy otwarcie określające powrót Tuska jako największy błąd i największe zagrożenie dla ewentualnego sukcesu wyborczego opozycji, jako kamień u szyi.

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

eprasa.pl f5a6496d03

Z dokumentów negocjacyjnych przesłanych z Komisji Europejskiej dowiaduję się, że tu już nie chodzi tylko o tolerancję. KE oczekuje od nas promowania różnorodności preferencji seksualnych. I to ma być punkt wyjścia do negocjacji w sprawie środków finansowych

Nikogo nie dyskryminujemy

Z prof. Janem Dudą, przewodniczącym Sejmiku Województwa Małopolskiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Sejmik Województwa Małopolskiego nie uchylił tzw. deklaracji anty-LGBT. Czy to znaczy, że Małopolska dyskryminuje osoby należące do społeczności LGBT?

Jan Duda: Oczywiście, że nie. Po pierwsze, w naszej deklaracji nie ma słowa o ludziach LGBT. Po drugie, to nie jest deklaracja anty-LGBT, tylko sprzeciw wobec upowszechniania i promowania ideologii ruchów LGBT. W deklaracji zapisano wyraźnie: „Sejmik Województwa Małopolskiego wyraża zdecydowany sprzeciw wobec pojawiających się w sferze publicznej działań zorientowanych na promowanie ideologii ruchów LGBT, której cele naruszają podstawowe prawa i wolności zagwarantowane w aktach prawa międzynarodowego, kwestionują wartości chronione w polskiej konstytucji, a także ingerują w porządek społeczny. Podejmowane w ostatnim okresie działania przez niektórych przedstawicieli samorządowej, jak i krajowej sceny politycznej ukierunkowane są na wywoływanie fundamentalnych zmian w życiu społecznym. Działania te zorientowane są na anihilację wartości ukształtowanych przez wielowiekowe dziedzictwo chrześcijaństwa, ważnych szczególnie dla mieszkańców Małopolski. Jako Radni Województwa Małopolskiego deklarujemy wsparcie dla rodziny opartej na tradycyjnych wartościach oraz obronę systemu oświaty przed propagandą LGBT zagrażającą prawidłowemu rozwojowi młodego pokolenia". Krótko mówiąc, chcemy działać w kierunku wzmacniania instytucji rodziny, a przede wszystkim chronić dzieci przed deprawacją. Jest to nasz konstytucyjny obowiązek, zwłaszcza wobec pogłębiającego się kryzysu rodziny w Polsce. Chcemy też upowszechniać wiedzę o zagrożeniach, które niesie ze sobą taka ideologia.

Jak pan rozumie ideologię LGBT?

Dla jasności, lepiej byłoby używać sformułowania „ideologia płciowości kulturowej – po ang. gender", którą postrzegam jako istotne spoiwo ideowe środowisk LGBT, chociaż one same zaprzeczają istnieniu takiego spoiwa i negują zasadność używania tego terminu. Wikisłownik określa ideologię jako „system poglądów, idei jednostki lub grupy; wspólnota światopoglądów, której celem jest

Fot. Anna Kaczmarz/Dziennik Polski/Polska Press/East News

eprasa.pl f5a6496d03

świadome dążenie do realizacji określonego interesu klasowego, grupowego lub narodowego". Wikipedia podaje też, że „społeczną funkcją ideologii jest artykulacja celów aktywności i dopuszczalnych sposobów ich osiągania oraz motywacja ich zasadności względami uznawanymi za wyższe niż jednostkowy interes". Trudno zaprzeczyć, że poglądy propagowane usilnie przez środowiska LGBT odpowiadają podanej wyżej definicji. W moim rozumieniu „ideologia gender" to zespół przekonań, według których uwolnienie się od ograniczeń biologicznych związanych z płcią i żonglowanie własną seksualnością jest uprawnioną drogą do samorealizacji człowieka. Jest to w istocie rozwinięcie, wypracowywanej od lat 70. XX w., neomarksistowskiej ideologii nowej lewicy, mającej na celu przebudowę społeczeństwa w drodze tzw. marszu przez instytucje, tym razem przez rodzinę. Nowe społeczeństwo ma być wolne od zobowiązań wynikających z życia intymnego, a przez to szczęśliwsze. Ta oczywista i szkodliwa utopia jest bardzo intensywnie, jakkolwiek być może czasem nieświadomie, promowana przez środowiska ludzi identyfikujących się z akronimem LGBT, deklarujące walkę o niedyskryminację osób o nieheteronormatywnych skłonnościach seksualnych. Środowiska te znajdują mocne wsparcie w instytucjach UE ze względu na przyjęte standardy tolerancji i równego traktowania. Niepokojące jest, że politycy UE uporczywie negują wpływ takiej polityki na promocję rewolucji obyczajowej, kierują swoje działania także do dzieci, ignorując to, że eksperymenty społeczne o podobnym charakterze miały w przeszłości bardzo negatywny wpływ na relacje społeczne, a szczególnie na kondycję rodzin. Trudno się oprzeć wrażeniu, że nie chodzi tu tylko o tolerancję, ale o wywołanie fundamentalnych zmian społecznych.

> Nowy RPO ostrzega, że sądy będą uchylać uchwały samorządów w sprawie „ideologii LGBT". No trudno. Jeśli sądy uznają, że nie mamy prawa wypowiadać swojego zdania w obronie rodziny, to będą uchylać. Tylko co z naszą wolnością słowa?

Skąd pewność, że ten zespół poglądów, czyli „ideologia gender", jak pan mówi, jest społecznie szkodliwy?

To wynika z licznych badań naukowych, które wskazują, że „ideologia gender" może być atrakcyjna dla osób niemających predyspozycji biologicznych do skłonności homoseksualnych. „Science Magazine", czołowe pismo naukowe, w 2019 r. informowało o badaniach przeprowadzonych na próbie 500 tys. osób deklarujących preferencje nieheteroseksualne. Okazało się, że tylko u 8–25 proc. osób z tej grupy owe preferencje mogą mieć podłoże genetyczne. U reszty to wynik czynników hormonalnych i kulturowych. To są fakty naukowe. Wynika z nich, że na zachowania nieheteronormatywne w znaczącej mierze może wpływać promocja takich zachowań przez media, manifestacje czy działania polityczne. Mogą jej ulegać ludzie zwiedzeni złudną perspektywą nieograniczonej wolności, nieświadomi bardzo negatywnych konsekwencji podjęcia takich zachowań, a szczególnie dorastająca młodzież o nieukształtowanej jeszcze osobowości. To może prowadzić do późniejszych zaburzeń tożsamości i komplikacji w życiu osobistym. Te zagrożenia trzeba uświadamiać. Poza tym trzeba promować postawy wypracowane przez tysiące lat, czyli antropologię chrześcijańską. Warto uczyć odpowiedzialności za osobiste działania. To podstawa funkcjonowania dojrzałego społeczeństwa. A ta odpowiedzialność zanika. Dlatego wyraziliśmy przekonania, które, naszym zdaniem, powinny przyświecać życiu społecznemu. Warto jeszcze dodać, że gdy przyjmowaliśmy tę deklarację, mieliśmy prawo spodziewać się eskalacji promocji tej ideologii i wciąż mamy podstawy, by tak myśleć. Nasze działania wynikają przede wszystkim z troski o rodzinę i przyszłość dzieci.

Jednak przekonania przekładają się na pieniądze. Komisja Europejska, opozycja straszą utratą 2,5 mld euro.

Wydaje się, że jest wyraźny problem w komunikacji z Komisją Europejską. Można mieć wrażenie, że urzędnicy KE nie rozumieją tego, co my do nich mówimy. Nie wiem, jak można wyinterpretować ze słów, które są w deklaracji, a które cytowałem na początku, że my chcemy eliminować z życia publicznego ludzi? Poza tym z dokumentów negocjacyjnych przesłanych z KE dowiaduję się, że tu już nie chodzi tylko o tolerancję. Komisja oczekuje od nas promowania różnorodności preferencji seksualnych. I to ma być punkt wyjścia do negocjacji w sprawie środków finansowych.

To jest zapisane w korespondencji, która do pana trafiła?

Są takie zapisy w dokumencie, który mi udostępniono, przesłanym z Komisji Europejskiej w ramach negocjowania warunków uznania Zarządu Województwa Małopolskiego za instytucję zarządzającą środkami regionalnych programów operacyjnych. Urzędniczka KE pisze tak: „Obowiązkiem instytucji zarządzającej powinno być nie tylko zapobieganie dyskryminacji, ale również promowanie równości i różnorodności preferencji seksualnych". KE oczekuje przygotowywania projektów promujących tę różnorodność. Zdaniem pani urzędniczki przyjmowanie uchwał, takich jak nasza, to „stygmatyzowanie pewnej grupy osób". Ponadto pisze, że nie powinno mieć miejsca mówienie, że taka grupa jest niepożądana. A przecież takich sformułowań nie używamy ani nie mamy takich

eprasa.pl f5a6496d03

intencji. W dokumencie czytam, że „Uchwały te (...) są sprzeczne z celami art. 7 rozporządzenia 1303/2013". Artykuł, na który powołuje się KE, dotyczy promowania równości mężczyzn i kobiet (!) oraz niedyskryminacji płci w trakcie przygotowania i wdrażania programów. Chodzi o zapobieganie dyskryminacji ze względu na płeć (ale wymienia się tylko dwie, a nie kilkadziesiąt). Artykuł ten stanowi: „Państwa członkowskie i KE podejmują odpowiednie kroki w celu zapobiegania wszelkim formom dyskryminacji ze względu na płeć, rasę, pochodzenie etniczne, religię lub światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną podczas przygotowania i wdrażania programów". W moim przekonaniu wszystkie te warunki spełniamy. Szanujemy ludzi, ale oceniamy ich działania. Mamy do tego prawo. Tymczasem KE chce od nas promocji różnorodności, w tym edukacji w zakresie różnorodności seksualnej. Uważamy, że będzie to prowadzić do pogłębiania kryzysu rodziny. A przecież w Polsce mamy inne problemy. U nas dochodzi do dyskryminacji głównie ze względu na wysokość dochodów, ubóstwo, i to trzeba eliminować. Musimy wprowadzić równość, jaka od dość dawna istnieje na Zachodzie, czyli wspierać najsłabszych, wyrównywać szanse edukacyjne. Zachód od dawna stać było na programy socjalne, u nas 500+ wystartowało dopiero w 2016 r. Musimy dbać o rodziny, gospodarkę, transport. To prowadzi do równości i braku wykluczenia. Ważny jest też rozwój poradnictwa rodzinnego i wychowawczego dla wzmacniania instytucji rodziny. To są realne, nie zaś wyimaginowane problemy. Być może urzędnicy KE biorą pod uwagę historię niektórych państw Unii, w których miały miejsce krwawe wojny religijne, mordy na mniejszościach etnicznych i stąd ten lęk przed dyskryminacją. W Polsce spory ideowe czy konflikty etniczne nigdy nie były tak ostre, a postawy tolerancji pielęgnujemy od 600 lat.

Głos w sprawie zabrał także nowy RPO.

Dostałem niedawno list, w którym zastępca rzecznika praw obywatelskich pan Maciej Taborowski apeluje do radnych Sejmiku Województwa Małopolskiego o uchylenie uchwały przeciwko „ideologii LGBT". W liście tym RPO powiela stanowisko środowisk lewicowych i stawia nam zarzuty nieuzasadnione w treścią naszej deklaracji, ewidentnie sprzeczne z naszymi intencjami. Można odnieść wrażenie, że w opinii RPO nie mamy prawa bronić rodziny ani wpływać na sytuację społeczną, a nawet wyrażać poglądów na takie tematy. Zdaniem RPO ta uchwała narusza prawo do nauczania oraz prawo do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami, choć jest dokładnie odwrotnie. A my właśnie się domagamy, by rodzice takie prawo mieli. Postawa RPO jest dla mnie niezrozumiała. Uważam, że ma on obowiązek bronić również praw obywateli przywiązanych do tradycji chrześcijańskiej, a także dzieci przed kryzysem rodziny. RPO ostrzega też, że sądy administracyjne będą uchylać uchwały samorządów. No trudno. Dura lex, sed lex. Jeśli sądy uznają, że nie mamy prawa wypowiadać swojego zdania w obronie rodziny, to będą uchylać. Tylko co z naszą wolnością słowa?

> Osobiście uważam, że nie jest drogą do budowania wizerunku państwa presja na ograniczenie funkcjonowania stacji, która jest mocno krytyczna wobec rządu, często krzywdząco eksponuje potknięcia i unika pokazywania sukcesów, ale bywa też obiektywna

Czuje pan, że ona jest ograniczana?

Tak. Przez nakaz promocji neomarksistowskich poglądów. Fala indoktrynacji jest tak silna, że nawet nie wolno publikować danych o przestępczości w środowiskach LGBT. A tam częstość rozwodów czy konfliktów jest wysoka. Konsekwencje społeczne potężne. Co my więc mamy promować? Jak mam promować coś, co uważam za szkodliwe? Nawet za czasów PRL nikt mi nie kazał promować tamtego ustroju. My walczymy w istocie o prawo do kształtowania regionalnej polityki społecznej, o prawo do niełamania naszych sumień za pieniądze.

Niektóre województwa wycofały się z uchwał. Dlaczego?

Uległy presji ze strony instytucji UE. Włodarze gmin i województw boją się utraty środków, boją się, że stracą mieszkańcy. Jednak ja chciałbym mieć jasność, jak daleko zechce się posunąć KE we wpływaniu na naszą tożsamość. Gdzie ich poszanowanie różnorodności kulturowej w ramach Unii? Zaraz okaże się, że musimy promować aborcję, bo przecież według uchwały PE to prawo człowieka. Presja na nas, na łamanie naszych wartości to po prostu łamanie traktatów UE. Traktowanie nas jak podbitych ludów.

Opozycja mówi, że Sejmik Województwa Małopolskiego nie wycofał się z uchwały, ponieważ przewodniczący sejmiku ma syna w Pałacu Prezydenckim. I stąd ta twardość.

Powiedzieć można wszystko, ale ja chyba dość precyzyjnie wyłożyłem swój punkt widzenia. Jest on zgodny z poglądami większości obywateli, ale zapewniam, że nie ma on bezpośredniego związku z funkcją pełnioną przez mojego syna. Mój syn zawsze stał na stanowisku, że każdy z nas jest samodzielnym politykiem i podejmuje decyzje na własną odpowiedzialność. Jednak fakt, że teraz utrzymaliśmy w mocy naszą deklarację, nie kończy sprawy. Będzie ona dalej procedowana w najbliższym czasie, przy czym

eprasa.pl f5a6496d03

wiodącą rolę odgrywa tu zarząd województwa. W moim odczuciu w naszej deklaracji zawarliśmy sformułowania nieco zbyt emocjonalne, ale trzeba pamiętać, że była to reakcja na konkretne, bardzo niepokojące zdarzenia, takie jak praktycznie bezkarne profanowanie kościołów (m.in. w mojej parafii) czy obrażanie naszych uczuć religijnych. Uznaliśmy, że mamy prawo wyrazić zdecydowany sprzeciw wobec takich działań, tym bardziej że ówczesny RPO nie wykazywał szczególnej aktywności w obronie naszych praw. Z tekstem tej deklaracji jest trochę jak z „Marsylianką". Gdy czytamy słowa tej pieśni, włos się jeży na głowie, ale ona powstała w określonym kontekście historycznym. Nikt, kto ją dziś śpiewa, nie wzywa do nienawiści. Niestety użyte w naszej deklaracji określenie „ideologia LGBT", niezbyt fortunne, jakkolwiek dla większości obywateli zrozumiałe, zostało przez totalną opozycję wykorzystane do całkowitego zafałszowania naszych intencji, a przez to do szkalowania Polski w UE. Dlatego uważam, że nie wycofując się z przyjętych tam zobowiązań ideowych i konstytucyjnych, musimy wypracować nową treść uchwały. Potrzebne są nowe sformułowania. Nie powinno się mówić o „ideologii LGBT", trzeba podkreślić, że chodzi o „neomarksistowską ideologię gender (lub po polsku – płci kulturowej)" albo wyrazić ją opisowo. Trzeba jednoznacznie zadeklarować, że chodzi nam o ochronę rodzin, a szczególnie dzieci, przed deprawacją, co jest naszym konstytucyjnym obowiązkiem.

Uważam, że nie wycofując się z przyjętych w deklaracji zobowiązań ideowych, musimy wypracować nową treść uchwały. Potrzebne są nowe sformułowania. Nie powinno się mówić o „ideologii LGBT", trzeba podkreślić, że chodzi o „neomarksistowską ideologię gender"

A tak szerzej: myśli pan, że uda się zatrzymać rewolucję kulturową?

Patrzę na sytuację z niepokojem. Jeśli Europy nie zmiażdżą bardziej prężne ludy, które wiedzą, co naprawdę jest ważne, to może się okazać, że Polska stanie się oazą wolności, do której będą zmierzać ludzie, jak w poprzednich epokach. Np. w ucieczce przed eutanazją, na którą zgodę wyraża rodzina, a nie sam zainteresowany, czy też przed presją na unikanie podejmowania trudów rodzicielstwa nawet poprzez aborcję. Jeśli ludziom na Zachodzie przestanie się podobać to upojenie pseudowolnością, to może nasza cywilizacja wytrwa. Jeśli nie, staniemy się bezwolnymi konsumentami globalnej wytwórczości.

A jak wygrać młodzież, jak uczyć patriotyzmu?

Młodzieży trzeba otwierać oczy na zagrożenia. Niewątpliwie rośnie nam pokolenie nieodpowiedzialnych mężczyzn, przestraszonych roszczeniowością kobiet, i kobiet nastawionych wyłącznie na tzw. samorealizację. Dziś żyje się przeważnie ok. 80 lat, a nie 30 czy 40, jak w epoce renesansu, i poczucie spełnienia trzeba sobie zapewnić na cały ten czas. Życie chwilą nie wystarczy. Najlepszą ścieżką budowania własnej siły i spełnienia jest wiara i życie w łączności z Bogiem. Czerpię z tego od 70 lat. Ale ja mogę tylko radzić. Co do patriotyzmu, uważam, że powinien się on dziś przejawiać w braniu na siebie obowiązków społecznych, choćby w wychowaniu dzieci. Warto też kupować i promować polskie produkty. To patriotyzm gospodarczy, konsumencki. Natomiast od przedsiębiorców można w imię ich patriotyzmu oczekiwać odwagi w podejmowaniu ryzyka unowocześniania swoich produktów, zwiększania ich konkurencyjności, wchodzenia na nowe rynki. Niestety takiego patriotyzmu trochę nam brakuje, bo w rankingach innowacyjności Polska ciągle plasuje się w końcówce Europy.

Czy bycie ojcem prezydenta bardzo utrudnia życie?

Dla mnie to przede wszystkim ciągła świadomość olbrzymiej odpowiedzialności, jaką syn ponosi za wszystkie sprawy w państwie, za każdą dziedzinę życia społecznego. Bycie głową państwa to ciężki codzienny trud, który wprawdzie jest doceniany przez większość społeczeństwa, o czym świadczy wysoki poziom zaufania społecznego, ale spotyka się też często z bardzo krzywdzącymi ocenami, a nawet przejawami nienawiści. Ten trud i krzywdzące ataki widzę po chrześcijańsku jak dźwiganie krzyża, w którym duchowo, nawet mimo woli, ale świadomie uczestniczę, trochę jak Szymon Cyrenejczyk.

A czy prezydent, pana zdaniem, zawetuje nowelizację ustawy medialnej?

Wiem tyle, ile usłyszałem w mediach. Wiem też, jaki syn ma pogląd na wolność mediów od dawna. Ja osobiście uważam, że nie jest drogą do budowania wizerunku państwa presja na istotne ograniczenie funkcjonowania stacji, która jest mocno krytyczna wobec rządu, często krzywdząco eksponuje potknięcia i unika pokazywania sukcesów, ale bywa też obiektywna. Pozwala zobaczyć naszą sytuację w innym świetle, oczami przeciwników politycznych, wyborców innych partii. To jest wartość: móc zobaczyć, jak widzą to inni. Próba zamknięcia ust niczego nie zmienia, a daje pretekst do ataków. Jestem zwolennikiem pluralizmu mediów. Sam, by mieć najszerszy ogląd spraw, jestem widzem wszystkich serwisów informacyjnych. Żaden pojedynczy przekaz nie jest obiektywny. Dopiero wielostronny obraz zbliża nas do obiektywizmu. A jestem przekonany, że ten obiektywny obraz, uwiarygodniony ostrą krytyką, będzie per saldo korzystny dla opcji dobrej zmiany.

eprasa.pl f5a6496d03

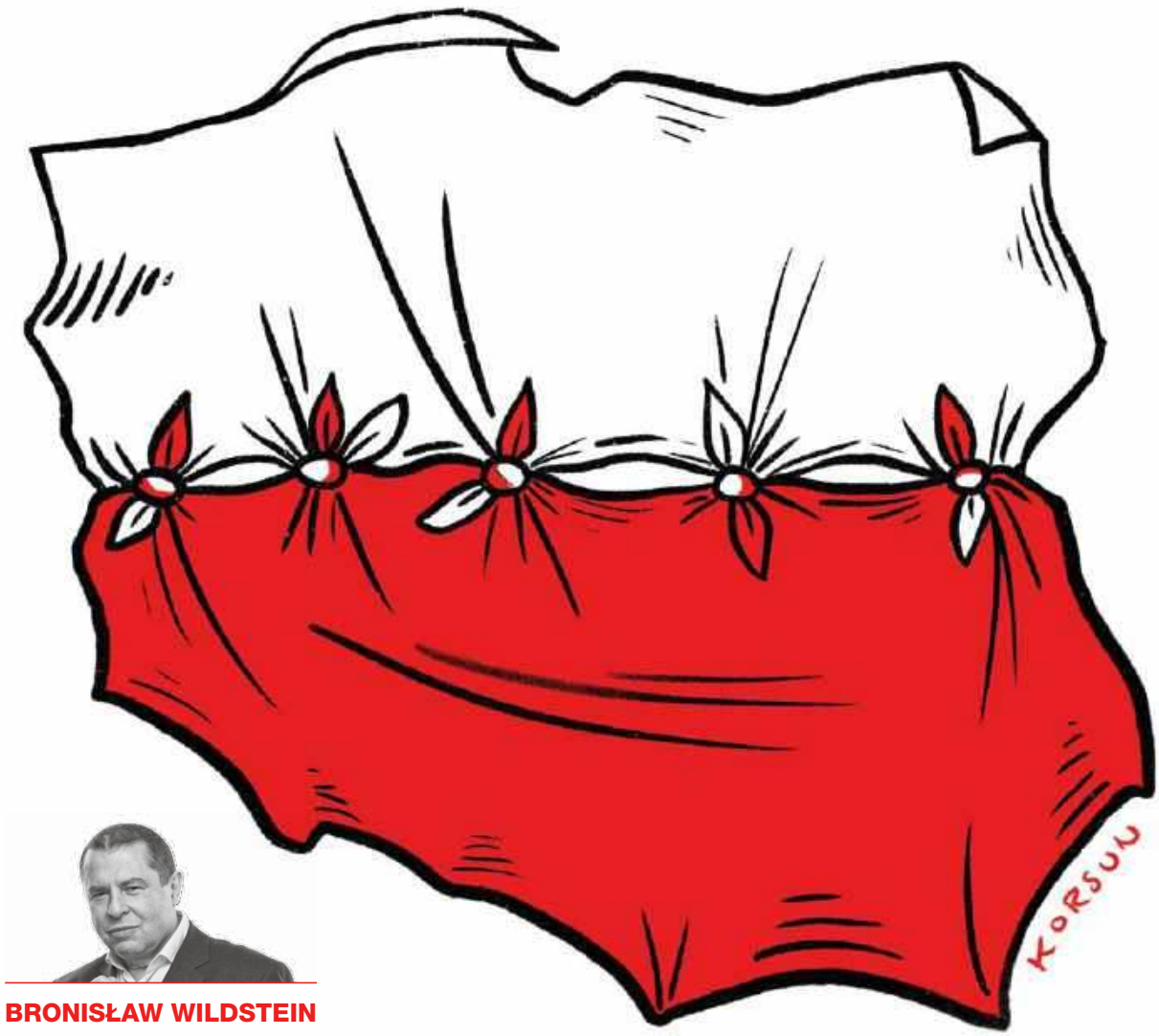

BRONISŁAW WILDSTEIN

Brzemię polskości

W artykule „Zrozumieć opozycję” Andrzej Kisielewicz, jak przystało na logika, uporządkował podstawowy spór, który dzieli dziś nasz kraj i sprowadził go do pytania „Jaka ma być Polska: niepodległa i suwerenna czy też stanowiąca podległą część zintegrowanej, sfederalizowanej Europy?”

Rzecznicy tej drugiej opcji zwykle nie nazywają jej wprost i deklarują, że to oni bronią niepodległości, którą utracimy, jeśli będziemy „brząkać szabelką”, czyli prowadzić podmiotową politykę. Ponieważ jednak domagają się „płynięcia w głównym nurcie”, który przecież nie Polska wyznacza, i uznają, że to instancje UE mają rozstrzygać wewnętrzne sprawy naszego kraju, to trzeba uznać, że opis Kisielewicza jest ze wszech miar trafny. Istotne jest jednak, że zwolennicy tych przeciwstawnych postaw stanowią co najwyżej połowę polskiego społeczeństwa, a reszta nie myśli w kategoriach ogólnych, natomiast politycznych wyborów dokonuje z perspektywy osobistego interesu. Można wprawdzie uznać, że ci, którzy mocno angażują się w polsko-polską wojnę, również robią to ze względu na swoje różnie postrzegane dobro, ale to, że wiążą je z losem zbiorowości, odróżnia ich od reszty.

Głębsze postawy naszego społeczeństwa odsłania to, że zwolennicy „europejskiej”, czyli federalistycznej, opcji zwykle unikają jej bezpośredniego nazwania.

eprasa.pl f5a6496d03

W wymiarze symbolicznym i emocjonalnym ciągle przywiązani jesteśmy do narodowej tożsamości i nawet wielu z tych, którzy przyszłość Polski widzą w podporządkowaniu jej europejskim strukturom, szczerze wierzy, że można te rzeczy ze sobą pogodzić. Pod tym względem Polacy różnią się niewiele od większości narodów naszego kontynentu. Inna sprawa, że w przypadku mieszkańców „starej" Europy okazuje się to możliwe, a dla Niemiec Unia jest wręcz wehikułem ich potęgi.

O postawie polskich federalistów dużo mówi wymiana zdań między Januszem Palikotem a Aleksandrem Kwaśniewskim blisko dziesięć lat temu. Ten pierwszy dużo bardziej prymitywny, a więc bezpośredni, rozzuchwalony chwilowym powodzeniem, rzucił, że Polacy „muszą wyrzec się polskości". „Proszę nie szaleć" replikował Kwaśniewski. Nie sądzę, aby peerelowskim funkcjonariuszem powodowały patriotyczne odruchy, wiedział jednak, jak niebezpieczne jest nazywanie wprost celu, do którego jego środowisko realnie dąży.

CZY PATRIOTYZM JEST CNOTĄ?

Jeśli uznamy, że nasza jednostkowa egzystencja wyprzedza umowę, jaką stanowią wszelkie byty społeczne, w tym naród, to wartość patriotyzmu sprowadza się do korzyści, jaką niesie dla indywiduum narodowy kontrakt, a jego zobowiązania to przestrzeganie prawa i życzliwość wobec tych, z którymi robimy interesy. Jest to podsumowanie dominującej dziś liberalnej ideologii, która z powodu swojej przemożnej dominacji w kulturze jawi się nam jako oczywista. Przecież doznajemy i postrzegamy jako byty indywidualne, a traktowanie zbiorowości jako podmiotu to, przy tego typu podejściu, groźna mitologia. Z tej perspektywy mocniejszy patriotyzm jest w ogóle niebezpieczny, gdyż powoduje niesprawiedliwe przedkładanie członków własnej wspólnoty nad innych.

Orientacja ta zapoznaje rolę kultury w kształtowaniu się człowieka i neguje jego wspólnotową naturę. Czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie ludzi bez wszelkich form języka i tradycji, która ich formuje? A kultura owa tak jak język występuje w partykularnych formach. Aby to dostrzec, nie trzeba odwoływać się do radykalnych cywilizacyjnych różnic, wystarczy zestawić ze sobą sąsiadów, takich jak Polacy i Niemcy albo Francuzi i Hiszpanie, jakkolwiek wszyscy oni należą do jednego szerokiego idiomu europejskiej kultury, który składa się jednak z narodowych pierwiastków.

Narody rozumiane politycznie i kulturowo są ciągle jeszcze najszerszą wspólnotą, z jaką ludzie potrafią się identyfikować. Dla zwolenników liberalnej ideologii jest to obciążenie, z którego należy ich wyemancypować nawet siłą – dla ich dobra oczywiście. Dla realistów, nazywanych współcześnie konserwatystami, to naturalny stan istnienia współczesnego człowieka. Tylko wychodząc od niego, możemy budować zespołową przyszłość. Realiści rozumieją zresztą, że ludzie muszą porządkować swoje lojalności ze względu na bliskość wspólnot, w których przyszło im egzystować, co tradycyjnie nazywane jest ordo caritatis (porządkiem miłosierdzia).

> Trudno być Polakiem, o narodową niepodległość i podmiotową rolę trzeba stale zabiegać, a nawet walczyć, i wielu z tych, którzy nie potrafią udźwignąć tego ciężaru, woli go odrzucić jako zgubny mit. To spośród nich rekrutują się twórcy pedagogiki wstydu

Dziś Unia zdominowana została przez liberalne elity, które nie licząc się z kulturalnymi odmiennościami, usiłują odgórnie narzucić utopijną wspólnotę. I jak zwykle w tego typu przedsięwzięciach to, co miały one wyplenić, zostaje tylko przesłonięte, aby funkcjonować tym bardziej intensywnie. Komuniści mieli wyzwolić robotników, a zaostrzyli ich eksploatację. Unia miała przezwyciężyć narodowe partykularyzmy, a w efekcie podporządkowała kontynent interesowi silniejszych i przekształciła go w nowe imperium, w którym rządzi centrum kosztem peryferii. Poczucie narodowych wspólnot nie zostało jednak przezwyciężone, ale narasta i owocuje choćby nowymi napięciami między narodami. Refleksem tego jest z trudem skrywane poczucie wyższości, a nawet pogardy „starej" Europy wobec jej postkomunistycznej prowincji.

Ta z trudem wydobywa się na mentalną niepodległość, na którą najmniej stać jej pogrążony w kolonialnym kompleksie establishment. Jego strategią, co jaskrawo obserwować możemy w naszym kraju, jest utrwalanie syndromu podległości u rodaków, co pozwala mu trwać przy władzy. Głównym przekazem temu służącym jest wmawianie Polakom, że bez UE nie byliby w stanie się rozwijać i utrzymać niepodległości. Propagujący te tezy generalnie sami w nie wierzą, z czym wiąże się realna pogarda dla ogółu swoich rodaków. Człowiek łatwo racjonalizuje swoje interesy, a twórcy propagandy choćby po to, aby skutecznie ją forsować, muszą uwewnętrzniać jej treści. Jak widać po statystykach, ciągle jeszcze potrafią narzucić Polakom obraz Unii niewiele mający wspólnego z prawdą.

UNIA, PATRIOTYZM, INTERESY

Obraz Kisielewicza grzeszy abstrakcyjnym charakterem. Gdyby Unia rzeczywiście gwarantowała nam to, co obiecują jej entuzjaści, racjonalne byłoby zważenie ich argumentów z tradycyjnym podejściem do narodowej wspólnoty. Do tego formalnie nawołują federaliści. Problem w tym, że rzeczywistość zaprzecza ich wizji.

W wymiarze ekonomicznym UE jest polem twardej konkurencji między poszczególnymi krajami, które co najwyżej zawierają doraźne sojusze. Jednym z trwalszych interesów „starej" Europy jest nie dopuścić, aby nowe kraje konkurowały z nią na równych zasadach. Z ekonomicznych swobód, które zapisane są w traktatach, dotrzymywane są te, które przynoszą korzyść unijnym potęgom, tzn. swobodny przepływ towarów czy kapitału. Natomiast swobodny przepływ usług jest oficjalnie i skutecznie blokowany głównie przez Francję.

Podwójne standardy stosowane przez instytucje UE obserwować możemy przy okazji zmasowanej agresji, którą przypuściły one przeciw reformom wymiaru

eprasa.pl f5a6496d03

sprawiedliwości w naszym kraju. Zmiany te polegają na dopuszczeniu władz ustawodawczych do wyboru sędziów, co jest praktyką w zachodniej Europie na większą skalę, niż projektują to rządy ZP. Ale to, co wolno w Niemczech, we Francji czy Hiszpanii, w Polsce okazuje się niedopuszczalne. Półgłosem zresztą mówią to niektórzy politycy tamtych krajów, powołując się na swoją demokratyczną i praworządną tradycję, co w wypadku naszego zachodniego sąsiada brzmi szczególnie paradoksalnie. Inna sprawa, że trudno wyobrazić sobie, aby znaczące środowiska polityków i prawników tamtych krajów zwracały się do centrów unijnych o interwencję w sprawach wewnętrznych swojego państwa, zwłaszcza że nie spotkałoby się to ze społeczną aprobatą jak, niestety, dzieje się to na dużą skalę w wypadku tego typu działań w Polsce.

Nie mamy więc do czynienia z dwoma równorzędnymi zestawami racji, ale ze zmistyfikowaną świadomością dużej części naszych rodaków. To, że wierzą oni w kreowane na ich użytek fantomy, jest znaczącym czynnikiem politycznym, ale nie zwalnia z obowiązku odsłonięcia prawdy.

Być może błędem ze strony polityków jest porównywanie obecnej opozycji do Targowicy, ale czy analogia ta nie narzuca się sama? Przecież szlachta, która odwoływała się do interwencji „najjaśniejszej imperatorowej”, występowała w obronie swojej „złotej wolności”, czytaj przywilejów, i święcie wierzyła zarówno w ich wartość, jak i w bezinteresowną pomoc wschodniego imperium.

POLSKA JAKO BRZEMIĘ

Obóz zwolenników federacji europejskiej w naszym kraju rozciąga się od realnych patriotów, którzy uznają, że układ polityczny każe nam zaakceptować to rozwiązanie jako optymalne dla Polski, po ludzi, którzy polskości nienawidzą i uznają ją za brzemię blokujące rozwój ziem między Odrą a Bugiem. To klasyczny przejaw resentymentu. Trudno być Polakiem, o narodową niepodległość i podmiotową rolę trzeba stale zabiegać, a nawet walczyć, i wielu z tych, którzy nie potrafią udźwignąć tego ciężaru, woli go odrzucić jako zgubny mit. To spośród nich rekrutują się twórcy pedagogiki wstydu. Postawa ta przenika się z dominującą na Zachodzie ideologią, która uznaje mocniejsze tożsamości za bariery dla emancypacji. Niektórzy wrogowie polskości mówią to wprost, inni orientując się w ciągle jeszcze znikomej nośności takiej postawy, nawołują do asymilacji do „europejskości”. Ponieważ jednak tożsamość taka nie istnieje, realnie oznacza zejście do roli prawie Niemców czy Francuzów, a więc Europejczyków drugiego sortu. Można przypuszczać, że wraz z postępami dominującej ideologii mentalność taka będzie się rozszerzać, chociaż nieprawdopodobne, aby stała się większościową.

> Ciągle jeszcze przywiązanie do narodowej, a więc i religijnej tradycji stanowi istotny czynnik wyboru Polaków. To, że mimo ogromnej nagonki w środowiskach opiniotwórczych w kraju i za granicą patriotyczna prawica drugi raz pod rząd wygrała wybory, dużo mówi o stanie ducha mieszkańców naszego kraju

Jak zauważa Kisielewicz, postawy polskiego społeczeństwa względem niepodległości nie są niczym szczególnym i oddają historyczne prawidłowości. To mniejszości broniły ideałów i interesów wspólnoty, reszta skupiała się na przeżyciu oraz zabieganiu o korzyść indywidualną i rodzinną. Tylko w szczególnych momentach większość potrafiła zaangażować się na rzecz wspólnego dobra. Ale ciągle jeszcze przywiązanie do narodowej, a więc i religijnej tradycji stanowi istotny czynnik wyboru Polaków. To, że mimo ogromnej nagonki w środowiskach opiniotwórczych w kraju i za granicą patriotyczna prawica drugi raz pod rząd wygrała wybory, dużo mówi o stanie ducha mieszkańców naszego kraju.

Można rozumieć postawę rządu Morawieckiego, który uznając, że najbliższe lata mogą zadecydować o skoku gospodarczym Polski – w czym pomogą europejskie fundusze – godzi się na ustępstwa w kwestii naszej suwerenności, w tym wymiaru sprawiedliwości, z którego reformy PiS wydaje się ostatnio rezygnować. Twarde stanowisko może kosztować pieniądze z UE i utratę władzy. A rząd obecnej opozycji nie tylko podporządkuje się brukselsko-berlińskiemu dyktatowi, ale wykorzystując środki, którymi będzie wówczas dysponować, na trwałe może zabetonować polską scenę polityczną z ogromną szkodą dla polskiej niepodległości.

Tyle że uznanie tego typu konieczności samo je buduje. Jak pisał na naszych łamach Jan Rokita, eksponowanie ponad miarę znaczenia wynegocjowanych przez Morawieckiego funduszy UE wzmacnia u Polaków żebraczą (to już moje określenie) mentalność. Nie jesteśmy uzależnieni od unijnej pomocy, a postawa rządu Węgier, kraju mniejszego i słabszego, pokazuje, że można wyrwać się z pułapki takiego nastawienia, co wcale nie znaczy spowolnienia rozwoju. Może być wręcz przeciwnie.

Historia znowu przyspieszyła, a obecny stan globalnej polityki uznać można za wyjątkowo dynamiczny, a więc trudno przewidywalny. Europejska mania ekologiczna stawia pod znakiem zapytania wszelkie możliwe zyski z przynależności do Unii. Obłęd ideologiczny establishmentu zachodniego i samobójcze tendencje Europy wywołują reakcję jej narodów. Ma to wpływ na stan rzeczy także w naszym kraju. Można odnieść wrażenie, że na UE Polacy patrzą coraz bardziej realistycznie. Sytuacja jest płynna i nie jesteśmy skazani na podział naszego kraju na obrońców jego niepodległości i zwolenników roztopienia go w Unii. Zwłaszcza że coraz więcej Polaków zaczyna rozumieć, że nie byłaby to europejska utopia, ale niemieckie dominium. Patriotyczne elity powinny nie tylko dążyć do utrzymania władzy, ale przede wszystkim przekonywać do niepodległościowych racji ogół obywateli, tak aby zrozumieli oni, że wiąże się to także z ich dosłownie pojętym interesem.

Reklama | 49/0721/F

eprasa.pl f5a6496d03

PKO BANK POLSKI Z TYTUŁEM BANK OF THE YEAR IN POLAND

Już po raz szósty w historii magazyn „The Banker" przyznał PKO Bankowi Polskiemu główną nagrodę w kategorii „Bank of the Year in Poland". Dzięki innowacyjności i stawianiu na digitalizację udało się nam stworzyć usługi bankowe przyjaźniejsze użytkownikom.

Bank Polski

PKO Bank Polski otrzymał nagrodę „Bank of the Year 2020 in Poland", przyznawaną przez brytyjski miesięcznik „The Banker" należący do grupy Financial Times, za m.in. innowacyjne rozwiązania technologiczne, rozwój aplikacji mobilnej IKO, wykorzystanie technologii blockchain oraz utworzenie Chmury Krajowej.

The Banker
Bank of the Year 2020
POLAND

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Trudny powrót do szkoły

Mam wrażenie, że w tym roku początek nauki to będzie doświadczenie trudniejsze niż zwykle dla wielu osób. Wszyscy podkreślają, że powinien być to przede wszystkim czas integracji, odbudowywania dobrych relacji z nauczycielami i rówieśnikami. Zwłaszcza że nie wiemy, czy ten tzw. powrót do normalności będzie już ostateczny

Z dr. hab. n. med. Maciejem Pileckim, kierownikiem Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, członkiem zespołu roboczego ds. zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży przy ministrze zdrowia, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

1 września uczniowie wracają do szkoły. Dla kogo to będzie najtrudniejsze? Dla dzieci, nauczycieli, rodziców? A może uczniowie przekroczą próg szkoły z radością, że nareszcie wracają do tego, co znali jako normalność?

Maciej Pilecki: Większość uczniów przeżyje początek roku szkolnego z takimi uczuciami, jakie zwykle im towarzyszyły w poprzednich latach. Z jednej strony będą się cieszyć, że wracają do szkoły, z drugiej niepokoić tym, co rok szkolny niesie, czyli nauką, sprawdzianami, kartkówkami. Wyjątkowe w początku tego roku szkolnego jest to, że następuje po długim czasie nauki zdalnej, która w różnym stopniu, w zależności od szkoły i uczniów, była efektywna, jeśli chodzi o przyswajanie wiedzy. Niektórzy mogą być zaniepokojeni tym, z jakimi wiadomościami wracają do szkoły. Większość będzie się cieszyła ze spotkania rówieśników, ale są osoby, które przez czas izolacji odsunęły się od koleżanek, kolegów i mogą mieć trudność w powrocie do grupy. Mam wrażenie, że w tym roku początek nauki to będzie doświadczenie trudniejsze niż zwykle dla wielu osób. Wynika to z perspektywy doświadczeń klinicznych, zwykle początek sierpnia to był taki czas, kiedy mieliśmy najmniej konsultacji młodych ludzi w kryzysie.

Teraz było inaczej?

Tak, więcej niż w analogicznym okresie przed pandemią.

Bo to nie jest taki normalny powrót do szkoły po dwóch miesiącach wakacji. Ten okres izolacji, niepokój, stres, ciągłe zmiany... Dzieci potrzebują stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa.

Tak, prognozy epidemiologiczne nie są jednoznaczne. Trudno orzec, na jak długo i jak stabilny będzie powrót do szkoły. To też może nasilać niepokój. Obserwowaliśmy przy poprzednim powrocie do nauki w szkołach, że nauczyciele niepewni, jak długo będą mieli możliwość nauczać stacjonarnie, koncentrowali się na tym, żeby zrealizować jak największą część programu w jak najkrótszym okresie. To jest też pewne ryzyko i niebezpieczeństwo początku tego roku szkolnego. Wszyscy podkreślają, że powinien być to przede wszystkim czas integracji, odbudowywania dobrych relacji z nauczycielami i rówieśnikami. Zwłaszcza że nie wiemy, czy ten tzw. powrót do normalności będzie już ostateczny. Jak będzie, jaki scenariusz nastąpi, to zresztą odpowiedzialność każdego z nas, mamy na to wpływ, szczepiąc się i przestrzegając wszystkich zasad sanitarno-epidemiologicznych.

Czyli pierwsze dni ucznia w szkole to czas odszukania spokoju, więzi rówieśniczych, przyjaznych nauczycieli?

Nauczyciele powinni się skoncentrować na tych uczniach, którzy z jakiegoś względu gorzej poradzili sobie z czasem izolacji w kontekście relacji rówieśniczych czy nauki. Ci, którzy mieli dobre, intensywne relacje rówieśnicze, zachowali je przez okres pandemii. Natomiast ci, którzy byli na obrzeżach grupy, nie mieli tak silnej więzi z innymi osobami, to są ci uczniowie, którzy cierpieli z powodu samotności. To jest ważna rola nauczycieli, żeby zwrócili uwagę na samopoczucie, na funkcjonowanie, na bycie w grupie, na odtworzenie więzi

eprasa.pl f5a6496d03

grupowej, a nauka, w moim poczuciu, jest tutaj drugim celem, drugą w kolejności ważną kwestią.

Oprócz nowej sytuacji, z którą zetknęli się uczniowie w czasie izolacji, czyli nauki zdalnej, istotne jest to, co działo się w domu? Dzieci bardzo mocno reagują na różnego rodzaju sytuacje rodzinne, a przecież wiemy o tym, że wielu rodziców straciło pracę, miało problemy, z trudem znosili niepewność, czy praca będzie, czy nie.

Stresujące były też relacje rodzinne wszędzie tam, m.in. w ochronie zdrowia, gdzie rodzice nie mogli pozostać w domu i musieli iść do pracy mimo ryzyka dla zdrowia czy życia. Dzieci zdawały sobie z tego sprawę. Paradoksalnie czasami też trudne były doświadczenia większej intensywności relacji rodzinnych. Wtedy, kiedy ktoś, kogo długo nie było w domu albo bywał rzadko, powracał do codziennego wspólnego życia. Nie było wentylu bezpieczeństwa pod postacią np. wyjścia z domu, mijania się.

To znaczy, że jak rodzice bywali w domu od święta i teraz byli na co dzień, dzieci miały poczucie, że mają mniej swobody, że skurczyła się otaczająca je strefa prywatności, wolności?

Tak, mówimy tu o dzieciach, nastolatkach, ale to też dotyczy studentów, bo część tych młodych ludzi wróciła do domu na okres nauczania zdalnego z wszystkimi tego dobrymi, ale też trudnymi konsekwencjami.

Jedni twierdzą, że zdalne nauczanie miało swoje pozytywy, bo dzieci i młodzież nauczyły się szukać wiedzy, korzystać z różnego rodzaju źródeł, ale drudzy zwracają uwagę na to, że stwarzało to swoistego rodzaju rozluźnienie, można siedzieć przed ekranem, ale na boku robić coś innego, bo nauczyciel nie widzi.

Czas spędzany przed komputerem był długi, z wszystkimi tego emocjonalnymi, ale też biologicznymi konsekwencjami. Nie jest obojętne dla zdrowia, kiedy tak wiele godzin spędza się przed ekranem komputera. Były szkoły czy nawet przedszkola, które z nauczaniem zdalnym radziły sobie lepiej, i takie, które organizowały to gorzej. Dla części uczniów było to rzeczywiście otwarcie na poszukiwanie źródeł, pogłębianie swojej wiedzy. Uczniom mającym jednak trudności w koncentrowaniu się to, że można uczestniczyć w lekcji, ale robić w tym czasie wiele innych rzeczy, bardzo utrudniało przyswajanie wiedzy. Zresztą, jak w każdej trudnej sytuacji, ci, którzy zwykle dobrze sobie radzą, szybko się adaptują i być może nawet wyciągają z tego jakieś korzyści, natomiast ci, którzy nie mają takiej łatwości w radzeniu sobie ze stresem, ponoszą tego konsekwencje. Powinniśmy teraz koncentrować się właśnie na nich.

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę przeprowadziła badanie wśród nastolatków, pytając o to, jak znoszą pandemię. Jedna trzecia dzieci wieku 13–17 lat określiła swój stan psychiczny jako zły. To wynik izolacji?

Adolescencja, czyli lata między dzieciństwem a dorosłością, to jeden z najtrudniejszych okresów w naszym życiu. Nawet przed pandemią nasilenie objawów depresyjnych w tej grupie wiekowej wynosiło ok. 30 proc. Oczywiście są czynniki, które mogą te trudności nasilać i czymś takim bez wątpienia jest m.in. pandemia. Spowodowała ona, że ci, którzy radzili sobie bardzo dobrze, zaczęli radzić sobie trochę gorzej, ci, co radzili sobie trochę gorzej – źle, a ci, którzy radzili sobie źle – bardzo źle. Zobaczymy, jakie będzie miało to długoterminowe konsekwencje, bo nie przeminą one, gdy ryzyko infekcji się skończy.

Wspomniał pan o godzinach spędzanych przed komputerem. Zauważono to w Ministerstwie Zdrowia. Przygotowuje się pilotażowy program leczenia dzieci i młodzieży nałogowo używających nowych technologii cyfrowych. Jeszcze przed pandemią wielu rodziców, nauczycieli, specjalistów skarżyło się, że dzieci zbyt dużo czasu poświęcają internetowi.

Bez wątpienia takie programy są potrzebne, zresztą także wiele innych programów, które w specjalistyczny sposób skoncentrują się na wybranych problemach psychicznych występujących u dzieci i młodzieży. Od kilkunastu miesięcy obserwujemy epidemię anoreksji psychicznej, narastającym problemem jest otyłość, więcej jest samouszkodzeń i ryzykownego używania substancji psychoaktywnych przez młodzież – to też można wiązać z pandemią. To, co nazywamy uzależnieniem od internetu, to pewien sposób radzenia sobie z różnymi trudnościami emocjonalnymi z użyciem nowych mediów. Trzeba zwrócić uwagę na naszą olbrzymią odpowiedzialność pod tym względem jako rodziców i opiekunów. Musimy uchronić nasze dzieci przed tym, by korzystanie z internetu nie było najprostszym i najbardziej dostępnym sposobem radzenia sobie z różnego rodzaju napięciami emocjonalnymi. Zaczyna się to od uspokajania naprawdę małych dzieci bajką z komórki, karmieniem przed ekranem. Obecnie kontakt z nowymi mediami zaczyna się często przed drugim rokiem życia i od rodziców zależy, żeby nie był nadmierny i został wpisany w jakieś roztropne ramy. Potem, gdy mamy

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl f5a6496d03

do czynienia z nastolatkiem, który ma 12, 15 czy 17 lat, wprowadzenie ograniczeń w używaniu internetu i sugerowanie alternatywnych sposobów radzenia sobie z emocjami może się już nie udać.

Nie ulega wątpliwości, że pomoc psychologiczna będzie dzieciom i młodzieży bardziej potrzebna niż przed pandemią. Pedagog szkolny, poradnia psychologiczna, a kiedy stan jest bardzo zły i wymaga pomocy farmakologicznej i obserwacji, to już tylko psychiatra i zamknięte oddziały szpitalne. Jak tego uniknąć?

To jest model, który działał w Polsce jakiś czas temu i na szczęście się zmienia. Najistotniejszym aspektem opieki nad dziećmi i młodzieżą z problemami emocjonalnymi i zaburzeniami psychicznymi od jakiegoś czasu są środowiskowe poradnie psychologiczne. W kraju jest ich ponad 300, ma być więcej. Można się do nich zgłosić bez skierowania, oferują pomoc blisko miejsca zamieszkania czy nauki. Dopiero osoby, którym te ośrodki pierwszego poziomu nie potrafią pomóc, które wymagają konsultacji psychiatrycznej czy farmakoterapii, kierowane są do specjalistycznych poradni psychiatrycznych bądź oddziałów zamkniętych. Pomoc uzyskać można również u pedagogów i psychologów szkolnych czy w poradniach pedagogiczno-psychologicznych. W ok. 1/4 z nich działają zespoły terapeutyczne, które oferują psychoterapię. Oczywiście pomoc psychologiczno-psychiatryczna dla dzieci i młodzieży powinna być jeszcze bardziej dostępna. Już teraz jednak, jeśli tylko nie chodzi o bardzo pilną interwencję, można umówić się na taką wizytę i uzyskać pomoc. To duża i znacząca zmiana, jaka się ostatnio dokonała w systemie opieki nad dziećmi i młodzieżą z problemami emocjonalnymi i zaburzeniami psychicznymi.

Rodzice nie zawsze zauważą, że coś złego dzieje się w psychice dziecka.

Bardzo ważna, jeśli nie najważniejsza, jest postawa wszystkich osób, które mają styczność z dziećmi w szkole. Nauczyciele, pedagodzy, psycholodzy szkolni to osoby, które mają doświadczenie i często przeszły różnego rodzaju specjalistyczne szkolenia związane ze zdrowiem psychicznym dzieci i młodzieży. Najczęściej to właśnie oni widzą, że z uczniem dzieje się coś niepokojącego, ale bywa, że nie udaje im się przekonać rodziców o potrzebie wizyty u psychiatry czy psychoterapeuty. Rodzicom jest znacznie trudniej dostrzec problemy emocjonalne dziecka, bo pojawiają się mechanizmy psychologiczne, które powodują, że oddalają od siebie te najbardziej niepokojące scenariusze, zaprzeczają, racjonalizują, bagatelizują to, co się dzieje, nawet jeśli budzi to jakiś niepokój. Nie powinni lekceważyć tego niepokoju, ale też słuchać osób, które znają dziecko i sugerują wizytę u psychologa czy psychiatry.

Szukanie pomocy u psychologa czy psychiatry było stygmatyzowane, rodzice wstydzili się nawet o tym mówić, bo bali się opinii, że są złymi rodzicami, skoro nie potrafią sami pomóc swojemu dziecku.

Mówi pani w czasie przeszłym, a ja ma poczucie, że to się cały czas dzieje i że nadal wstydzimy się tego, by pójść do psychiatry czy psychologa z naszym dzieckiem. Mamy poczucie, że to wystawia nam jakąś negatywną recenzję jako rodzicom. Boimy się inności, boimy się odmienności, boimy się, że psychiatra czy psycholog tę odmienność czy inność dziecka nazwie. Niektóre choroby psychiczne wydarzą się bez względu na to, co zrobimy lub jak będziemy się zachowywać w stosunku do naszego dziecka, ale pojawienie się większości zaburzeń psychicznych podlega wpływom czynników środowiskowych, a to znaczy, że jeśli w porę zareagujemy, jeśli dziecko otrzyma adekwatną pomoc, to wielu problemów możemy uniknąć. Reagując na pierwsze niepokojące sygnały, jesteśmy w stanie powstrzymać rozwój zaburzeń emocjonalnych i psychicznych u dzieci.

> W każdej trudnej sytuacji ci, którzy zwykle dobrze sobie radzą, szybko się adaptują i być może nawet wyciągają z tego jakieś korzyści, natomiast ci, którzy nie mają takiej łatwości w radzeniu sobie ze stresem, ponoszą tego konsekwencje. Powinniśmy teraz koncentrować się właśnie na nich

Ale chyba psychiczna plaga nie dotknęła całego pokolenia „pandemicznych" dzieci?

Większość z nich poradzi sobie, powinniśmy się koncentrować na tych, dla których jest to doświadczenie trudniejsze niż dla innych. Dla nich powrót do grupy rówieśniczej, kontakt z ulubionymi nauczycielami, a nawet nauka będzie tym, co ich wzmocni i ustabilizuje. Musimy się postarać rozpoznać, kto potrzebuje wsparcia i znaleźć miejsce, gdzie ta pomoc będzie mogła być udzielona.

W jaki sposób rodzice mogą pomóc w tym pierwszym okresie adaptacji dzieci w szkole?

Rodzice muszą ustalić priorytety. Wynik egzaminu maturalnego, testów ośmioklasisty jest niezwykle istotny, ale być może to nie jest ta kwestia, którą w tym roku szkolnym rodzice powinni przejmować się najbardziej. Mam zresztą wrażenie, że my trochę ulegamy pewnej iluzji, mówiąc o końcu pandemii, powrocie do zwykłej nauki i do świata przedpandemicznego. Zobaczymy, co się wydarzy. Możliwa jest przecież czwarta fala pandemii. Bez względu jednak na przebieg epidemii teraz należy wykorzystać czas na odtworzenie więzi, bliskości, integrację grup, wciąganie w nie tych, którzy w nich nie uczestniczą. I to powinno być najważniejszym celem.

Reklama | 43/0821/F

eprasa.pl f5a6496d03

ZESTAW KIBICA

stop. cafe

ZWYCIĘSKIE POŁĄCZENIE

ORLEN | POLSKA | Polski Komitet Paraolimpijski

SPONSOR STRATEGICZNY

Promocja trwa od 1.07.2021 r. do 31.08.2021 r. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji dostępne są na www.stopcafe.pl

eprasa.pl f5a6496d03

Syn marnotrawny

Kiedyś pił i ćpał. Teraz maluje, a jego obrazy sprzedają się nawet za pół miliona dolarów. Tyle że kupcom dzieł Huntera Bidena zapewne nie chodzi o ich artystyczne walory, lecz o możliwość dostępu do jego ojca

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Stara zasada mówi, że towar jest wart tyle, ile ktoś jest gotów za niego zapłacić. Jest to szczególnie prawdziwe, gdy towarem tym jest dzieło sztuki. O gustach się w końcu nie dyskutuje. A skoro obrazy Huntera Bidena, 51-letniego syna prezydenta USA, znajdują odbiorców oraz galerie, które chcą je wystawić, to co w tym złego? – pytają obrońcy niesfornego potomka Joego Bidena. Skoro już zaczął malować tuż przed wyborami prezydenckimi – to zawsze lepsze od jego poprzednich zajęć: picia, ćpania i gubienia laptopów z kompromitującymi e-mailami i zdjęciami. Należy się z tego cieszyć i go zachęcać. A zamiast tego złośliwcy, oczywiście z prawej strony sceny politycznej, grzmią, że bohomazy Huntera nie są nic warte, a kolekcjonerzy nabywają je tylko po to, by w ten sposób kupić sobie dostęp do jego ojca.

Jak możemy przeczytać na łamach gazety „The Oregonian", syn Bidena „mógłby sprzedawać papierowe torby, a ludzie by je kupowali, wypełniając je dolarami". Jest otwarcie mowa o korupcji. Mówi o niej m.in. Walter Shaub, za czasów Baracka Obamy szef Biura ds. Etyki Rządowej (OGE). „Hunter Biden powinien zrezygnować z wystawiania swoich dzieł oraz z ich sprzedaży, ponieważ ceny, które osiągają, są pokłosiem stanowiska piastowanego przez jego ojca" – pisał Shaub w lipcu na Twitterze. A są to ceny bardzo wysokie. Od 75 tys. do nawet 500 tys. dol. za obraz. Jak na kogoś, kto nigdy wcześniej nie malował, a pierwsze wystawy ma wciąż przed sobą – w Los Angeles we wrześniu i w Nowym Jorku w październiku – jest to wręcz oszałamiający sukces.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że nawet gdyby Hunter Biden nie był synem prezydenta, znalazłby się ktoś wśród 7 mld mieszkańców Ziemi, który chciałby kupić jeden z jego obrazów za tak zawrotną sumę, ale jest to – jak podkreślił w rozmowie z Narodowym Radiem Publicznym (NPR) krytyk sztuki Felix Salmon, „bardzo mało prawdopodobne".

Inni krytycy, jak laureat Nagrody Pulitzera i dziennikarz „The Washington Post" Sebastian Smee, traktują obrazy Huntera jako „rodzaj terapii, bardziej niż sztuki". Nic, co byłoby warte pokazania światu.

TRZY LAPTOPY

Abstrahując od walorów estetycznych i artystycznych obrazów syna prezydenta USA, stały się one (politycznym) obciążeniem dla administracji Bidena. W lipcu dziennikarze grillowali w tej sprawie rzeczniczkę Białego Domu Jen Psaki. Zapewniała ona, że nabywcy obrazów pozostaną całkowicie anonimowi. „Sprzedaż odbędzie się za pośrednictwem galerii" – podkreśliła. Nie uspokoiło to krytyków, tym bardziej że syn prezydenta zamierza uczestniczyć osobiście w otwarciu swoich wystaw, m.in. w nowojorskim Soho. A tam będzie się aż roiło od potencjalnych kupców. Ponadto nie jest żadną tajemnicą, że zainteresowanie obrazami Huntera wykazują głównie kolekcjonerzy z Chin, Iranu czy Rosji. „Poufność to złudzenie, szczególnie w świecie sztuki, a tu dochodzi do tego polityka" – uważa Richard Painter, ekspert Białego Domu ds. etyki za prezydentury George'a W. Busha. Według Paintera syn marnotrawny po raz kolejny próbuje zbić kapitał na stanowisku ojca, który znów nie potrafi nad nim zapanować. Nie potrafi lub nie chce.

Hunter musiał się już tłumaczyć ze swojego hulaszczego trybu życia (aż sześć razy był na odwyku), zamiłowania do prostytutek oraz nielegalnego lobbingu. Niedawno do mediów wyciekło nagranie wideo, na którym nagi syn prezydenta USA skarży się równie nagiej prostytutce w hotelowym pokoju, że rosyjscy handlarze narkotyków znów ukradli mu laptopa. Do kradzieży miało dojść w 2018 r. w jednym z hoteli w Las Vegas, gdy syn prezydenta leżał nieprzytomny w wannie. Miały się w nim znajdować kompromitujące zdjęcia natury seksualnej. Byłby to już trzeci laptop, który zginął mu w dziwnych okolicznościach. Pierwszy oddał kilka lat

Fot. Backgrid/East News

eprasa.pl f5a6496d03

Tak maluje Hunter Biden

temu do naprawy w Delaware, a potem zapomniał go odebrać. Znajdujące się w nim zdjęcia oraz e-maile wypłynęły później na jednym z chińskich portali internetowych oraz na łamach konserwatywnego dziennika „The New York Post". Trafiły także w ręce Rudy'ego Giulianiego, byłego burmistrza Nowego Jorku oraz doradcy Donalda Trumpa. W końcu po długich perypetiach twardy dysk przejęło FBI. Kolejny laptop został znaleziony przez agencję antynarkotykową DEA podczas zatrzymania psychiatry Keitha Ablowa, którego Hunter był pacjentem. Najdziwniejsze jest to, że choć kradzież laptopa oburzyła Huntera, bardziej martwił się tym, że „ktoś inny zarobi miliony na moich zboczonych zdjęciach".

WSPARCIE OJCA

Nie wiadomo, czy laptop się kiedykolwiek odnajdzie, a przede wszystkim gdzie. Wiadomo za to – bo tak wynika z zawartości poprzednich dwóch – że Joe Biden aktywnie wspierał syna w jego zagranicznych przedsięwzięciach biznesowych. Zapraszał m.in., gdy był wiceprezydentem, jego partnerów biznesowych na śniadania do Białego Domu. Na zdjęciach odnalezionych w laptopach Huntera Joe Biden pozuje m.in. z meksykańskim miliarderem Carlosem Slimem oraz Miguelem Alemánem Magnanim, założycielem taniej linii lotniczej Interjet. Hunter i wieloletni dobroczyńca rodziny Bidenów Jeff Cooper próbowali w 2013 r. wejść na rynek energetyczny w Meksyku, po tym jak ówczesny prezydent Enrique Peña Nieto otworzył go dla zagranicznych inwestorów. W zamian za pomoc w tym przedsięwzięciu syn Bidena pomógł Magnaniemu uzyskać pozwolenia na operacje na amerykańskim rynku lotniczym. Potem były interesy w Rosji, Kazachstanie, Chinach i na Ukrainie. Za każdym razem Joe Biden używał swojej pozycji do tego, by pomagać synowi i często zabierał go ze sobą, gdy udawał się na oficjalne zagraniczne wizyty.

W biznesach Huntera uczestniczyli także jego wujek James Biden i Christopher Heinz, pasierb Johna Kerry'ego. Hunter na koneksjach ojca zarabiał miliony. Ukraińska spółka Burisma – największa w tym kraju firma paliwowo-energetyczna – przyznała otwarcie, że „zatrudniła go wyłącznie ze względu na nazwisko". Sprawa Burismy rzuciła zresztą poważny cień na kampanię prezydencką Bidena. Hunter dołączył do rady nadzorczej spółki w 2014 r. Początkowo dostawał 50 tys. dol. miesięcznie, a potem jego wynagrodzenie urosło do ponad 200 tys. A czasy były burzliwe. Majdan, agresja rosyjska na Ukrainę. Nowe władze w Kijowie zabrały się do walki z korupcją. Burisma znalazła się na celowniku prokuratora generalnego Wiktora Szokina. Hunter poskarżył się ojcu, a ten zmusił prezydenta Petra Poroszenkę do wyrzucenia prokuratora, pod groźbą nieprzyznania Kijowi miliardowej pożyczki.

PRZYKRYĆ MILCZENIEM

Podobnym sposobem syn prezydenta zapewnił sobie biznesowe deale w Chinach. Ojciec zabrał go na oficjalną wizytę do Pekinu. Wrócił z kontraktami wartymi miliony. Młody Biden zarabiał także, doradzając rosyjskim biznesmenom i spółkom. W jego historii jest w sumie wszystko: handel wpływami, korupcja, bogactwo i upadek. Mimo ogromnych zarobków syn prezydenta USA skończył jako bankrut. W 2017 r. miał same długi – na kartach kredytowych, u mafii, i ścigał go urząd podatkowy. Musiał też płacić alimenty na dziecko, które zrobił naćpany striptizerce. W międzyczasie romansował z wdową po swoim bracie Beau Bidenie i raz za razem odwiedzał odwyk. Gdyby był synem Donalda Trumpa, media by go ukrzyżowały. Nigdy by się z tego nie podniósł. A jego ojciec nie wygrałby wyborów prezydenckich. Ale jest synem polityka demokratów, i to nie byle jakiego, więc mainstreamowe media zrobiły wszystko co w ich mocy, by przykryć jego wybryki milczeniem, a te, których nie były w stanie przemilczeć, minimalizować. Nagrania ze spotkania Huntera z prostytutką w hotelu, na którym mówi o skradzionym laptopie, opublikował tylko „New York Post". Dzięki temu Hunter mógł się odrodzić jako artysta i dziś pozuje uśmiechnięty na tle kolorowych kleksów na płótnie. Nikt nie pyta, jakie kompromitujące materiały mogą mieć na niego Rosjanie czy Chińczycy, którymi mogliby przecież szantażować także jego ojca. A nie jest to pytanie bezpodstawne, szczególnie na tle zgody administracji Bidena na Nord Stream 2.

Zamiast odpowiadać na trudne pytania, Hunter maluje, opublikował swoją biografię (w której relacjonuje głównie, gdzie ćpał i za ile) i dalej żyje z nazwiska ojca. Dzieci Trumpa nie ćpały, nie gubiły laptopów ani nie tarzały się w pokojach hotelowych z prostytutkami, mimo to każde ich nawet najdrobniejsze przewinienie było wałkowane tygodniami w mediach. Jak powiedział niegdyś Noam Chomsky, „obłudnicy to ci, którzy stosują wobec innych standardy, których sami nie chcą zaakceptować".

eprasa.pl f5a6496d03

W inauguracji Platformy Krymskiej wziął udział praktycznie cały demokratyczny Zachód, jeśli tym politycznym terminem objąć również Japonię i Australię

Krymska ofensywa Zełenskiego

JAN ROKITA

Kijowska inauguracja Platformy Krymskiej z udziałem 42 państw oraz Unii Europejskiej i NATO jest sporym sukcesem prezydenta Ukrainy. Widać to wyraźnie, zważywszy, że polityczny klimat dla Kijowa jest ostatnio nie najlepszy, odkąd dwójka wielkich graczy – Joe Biden i Angela Merkel – uporczywie kombinuje, jak by tu sprytnie przywrócić znów Rosję do normalnej dyplomacji międzynarodowej

eprasa.pl f5a6496d03

Fot. East News

Pomimo tych przeciwnych wiatrów Wołodymyrowi Zełenskiemu udało się wytworzyć na tyle silną moralną i polityczną presję, że żaden z rządów demokratycznych nie odważył się otwarcie zbojkotować zaproszenia do Kijowa na 23 sierpnia, w przededniu święta niepodległości Ukrainy. Przysłali jakichś tam ministrów nawet ci (np. Włosi), którzy zapewne po cichu musieli pomstować, że zmusza się teraz ich kraje do udziału w przedsięwzięciu, o którym z góry było wiadomo, iż w Moskwie zostanie uznane za „groźbę agresji przeciw dwóm podmiotom Federacji Rosyjskiej" (jak oświadczyła obruszona rzeczniczka rosyjskiego MSZ).

Co prawda nieprzyjemną dla Zełenskiego manifestację urządziła kanclerz Merkel, która dokładnie dzień wcześniej przybyła na chwilę do Kijowa, aby tam publicznie bronić rury bałtyckiej, po czym parenaście godzin przed inauguracją Platformy Krymskiej odleciała do Berlina. A przecież Merkel musiała być świadoma, jak bardzo prezydentowi Ukrainy zależy na jej osobistym udziale w tym przedsięwzięciu.

REGIONALNA SOLIDARNOŚĆ

W inauguracji Platformy wziął udział praktycznie cały demokratyczny Zachód, jeśli tym politycznym terminem objąć również Japonię i Australię. Ale w kancelarii prezydenta Ukrainy musiano wyciągnąć wnioski z ciekawej listy tych krajów, które Platformę Krymską potraktowały z całym zaangażowaniem, gdyż w ich imieniu pojawili się w Kijowie szefowie państw albo rządów. Było ich względnie dużo, bo aż 13, co świadczy o tym, że Zełenski ma trochę realnych sojuszników w Europie. Ale lista tej trzynastki jest charakterystyczna. Są na niej bowiem kraje tylko z trzech regionów: z Europy Środkowo-Wschodniej (Polska, Słowacja, Węgry, Rumunia, Chorwacja, Słowenia, Litwa, Łotwa i Estonia), zaprzyjaźnione z Kijowem dwa kraje postsowieckie (Mołdawia i Gruzja) oraz skandynawskie (Szwecja i Finlandia).

Jak widać, nie ma żadnego kraju z zachodniej Europy, co świadczy o tym, że musiano tam wcześniej uzgodnić z Berlinem i Paryżem plan obniżenia politycznej rangi inicjatywy Zełenskiego. To by zresztą tłumaczyło pospieszny wylot Merkel z Kijowa. Zwraca na tej liście uwagę obecność prezydenta Węgier, który choć w budapeszteńskiej polityce nie jest – rzecz jasna – istotną figurą, ale jego przylot do Kijowa pokazuje, że Viktor Orbán w takich sytuacjach chce okazywać regionalną solidarność, nawet jeśli sprawy idą niekoniecznie w kierunku, który by mu najbardziej odpowiadał.

Pomysł międzynarodowego forum na rzecz wyzwolenia Krymu był od dawna oczkiem w głowie Zełenskiego. Prezydent liczył nie tylko na pokazanie Ukraińcom swojej wyższej skuteczności w polityce od wrogo doń nastawionego poprzednika – prezydenta Poroszenki, ale także chciał udowodnić Putinowi, iż potrafi mu jednak zrobić jakiś międzynarodowy kłopot. Oba te zamiary udało się spełnić, co nie po raz pierwszy dowodzi politycznego talentu Zełenskiego. Jego inicjatywa od początku bowiem nie miała w świecie zbyt wielu przyjaciół. Przez cały ostatni rok dyplomaci zachodni powtarzali jak mantrę, że ich rządy „potrzebują więcej informacji o celach Platformy", aby zdecydować, czy wezmą w niej udział. Tak jakby owe antyrosyjskie cele nie były najzupełniej jasne od samego początku. Kiedy w styczniu br. Kijów podał do publicznej wiadomości odczyt rozmowy telefonicznej Zełenskiego z Merkel, w którym zawarte było zaproszenie dla pani kanclerz, w niemieckim odczycie tej rozmowy fragment ów w ogóle zniknął. W tym samym czasie szefowa OBWE i szwedzka minister Ann Linde również potrzebowała „więcej informacji", aby móc określić stanowisko swojej organizacji. I ostatecznie widać została z owym niedosytem informacyjnym, skoro jej rząd wysłał do Kijowa swego premiera, ale OBWE (której Rosja jest członkiem) finalnie zaproszenia Zełenskiego jednak nie przyjęła.

Teraz szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kułeba mówi z zadowoleniem: „Ukraina nigdy dotąd nie była gospodarzem takiego wydarzenia". Kijów zadbał także, aby imprezie nadać rozmach i oprawę przypominającą największe międzynarodowe mitingi.

UZNANIE ROSJI ZA OKUPANTA

Ale istotą politycznego sukcesu Zełenskiego jest to, że udaje mu się trochę podbić rozmiary politycznych kosztów, jakie Rosja musi płacić za podbój i okupację Półwyspu Krymskiego. Celem Platformy Krymskiej, tak jak Zełenski przedstawił go podczas swej mowy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ 23 września ub.r., miała być: „ochrona praw ludności Krymu pod rosyjską okupacją oraz docelowo – wyzwolenie półwyspu". Rządy partycypujące w kijowskiej inauguracji uznały tym samym, że Rosja jest państwem okupantem, że ludność Krymu żyje zatem pod okupacją, a terytorium półwyspu wymaga „wyzwolenia". Zełenski sprytnie stworzył instytucję międzynarodową, uznawaną już dziś przez cały świat demokratyczny, która przez następne lata będzie paraliżować nie

eprasa.pl f5a6496d03

tylko wysiłki Moskwy zmierzające do uznania rosyjskich praw do Krymu, ale także przeciwdziałać próbom zniesienia sankcji wobec Rosji czy bardziej generalnie – uznania Rosji za kraj „normalny", zasługujący na „normalne" uczestnictwo w międzynarodowej dyplomacji.

Polityczny spryt Zełenskiego polega na tym, że wmanewrował w Platformę Krymską wiele rządów zachodnich, które wolałoby nie wikłać się w tego rodzaju długofalowe konsekwencje, ich obecny udział będzie zaś stanowić tylko kłopot w rozwijaniu relacji z Moskwą. Liczy się bowiem podpis złożony przez każde państwo pod deklaracją Platformy (a dotyczy to także Unii Europejskiej i NATO), gdyż w przyszłości będzie on umożliwiać wytykanie każdego, kto zechce posunąć się zbyt daleko w przyjaźni z Kremlem, jako łamiącego złożone w ubiegły poniedziałek w Kijowie zobowiązanie.

Oczywiście nie należy też przeceniać politycznej mocy tego zobowiązania. Jednak faktem jest, że rosyjskiej dyplomacji udawało się dotąd blokować wszelką możliwość debaty nad okupacją Krymu zarówno w Radzie Bezpieczeństwa ONZ (tu Rosja używa weta), jak i w tzw. formacie normandzkim, gdzie Putin przekonał kanclerz Niemiec i prezydenta Francji, iż taka debata „zaśmieciłaby" tylko perspektywę rozwiązania kryzysu w Donbasie. Przez siedem lat, jakie upłynęły od podboju Krymu, nie istniało więc żadne forum międzynarodowe, na którym Rosja byłaby piętnowana jako okupant. Zełenski teraz stworzył takie forum. Nie dziw zatem, że w Moskwie budzi to gniew i złość.

CO DALEJ Z KRYMEM?

Oczywiście nie ma chyba w świecie polityka, który by serio wierzył w perspektywę „wyzwolenia" Krymu. Trudno również przypuścić, że w realność takich zdarzeń w wyobrażalnej przyszłości mogliby wierzyć Zełenski albo Poroszenko, czyli obecny i poprzedni szef państwa ukraińskiego. Nie bez racji prezydent Ukrainy mówił we wstępnej mowie podczas zebrania Platformy: „Krym ze światowej sławy kurortu zamienił się teraz w bazę wojskową". Nowe władze sprowadziły na półwysep licznych osadników rosyjskich, których liczbę szacuje się na co najmniej 150 tys. (choć przywódca proukraińskich Tatarów Mustafa Dżemilew mówi nawet o 850 tys.). Rosyjskie inwestycje infrastrukturalne na Krymie sięgają 15 mld dol., a najważniejsze z nich – czyli most Kerczeński oraz czteropasmowa Autostrada Taurydzka, łącząca go z Symferopolem i Sewastopolem, mają na celu pełną integrację półwyspu z terytorium Rosji.

Silny rozwój energetyki wkrótce zapewni Krymowi samowystarczalność energetyczną, likwidując tym samym dotkliwe skutki zniszczenia w 2015 r. sieci łączących półwysep z Ukrainą (przez „obywatelskie" bojówki tajemniczego watażki Lenura Isłamowa, który przez chwilę był nawet wicepremierem okupacyjnych władz Krymu). Ostatnim wielkim i nierozwiązanym kłopotem Krymu jest deficyt wody, wynikający zarówno z powtarzającej się suszy, jak i z odcięcia jej dostaw z Dniepru przez Kanał Północnokrymski.

> Zełenski sprytnie stworzył instytucję międzynarodową, która będzie nie tylko paraliżować wysiłki Moskwy zmierzające do uznania rosyjskich praw do Krymu, ale także przeciwdziałać próbom zniesienia sankcji wobec Rosji czy uznania jej za kraj „normalny"

Prezydent Putin sporo także zainwestował politycznie, aby uspokoić na początku wrogich rosyjskiej okupacji Tatarów. Na Krymie zbudowano 47 meczetów, a buduje się teraz jeszcze 20 nowych, zaprowadzono dwujęzyczne (rosyjsko-tatarskie) nazwy miejscowości, a państwo przyznaje masowo nadziały ziemi rodzinom tatarskim, które wróciły po stalinowskich deportacjach. Co prawda ściga się i zamyka do więzień Tatarów działających w Partii Wyzwolenia (Hizb ut-Tahrir), która pragnie ustanowienia pokojowo panislamskiego kalifatu. Ale nowym władzom udało się też stworzyć silny, współpracujący z Rosją tatarski ruch Kyrym, który uzyskuje od Kremla narodowe i religijne koncesje, jakich nigdy wcześniej Tatarom nie przyznało państwo ukraińskie. Brak reprezentacji Tatarów krymskich na zgromadzeniu Platformy był uderzający.

Tak czy owak nie ma wątpliwości, że bez względu na skalę międzynarodowego nacisku Krym mógłby wrócić do Ukrainy jedynie w sytuacji jakiejś kolejnej wielkiej smuty rosyjskiej, na podobieństwo tej, która doprowadziła do rozpadu Sowietów. A na taką smutę się na razie nie zanosi.

Z punktu widzenia abstrakcyjnego interesu chwiejnej ciągle państwowości ukraińskiej najlepszym wyjściem byłoby ostateczne pozbycie się nie tylko Krymu, ale i doszczętnie zrujnowanego Donbasu. Jednak w politycznych realiach Ukrainy jest to niemożliwe. Charakterystyczna jest treść rozmowy, jaką z Zełenskim przeprowadził w lutym br. dziennikarz amerykańskiego portalu Axios. Sugerował on właśnie prezydentowi, by Ukraina „pozbyła się" kłopotów z Krymem. Na co Zełenski: „Naprawdę mówisz, że powinniśmy zrezygnować z Krymu? Jako prezydent nie mogę sobie na to pozwolić. Nie chcę tego zaakceptować i nigdy nie zaakceptuję".

Rzecz w tym, że każdy polityk ukraiński, sugerujący rezygnację z roszczeń do Krymu, zostanie uznany przez patriotyczną część społeczeństwa za zdrajcę. Krymski rewizjonizm stał się dziś bowiem fundamentem ukraińskiej tożsamości narodowej.

Nie ma co kryć, że z perspektywy polskich interesów jest to niezwykle pożyteczne. Wojna donbaska i krymski rewizjonizm trwale ukierunkowują tradycyjny ukraiński nacjonalizm przeciw Rosji, z Polski czyniąc przyjaciela i sojusznika. To historyczny odwrót od złych dla Polski trendów panujących na Ukrainie od połowy XVII w.

eprasa.pl f5a6496d03

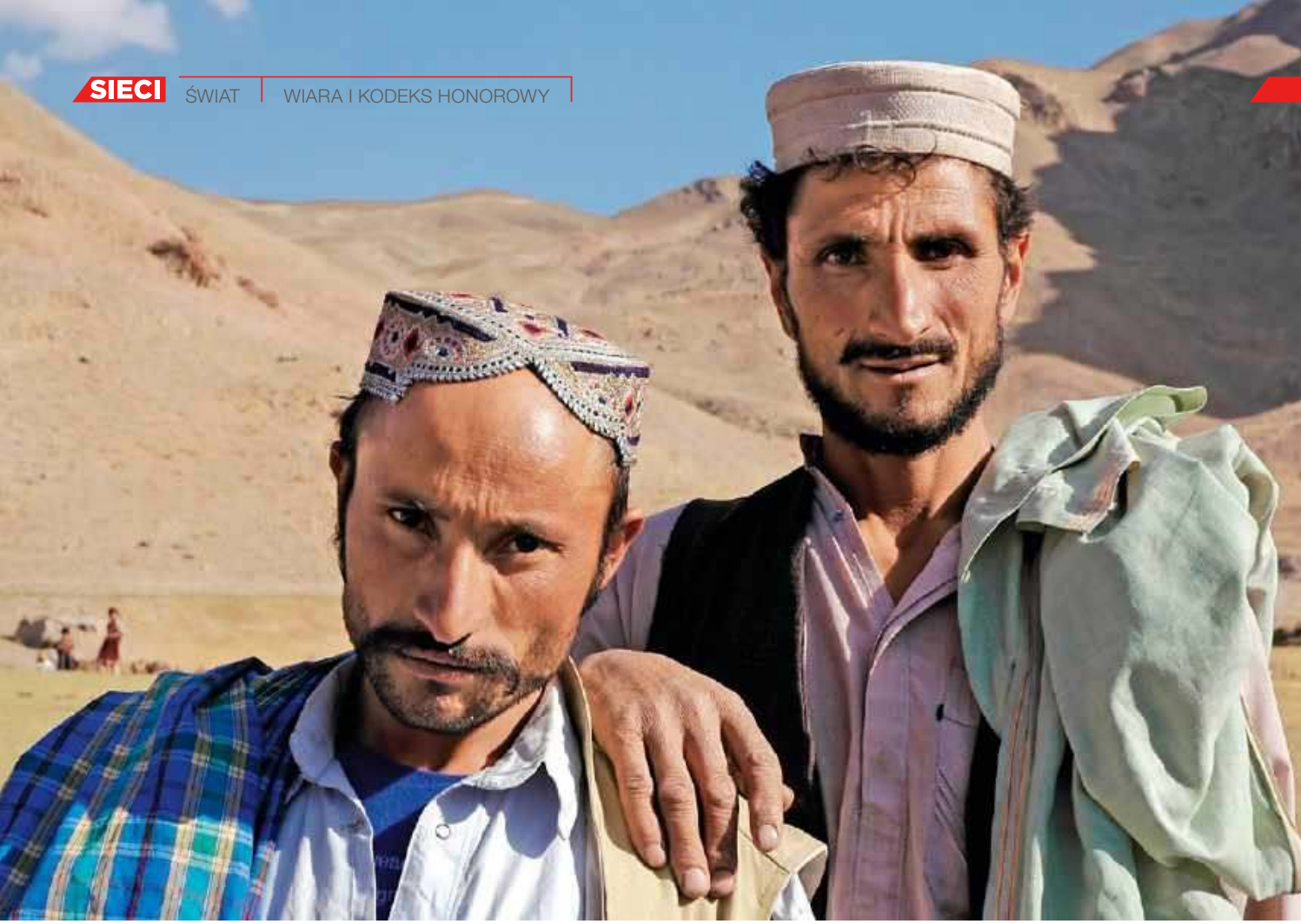

Afgańska koncepcja wolności

Sowietów pokonali mudżahedini, Amerykanów wypędzili talibowie. Pierwsi próbowali wprowadzić swoje porządki przez dziewięć lat, drudzy przez 20. Rosjanie nie osiągnęli niczego, Amerykanie za jedyny sukces mogą uznać rozbicie Al-Kaidy. Wszyscy ponieśli niewyobrażalne straty. Kim są afgańscy górale, którzy wybili zęby dwóm mocarstwom? Co daje im siłę przetrwania? Czy zawsze byli tak waleczni?

Fot. Jono Photography/Shutterstock.com

eprasa.pl f5a6496d03

EWA KĘDZIERSKA

Talibowie

Organizacja talibów powstała w 1994 r. w Kandaharze. Talibowie (student, uczeń) chcieli wprowadzić w całym kraju prawo koraniczne (szariat). Wspierani przez służby pakistańskie, wykorzystujące sytuację dla promocji radykalnego islamu, błyskawicznie zajęli 2/3 kraju, w tym stolicę Kabul. Popularność talibów wśród ludności cywilnej Afganistanu wynikała z tego, że chociaż wprowadzone prawo szariatu było bardzo surowe, jego egzekwowanie pozwalało na zaprowadzenie względnego porządku w kraju targanym wojną domową i wykrwawionym dziewięcioletnią interwencją Sowietów. Po zamachu na World Trade Center 11 września 2001 r. Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę talibom i w 2002 r. całkowicie rozbiły oddziały islamskich bojowników. Nie na długo jednak. W wysokich górach partyzantka, tym razem rozumiana jako ruch oporu wobec obcego najeźdźcy, szybko zorganizowała się ponownie i talibowie powoli zaczęli odzyskiwać wpływy na historycznie pasztuńskim południowym zachodzie Afganistanu. Aż do ofensywy w lecie 2021 r. z różną intensywnością atakowali stacjonujące w regionie wojska NATO i współpracujący z nimi rząd w Kabulu. A teraz przejęli kontrolę nad niemal całym krajem.

„Przez cały wiek XIX Afgańczycy zwycięsko odpierali natarcia Brytyjczyków zainstalowanych w Indiach – w 1842 r. rozbili oddziały hindusko-brytyjskie i obronili niepodległość. Podczas gdy północ Azji Centralnej poddawała się carowi, a Indie stawały się brytyjskie, Afganistan pozostał jedynym państwem regionu, które nigdy nie przeżyło kolonializmu”[1], pisał w 1984 r. amerykański orientalista i specjalista od spraw Afganistanu Michael Barry, zauważając zarazem, że: „dwa i pół wieku afgańskiej niepodległości w tak niebezpiecznym otoczeniu geopolitycznym było prawdziwym cudem”[2].

Co mogło spowodować ten cud – niepodległości obronionej wbrew zasadom geopolityki i ogromnej nierównowadze sił?

SZANIEC ŚWIĘTEJ WIARY

Niewątpliwie jednym z głównych motorów tak zaciętego oporu wobec obcej inwazji było zagrożenie afgańskiej tożsamości oraz religii – islamu: Jak słusznie zauważa Barry, to „obce zagrożenie przetransformowało Afganistan z luźnego związku wojowniczych plemion XVIII w. w świętą monarchię i bastion wiary wobec niewiernych, plemiona, trochę wbrew własnej woli połączyły się sojuszem z emirem Kabulu – ostatnim w 1985 r. niezależnym suwerenem Azji Centralnej”[3]. Ale inwazja sowiecka była wyzwaniem większym jeszcze od najazdu Brytyjczyków, wojny domowej w 1929 r. i głodu w 1972 r. Obudziła w Afgańczykach ich najlepsze cechy: umiłowanie wolności i abnegację w obliczu śmierci wynikającą z wiary. Jako muzułmanie Afgańczycy czerpali kanon tej wiary z Koranu – Świętej Księgi islamu, nakazującej przegnać najeźdźców i odnieść zwycięstwo w wojnie sprawiedliwej (dżihadzie).

Zaciekły opór przeciwko najeźdźcy jawi się więc przede wszystkim jako realizacja nakazu religijnego i legitymizacji wynikającej z umocowania wojny obronnej w szariat – prawie ustanowionym przez Boga. Łatwość poświęcenia życia w obronie wiary przodków zwiększa obietnica nagrody – atrakcyjnej wizji raju i wyjątkowy status – społeczny oraz metafizyczny, męczennika: „Męczennicy – a zaliczają się do nich wszyscy polegli – nie tylko trafiają do raju z jego niewyobrażalnymi rozkoszami, ale, dzięki swemu poświęceniu, dysponują »wpływami« podobnie jak chrześcijańscy święci i mogą się wstawić do Boga za żyjącymi. Ciała szahida, męczennika, nie wolno okryć ani oblec w czysty całun – powinien być pochowany tak, jak poległ, w splamionej krwią odzieży, ponieważ zarówno jego ducha, jak i jego ciało oczyścił sam uczynek”[4].

W społeczeństwie tradycyjnym, jakim był Afganistan przed inwazją sowiecką, tożsamość obywatelską kształtowała więc z pewnością religia. Pomimo jednak silnego wpływu ortodoksyjnego (choć nieco „spopularyzowanego” w świadomości powszechnej) islamu na mentalność przeciętnego Afgańczyka (a co za tym idzie na afgańską koncepcję wolności) nie była to konstytuanta jedyna. Specyfika afgańskiego pojmowania wolności wynika bowiem również, a może przede wszystkim, z uwarunkowań o podłożu antropologiczno-kulturowym sięgających tradycji dawniejszej niż islam i całkowicie od niego niezależnej. Wymienić tu trzeba, moim zdaniem, przynajmniej dwa przejawy tej tradycji: mit Yaghestanu oraz kod honoru Pasztunów – Pasztunwali.

YAGHESTAN – NIEPOKORNE KRÓLESTWO

Na południe od Kabulu i rzeki Indus, wśród nagich stepów i skalistych przełęczy gór Hindukusz (niedaleko Ghoru), powyżej 3 tys. m, wśród kolczastych kęp porastających wyschniętą ziemię w kolorze khaki, żyją od tysiącleci wojownicze plemiona pusztuńskie, zwane jaghi – co po persku znaczy „buntownicy”. Perskiemu terminowi Yaghestan odpowiada arabskie Bled el-Siba (dialekt marokański).

To od barwy szala i odzienia pasztuńskich górali armie całego świata przejęły kamuflujący kolor munduru: „Wprowadzona przez brytyjskie wojska kolonialne stacjonujące na granicy indyjsko-brytyjskiej w początkach wieku, ta barwa w odcieniach ziemi została przyjęta dla mundurów wszystkich armii świata”[5].

Turecko-mongolski książę Babur, potomek Timura, panujący w Kabulu w XVI w., bezskutecznie próbował podporządkować sobie te plemiona. Michael Barry charakteryzuje je jako: „barbarzyńskie, wojownicze, cieszące się wolnością w górach, ale prześladowane przez głód”[6], podkreśla jednak, że podlegali oni swoistej dyscyplinie i „wykazywali nawet pogardę dla swoich braci tej samej rasy, żyjących zbyt długo w Indiach i zniewieściałych z tego powodu: »czy jastrząb może słuchać czapli?«, zapytywał jeden z nich”[7].

eprasa.pl f5a6496d03

Zarówno Brytyjczycy, jak i Pakistańczycy, którzy nadeszli po nich, nie mieli innego wyjścia, niż zaakceptować autonomiczny status górskich plemion pasztuńskich, nie pobierając od nich podatku i pozostawiając w ich gestii policję oraz sądownictwo. Skuteczność działania ich administracji ograniczał bieg asfaltowanych dróg i zachód słońca. Nawet afgańska administracja królewska zwolniła plemiona Paszto ze służby wojskowej. „Tereny plemion pasztuńskich po obu stronach współczesnej granicy afgańsko-pakistańskiej, zgodnie z tradycją cieszą się niezależnością"[8].

Terminu „yaghi" użył w oficjalnej korespondencji z Brytyjczykami emir Abd-or-Rahmân z Kabulu w r. 1900: „These frontier tribus known by the name of Yaghistan (...) – the land of unrul" (tych, którzy się nie podporządkowują regułom). Prosowiecki reżim w Kabulu powrócił do perskiego określenia stosowanego w odniesieniu do niezależnych górali już przedtem, przez afgański dwór królewski: „yaghi" – buntownik, a dla terytorium „Yaghestan", czyli „Królestwo Buntowników" lub „Królestwo Pychy".

Etnia Pasztunów to rdzenni Afgańczycy, ponieważ Tadżycy są pochodzenia irańskiego. Jolanta Sierakowska-Dyndo przypisuje im genealogię turecką: „Kroniki wymieniają tureckie plemiona Chaladż, zajmujące od wieków ziemie w sąsiedztwie Ghoru. Chaldżowie utracili wcześnie swoją tożsamość, przyjmując język paszto i wpisując się w genealogię Pasztunów. Potomkami tych plemion są, zdaniem większości badaczy, współcześni Ghilzajowie, stanowiący obok Abdalidów (Durranidów) największą federację plemion pasztuńskich w Afganistanie"[9].

Aż do stworzenia przez Ahmeda Szacha (Pasztuna z rodu Durrani) w r. 1747 królestwa Afganistanu (którego granice odpowiadały mniej więcej dzisiejszym) termin „Afganistan" odnosił się wyłącznie do obszaru zamieszkałego przez Pasztunów, a Afgańczyk[10] określał wyłącznie mieszkańca tego terytorium. Jeszcze w XVI w. Kabul znajdował się poza nim.

Nie bez znaczenia jest środowisko geograficzne, warunkujące styl życia i mentalność pasztuńskich górali. Jak zauważają niektórzy badacze (np. amerykański etnolog Carleton Coon), pod wieloma względami przypominają oni Berberów i Kurdów. To właśnie góry w naturalny sposób stały się schronieniem mudżahedinów walczących z Armią Czerwoną. „Kontrast pomiędzy równiną a górami był zawsze w historii afgańskiej wyraźnie uwypuklony i pozostaje takim po dziś dzień, kiedy to reżim prosowiecki okupuje równinę, a ruch oporu działa w górach"[11].

PASZTUNWALI – PASZTUŃSKI KOD HONORU

Najistotniejsze znaczenie dla zrozumienia mentalności Pasztunów i wpływu, jaki wywiera ona na kształtowanie się afgańskiej koncepcji wolności, ma jednak wyznawany przez nich od blisko tysiąclecia kod honoru – Pasztunwali.

Jolanta Sierakowska-Dyndo słusznie zauważa, że „Pasztunwali – system norm nazywany często w literaturze honorowym kodeksem Pasztunów, bardzo długo istniał jedynie w tradycji ustnej"[12] Był on przekazywany z ust do ust w ramach klanu i plemienia, a „spisany został przez Ghijamuddin Chadima i wydany w Kabulu w 1331 r. hidżry, w 1953 r. naszego kalendarza [rok 622, kiedy Mahomet opuścił Mekkę, został uznany przez kalifa Omara za początek ery muzułmańskiej. Od tego momentu liczą się lata w kalendarzu muzułmańskim – red.] pt. „Pasztunwali"[13].

Szariat

To muzułmańskie prawo określające normy i zasady, którymi powinien się kierować i których powinien przestrzegać każdy wyznawca Allaha. Jest interpretacją zapisów Koranu i przypowieści o życiu, czynach i wypowiedziach proroka Mahometa. W prawie tym nie ma rozdziału między życiem świeckim i religijnym. Szariat reguluje precyzyjnie wszystkie aspekty życia muzułmanina, poczynając od rodziny, poprzez sprawy publiczne, kwestie finansowe i gospodarcze, na polityce kończąc. Trzyma wszystkich wyznawców Allaha w sztywnym gorsecie narzuconych przez Boga praw, a tych, którzy chcą się z nich wyłamać, czekają okrutne kary.

Sierakowska-Dyndo wymienia kilka filarów pasztuńskiego kodu honoru, który określa również alternatywnie kodem wojownika. Są to m.in.: sijali – bycie lepszym w jakiejś dziedzinie, co prowadzi do rywalizacji i konkurencji, nanga – honor, którego obrona jest absolutną powinnością każdego Pasztuna, namus – cześć, reputacja, tura – męstwo, odwaga (etymologiczne znaczenie tego słowa to – miecz), malmastia – hojność, gościnność.

Ważną ideą, którą przekazuje Pasztunwali, jest przekonanie o równości (mosawwat) wszystkich Pasztunów, pojmowanej jako prawo do wolności i niezależności. „Chadim w Pasztunwali wyróżnia trzy stopnie swobody: swobodę myśli, swobodę mowy i swobodę czynu"[14]. I dalej: „Poczucie równości było tak silne, że kodeks nakazywał, by przeciwnik, rywal, sijal[15], z którym się konkuruje, miał taką samą pozycję społeczną"[16]. Zasada równości zobowiązywała również w odniesieniu do umiaru i skromności, zarówno w słowach, jak i w zachowaniu.

Normą, która zajmuje bez wątpienia najwyższą pozycję w tej hierarchii, jest męstwo. Dobrze ilustruje to stosunek do broni: miecz i strzelba uznane są za święte. Ponieść śmierć na polu walki to zaszczyt dla każdego Pasztuna. Obrona godności, własności, a także wysoka samoocena, wiara we własne siły i możliwości to nic innego niż »robić Paszto«.

Sierakowska-Dyndo czyni ciekawą obserwację, a mianowicie, że europejski „Średniowieczny ethos rycerski wykazuje wiele wspólnych cech z ethosem wojownika charakterystycznym dla kultury Pasztunów"[17].

Analizując Pasztunwali, nietrudno zauważyć, że takie wartości jak: Tureh (odwaga) i Ghayrat (honor i godność), mają fundamentalne znaczenie dla afgańskiej strategii obrony. Tak fundamentalne, iż mogłyby się znaleźć w afgańskiej białej księdze. Zostało to dostrzeżone przez polskie Centrum Badań nad Terroryzmem, które zamieściło na swoich stronach ciekawą ekspertyzę Alka Głogowskiego i Tomasza Białka opublikowaną przez miesięcznik „Komandos". Autorzy odnoszą się tam m.in. do afgańskiego sposobu postrzegania honoru:

eprasa.pl f5a6496d03

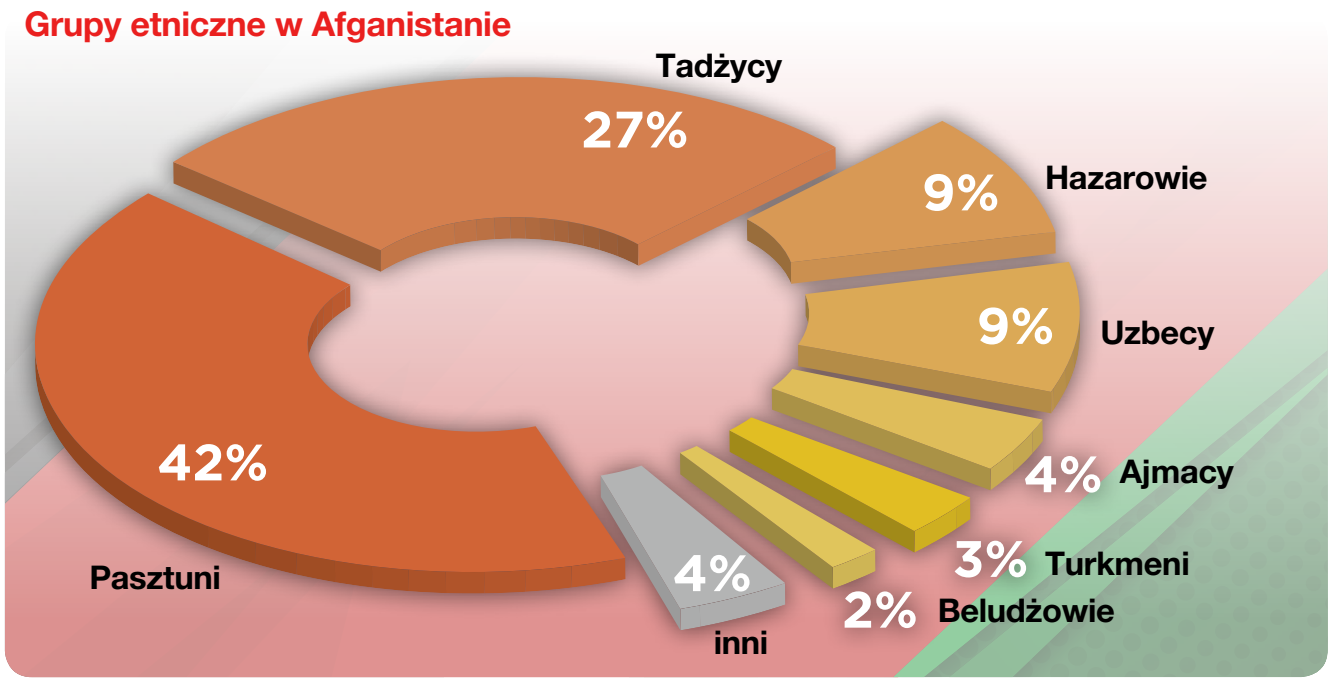

„Bardzo ważną cechą Pasztunów jest wielkie poczucie własnej godności, dające się porównać do honoru polskich górali. Społeczność opiera się u nich na zasadzie pełnej równości (sijali), niezależnej od statusu majątkowego jednostki. Życie każdego Pasztuna jest jednakowo ważne, a honor (nang) wynika z samego faktu bycia członkiem tego narodu”[18]. Głogowski i Białek zwracają uwagę, że: „Pasztun woli oddać życie w obronie swego honoru, niż żyć dalej w poczuciu hańby. Nie obowiązuje tu przedawnienie. (...) Trzeba pamiętać, że koledzy z pododdziału to też »rodzina« i tak mogą być potraktowani”[19]. I dalej: „Niezależność (chpelwaki) to z kolei zasada, według której nikt nie ma prawa zmuszać Pasztuna do zmiany własnych przekonań. To ważne z punktu widzenia prób wpływania na wizerunek Afganistanu. Przekonywanie do innych poglądów w szacunku do poglądów adwersarza jest przyjęte, ale zmuszanie do ich zmiany nigdy”[20].

Pasztunwali to więc nic innego, jak kult odwagi, heroizmu, męstwa, honoru i poświęcenia. W kontekście tych reguł nietrudno przewidzieć, jaka będzie reakcja Pasztuna na próbę narzucenia obcej okupacji. Ale Michael Barry słusznie zauważa, że zasięg oddziaływania Pasztunwali wykracza daleko poza etnię pasztuńską: „nawet jeśli to perska kultura Tadżyków dominowała w kraju, kodeks honorowy Pasztunów, kult nang w imię honoru szefa klanu, wyciskał swe piętno w mentalności wszystkich etni Afganistanu: Tadżyków, Hazarów i Nurystańczyków”[21].

Specyfika afgańskiej koncepcji wolności jest więc w ogromnym stopniu funkcją adaptacji Pasztunwali na terenie całego Afganistanu. Przywiązanie do reguł tego kodeksu ugruntowane w świadomości od blisko tysiąclecia, przyrodzone każdemu przedstawicielowi różnych afgańskich etni, stanowi i stanowić będzie nie lada wyzwanie, jeśli nie przeszkodę nie do pokonania, dla każdego obcego najeźdźcy.

* * *

W niedawno wygłoszonym orędziu prezydent USA Joe Biden powiedział, że amerykańska misja w Afganistanie nigdy nie miała prowadzić do podporządkowania sobie tego kraju ani zaprowadzenia tam demokracji. „Pojechaliśmy do Afganistanu, by złapać tych, którzy zaatakowali nas 11 września 2001 r. (...) Zrobiliśmy to”. Dodał także, że dziś zagrożenie terrorystyczne istnieje, ale już nie w Afganistanie. Jest w Syrii, w Iranie, w wielu krajach Afryki i Azji.

Natomiast rzecznik talibów w rozmowie z dziennikarką BBC zapewnił, że w Afganistanie będą szanowane prawa kobiet. Mają mieć one dostęp do nauki i pracy, ale w ramach muzułmańskiego prawa. Pytany, jak zostaną potraktowani Afgańczycy współpracujący z Amerykanami, odpowiedział, że staną przed sądem, który zdecyduje o ich losie. Nie brzmi to zachęcająco, bo kierujący się szariatem sędziowie mogą wydawać okrutne wyroki.

Świat patrzy z niepokojem na Afganistan. Poprzednie rządy talibów nie wróżą nic dobrego. Ale czasy się zmieniają. Może zmienili się też talibowie, choć patrząc na historię tego kraju, wydaje się to mało prawdopodobne.

Przypisy:

1, 2, 3, 5, 6, 7, 8, 11, 21: Michael Barry, „Le Royaume de l’Insolence. La résistance afghan du Grand Moghol à l’invasion soviétique, Flammarion”, Paris 1984. Tłumaczenie z języka francuskiego Ewa Kędzierska

4: Radek Sikorski, „Prochy świętych. Afganistan, czas wojny”, AMF, Warszawa 2007

10: termin w użyciu od X w.

9, 12, 13, 14, 16, 17: Jolanta Sierakowska-Dyndo, „Granice wyobraźni politycznej Afgańczyków, Normatywno-aksjologiczne aspekty tradycji afgańskiej”, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007

15: Termin sijal w paszto oznacza: „człowieka równego stanu” oraz „konkurenta, rywala”

18, 19, 20: http://terroryzm.wsiz.pl/artykuly,Pasztunwali. „Komandos” nr 5/2007

eprasa.pl f5a6496d03

KULTURA WIELU WYMIARÓW

Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

- ***Dni pamięci o ofiarach II wojny światowej i refleksji nad Bohaterami Września 1939***
- ***Dr hab. Grzegorz Berendt zaprasza do odwiedzenia Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku***
- ***1 września wyjątkowe widowisko multimedialne***
- ***Dzieje krzyża na Westerplatte***

Szanowni Państwo,

zbliżająca się data 1 września jak co roku kieruje nasze myśli ku wydarzeniom z 1939 r., które nieodwracalnie zmieniły oblicze Polski oraz znacznej części świata. Rozpoczęta 82 lata temu II wojna światowa przyniosła śmierć ponad 60 mln ludzi, czyniąc ten konflikt najokrutniejszym żniwem życia w historii naszej cywilizacji. Analizując drugowojenną historię Polski, nie sposób pominąć wydarzeń między 1 września a 5 października 1939 r., określanych przez historyków mianem kampanii polskiej. Zaledwie w tym okresie ok. 250 tys. polskich obywateli straciło życie z rąk niemieckich i sowieckich agresorów. Rzeczpospolita Polska stała się obszarem niemieckich czystek etniczno-rasowych oraz czystek politycznych dokonywanych przez Armię Czerwoną. Działania represyjne oraz eksterminacyjne w pierwszej kolejności uderzały w przedstawicieli warstw kierowniczych polskiego społeczeństwa, pracowników oraz funkcjonariuszy państwowych i samorządowych, liderów partii politycznych, księży i duchownych różnych wyznań. Z rąk oprawców zginęli ci, dla których obrona polskiej racji stanu była wartością nadrzędną. O nią walczył także milion polskich żołnierzy, z których część po 5 października 1939 r. nie złożyła broni. Zarówno Wojsko Polskie, jak i ogrom polskich cywili dali świadectwo odwagi, honoru oraz patriotyzmu. Opór przeciw wrogowi i walka o suwerenność kraju do dziś stanowią symbol postawy Polaków podczas II wojny światowej.

Pomimo formalnego zakończenia konfliktu w 1945 r. Polska przez ponad pięć kolejnych dekad nie odzyskała pełni wolności. Ingerencja sowieckich władz starała się przeniknąć we wszystkie sfery życia, wykorzystując mechanizmy represji i ucisku na polskim narodzie. Przedstawiona w niniejszym wydaniu historia powrotu krzyża na Westerplatte pokazuje, jak istotnym elementem komunistycznej rzeczywistości była walka władz z Kościołem katolickim. Rola przybliżonego w tekście symbolicznego krzyża będzie miała swój ciąg dalszy. Już niebawem stanie się on fundamentalną częścią nowego cmentarza wojskowego, gdzie z należytymi honorami zostaną pochowani obrońcy z września 1939 r., których szczątki odnaleźli na Westerplatte po ponad 80 latach archeolodzy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Tegoroczna 82. rocznica wybuchu II wojny światowej stanie się przyczynkiem do przypomnienia w murach Muzeum znaczenia Westerplatte w szerszym kontekście historycznym. 1 września 2021 r. w ramach wystawy czasowej „Kiedy się wypełniły dni" przez pryzmat autentycznych eksponatów zostaną przedstawione sylwetki polskich obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej, którzy w trakcie wrześniowej obrony ponieśli największą ofiarę – oddali swoje życie. W tym szczególnym dniu opowiemy nie tylko o przeszłości, ale także o aktualnie realizowanych i przyszłych działaniach związanych z budową Muzeum Westerplatte i Wojny 1939. W ramach prezentacji oraz wieczornego widowiska multimedialnego podkreślimy rangę pola bitwy na Westerplatte – bardzo ważnego pod względem symbolicznym miejsca dla historii Polski oraz świata. Niech nadchodzący 1 września będzie dla nas momentem zatrzymania i zadumy, pamięci o ofiarach II wojny światowej i refleksji nad bohaterami tamtych dni.

dr hab. Grzegorz Berendt
p.o. dyrektor
Muzeum II Wojny Światowej
w Gdańsku

Fot. Materiały prasowe MIWŚ

Dzieje krzyża na Westerplatte

Przypadająca w tym roku 40. rocznica przywrócenia krzyża na Westerplatte jest okazją do przypomnienia o wydarzeniach i ludziach, którzy dążyli do upamiętnienia polskich żołnierzy z Westerplatte. Ten historyczny symbol walki o pamięć już niebawem stanie się częścią nowego cmentarza wojskowego, na którym pochowani zostaną odnalezieni po ponad 80 latach polegli obrońcy Wojskowej Składnicy Tranzytowej z 1939 r.

Historia krzyża z Westerplatte rozpoczyna się już w listopadzie 1945 r. Wówczas przy drewnianym krzyżu zorganizowano pierwszą uroczystość dla uczczenia bohaterskich obrońców. Kilka miesięcy później, w miejscu zniszczonej przez niemiecki nalot 2 września 1939 r. wartowni nr 5, wybudowano mogiłę, nad którą ustawiony został kilkumetrowy żelbetonowy krzyż wraz z tablicą zawierającą nazwiska poległych polskich żołnierzy. Uroczyste odsłonięcie Cmentarza Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte odbyło się 27 lipca 1946 r. z udziałem ministra obrony narodowej Michała Roli-Żymierskiego, a apel poległych wygłosił kmdr ppor. Franciszek Dąbrowski (od grudnia 1937 do 7 września 1939 r. – dowódca oddziału wartowniczego i zastępca komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej (WST) na Westerplatte), który jako pierwszy podjął kroki zmierzające do upamiętnienia żołnierzy poległych na Westerplatte.

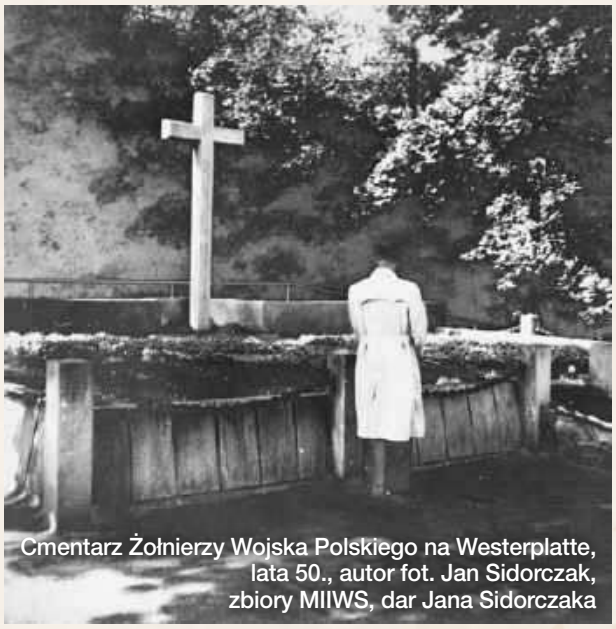

Cmentarz Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte, lata 50., autor fot. Jan Sidorczak, zbiory MIIWS, dar Jana Sidorczaka

Ówczesna władza prowadziła jawną walkę z Kościołem rzymskokatolickim, a jednym z jej obszarów była obecność symboli religijnych w przestrzeni publicznej. Reperkusje tej polityki miały swój wydźwięk również na półwyspie Westerplatte. 2 lipca 1962 r., decyzją władz komunistycznych po 16 latach w miejscu krzyża postawiono sowiecki czołg T-34. Symbol religijny został ucięty i załadowany na samochód ciężarowy. Kierowca, wbrew nakazowi wywiezienia krzyża na wysypisko śmieci, potajemnie przewiózł go do kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Gdańsku – Nowym Porcie, gdzie proboszcz ks. Jan Gustkowicz wraz z parafianami ukryli go na pobliskim cmentarzu wśród wysokich bzów. Sprzyjający grunt do zmian pojawił się dopiero w obliczu solidarnościowej atmosfery w trakcie sierpniowego strajku w 1980 r. Wówczas pracownicy Zarządu Portu Gdańsk oraz Narodowego Banku Polskiego zgłosili oficjalny postulat powrotu krzyża na Westerplatte. Dwa miesiące później Komitet Zakładowy NSZZ „Solidarność" Portu Gdańskiego wystosował petycję o przywrócenie na Westerplatte historycznego tzw. krzyża Dąbrowskiego. Bezpośrednie rozmowy z miejskimi i wojewódzkimi władzami w tej kwestii podejmował m.in. Czesław Nowak współzałożyciel zakładowej Solidarności w Porcie Gdańskim. Powyższe działania zaowocowały zgodą Urzędu ds. Wyznań na przywrócenie krzyża na teren byłej WST. 6 sierpnia 1981 r. Jerzy Młynarczyk, prezydent Gdańska, zaaprobował uroczystość przywrócenia krzyża na Westerplatte zaplanowaną na 30 sierpnia 1981 r. Następnego dnia podczas wizji lokalnej w obecności przedstawicieli: Urzędu Miasta, Solidarności Portu Gdańsk, westerplatczyków i przewodników zapadła decyzja, że czołg zostanie umieszczony 100 m dalej od obecnej lokalizacji, a w jego miejsce zostanie postawiony krzyż. Tydzień później Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" Portu Gdańsk skierowała do Wydziału ds. Wyznań UW w Gdańsku pismo z prośbą o zgodę na powyższe ustalenia. 17 sierpnia zgoda została wydana. Mimo tego dwa dni później prezydent Jerzy Młynarczyk drogą pisemną poinformował Solidarność, że nie zgadza się na żadną zmianę w umiejscowieniu czołgu, zaznaczając jednocześnie, że nie narusza to decyzji Wydziału ds. Wyznań w kwestii aprobaty powrotu krzyża na Westerplatte.

eprasa.pl f5a6496d03

30 sierpnia 1981 r. warta honorowa przy mogiłach żołnierzy podczas mszy św. Najbliżej krzyża stoją westerplatczycy, zbiory Czesława Nowaka

Wszelkie działania zmierzające do przywrócenia religijnego symbolu znacząco godziły w kreację tego miejsca wdrażaną w życie przez ówczesne władze. W związku z tym zastępca dowódcy Marynarki Wojennej ds. politycznych kadm. Ludwik Dutkowski skierował do Młynarczyka najpierw swojego podwładnego kmdr. por. Rafała Witkowskiego, a następnie redaktora „Bandery" kmdr. por. Franciszka Czerskiego w celu wstrzymania zaplanowanych na 30 sierpnia uroczystości. Obie wizyty zakończyły się fiaskiem. Kolejną próbą storpedowania wydarzeń związanych z przywróceniem krzyża na Westerplatte było zamieszczenie 21 sierpnia przez Wojciecha Kozłowicza w „Żołnierzu Wolności" fałszywych informacji, że ekstremalna grupa z Solidarności planuje zepchnięcie czołgu do kanału i w jego miejsce ustawienie krzyża. Władza, budując negatywny obraz Solidarności, wykorzystała do tego celu telewizję, w której z udziałem dziennikarzy i weteranów walk z 1945 r. – członków ZBoWiD – przeprowadzono jawną krytykę zmian planowanych na terenie Westerplatte. W kolejnych dniach w obliczu tak rozgorzałej atmosfery „Głos Wybrzeża" opublikował informację, że zamiarem Solidarności nie było usunięcie czołgu, lecz przywrócenie krzyża. Dla złagodzenia sytuacji w „Dzienniku Telewizyjnym" wystąpił przewodniczący Rady Narodowej w Gdańsku, a dziennikarze uczestniczący w telewizyjnej dyskusji opublikowali „list z przeprosinami". 27 sierpnia pracownicy portu pod kontrolą wojska ostatecznie wkopali krzyż kilka metrów przed czołgiem. 30 sierpnia 1981 r. podczas mszy św. z udziałem ok. 50 tys. osób z Wybrzeża i całej Polski, w tym liczną grupą westerplatczyków, ks. bp Lech Kaczmarek dokonał uroczystego poświęcenia krzyża.

Kolejnym ważnym wydarzeniem wpisującym się w historię istnienia symbolu religijnego na terenie Westerplatte była wizyta w czerwcu 1987 r. papieża Jana Pawła II, który odwiedził półwysep podczas swojej trzeciej pielgrzymki do ojczyzny. W spotkaniu z Ojcem Świętym wzięło udział blisko 12 tys. osób, wśród obecnych znalazło się 38 byłych żołnierzy z Westerplatte oraz siostra mjr. Henryka Sucharskiego – Anna Bugajska. Wizyta papieża w Gdańsku obejmowała również mszę św. odprawioną na Zaspie, podczas której stoczniowcy wręczyli miniaturę pomnika, a kombatanci album dokumentujący historię krzyża na Westerplatte.

Znamienną datą był rok 1989, podczas którego w wyniku nacisków środowisk kombatanckich oraz w ramach przygotowań obchodów 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej – czołg został przeniesiony na postument przy byłej placówce Fort. Natomiast betonowy krzyż, który powrócił na Westerplatte w 1981 r., oraz odlew krzyża Virtuti Militari umiejscowiono po prawej stronie cmentarza. Dodatkowo ustawiono 15 granitowych krzyży z żeliwnymi tabliczkami z danymi personalnymi poległych żołnierzy, a w centralnym miejscu stanął krzyż majora Henryka Sucharskiego. 1 września 1989 r. podczas uroczystego nabożeństwa na Westerplatte ks. bp Tadeusz Gocłowski poświęcił nowe krzyże. W październiku 2010 r. w wyniku starań Stowarzyszenia Godność tzw. krzyż Dąbrowskiego powrócił na swoje pierwotne miejsce na Westerplatte.

Od samego początku intencją westerplatczyków było utworzenie cmentarza na terenie byłej WST. Przeszkodę stanowiło to, że nie było wiadomo, gdzie dokładnie znajdują się ich szczątki – nieznane było właściwe, a jedynie symboliczne miejsce mogił. Dopiero badania archeologiczne Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku doprowadziły do ujawnienia prawdy historycznej. Jesienią 2019 r. podczas V etapu prac na terenie Westerplatte odnaleziono szkielety dziewięciu polskich obrońców z września 1939 r., którzy przez 80 lat spoczywali w bezimiennych mogiłach. Udało się dokonać identyfikacji pięciu szkieletów i są to: plutonowy Adolf Petzelt, kapral Jan Gębura, kapral służby zasadniczej Bronisław Perucki, starszy strzelec Władysław Okrasa (Okraszewski) oraz legionista Józef Kita. W wyniku tego odkrycia MIIWŚ w Gdańsku, realizujące inwestycję Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, podjęło decyzję, aby wybudować nowy cmentarz wojskowy na Westerplatte. W tym celu w 2020 r. zorganizowało międzynarodowy konkurs na opracowanie koncepcji urbanistyczno-architektonicznej cmentarza wojskowego na Westerplatte. Zwycięską pracę wykonali NM architekci Tomasz Marciniewicz, Zuzanna Szpocińska, Jerzy Grochulski (zespół autorski w składzie: Tomasz Marciniewicz, Zuzanna Szpocińska, Jerzy Grochulski, Karolina Kayzer). Realizowany projekt w swoim założeniu uwzględnia umieszczenie historycznego krzyża z Westerplatte, stanowiącego nieodłączny symbol przywracania pamięci obrońcom z września 1939 r. Realizacja cmentarza jest zaplanowana na lata 2021/2022 w ramach I etapu inwestycji – budowy plenerowego Muzeum Westerplatte i Wojny 1939.

W celu upamiętnienia 40. rocznicy przywrócenia krzyża na teren Westerplatte Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku wraz ze Stowarzyszeniem „Godność" przygotowały wystawę planszową pod tytułem „1945–2022. Dzieje krzyża na Westerplatte". Wystawa prezentowana będzie w kościele św. Brygidy w Gdańsku od 27 sierpnia br. oraz na terenie historycznego pola bitwy na Westerplatte od drugiej połowy września br.

Monika Gomółka
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

eprasa.pl f5a6496d03

„7 x Westerplatte", „Kiedy się wypełniły dni...". Muzeum II Wojny Światowej na 1 września

Pamięć 1 września jest częścią naszego wspólnego polskiego DNA. Jednym z elementów kultywowania tej pamięci będą: widowisko muzyczne „7 x Westerplatte", którego organizatorem jest Muzeum II Wojny Światowej, i wiele działań przygotowanych specjalnie na ten szczególny dla nas, Polaków, dzień.

„Kiedy się wypełniły dni..." Pochówki polskich obrońców Westerplatte

1 września Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku będzie otwarte dla zwiedzających w godz. 6:00–18:00. Jedną z zaplanowanych przez Muzeum atrakcji będzie wystawa, która przybliży sylwetki dziewięciu obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, poległych w trakcie trwającej między 1 a 7 września 1939 r. bitwy. • Żołnierze ci zostali odnalezieni w 2019 r. w trakcie badań archeologicznych przeprowadzonych na Westerplatte przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Dzięki pracy archeologów, którzy odnaleźli zakopane przez kilkadziesiąt lat w ziemi szczątki żołnierzy, zwiedzający będą mogli się zapoznać z biogramami polskich bohaterów, którzy oddali swoje życie w obronie ojczyzny. • O godz. 15:00 w muzealnym kinie obejrzeć będzie można dzieło niezwykłe, film „Wolne miasto" w reżyserii Stanisława Różewicza. To kronikarski, wsparty zdjęciami archiwalnymi, zapis przebiegu bohaterskiej obrony Poczty Polskiej w Gdańsku w 1939 r. • W filmie ukazana jest sytuacja w Wolnym Mieście Gdańsku w przededniu wybuchu II wojny światowej oraz pierwszy, tragiczny dzień wojny, gdy grupa pracowników poczty przez 12 godzin bohatersko broniła placówki. Film prezentowany w wersji po rekonstrukcji cyfrowej. • W rolach głównych m.in. Hanna Zembrzuska, Irena Netto, Danuta Królska, Zygmunt Hübner, Krystyna Feldman, Kalina Jędrusik, Jan Machulski, Piotr Fronczewski, Wacław Kowalski i inni. Bezpłatne wejściówki na pokaz będą dostępne do pobrania w kasach Muzeum w dniu seansu.

Muzeum Westerplatte i Wojny 1939

W tym szczególnym dniu o godz. 15:30 dr hab. Grzegorz Berendt przedstawi wykład poświęcony „Agresji III Rzeszy na Polskę przed Trybunałem w Norymberdze". Wydarzenie odbędzie się w sali konferencyjnej im. J. Olszewskiego na poziomie -3 MIIWŚ. • O godz. 16:30 dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku dr hab. Grzegorz Berendt oraz prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Karol Nawrocki zaprezentują szerszej publiczności plany związane z powstającym na terenie Westerplatte miejscem pamięci: „Muzeum Westerplatte i Wojny 1939. Stan zaawansowania prac". Wszystkie prezentacje i wykłady będą prezentowane w mediach społecznościowych MIIWŚ. • Budowa Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 jest jednym z priorytetowych zadań realizowanych przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. W trakcie prezentacji zostaną przedstawione zarówno dotychczasowe działania, jak i najbliższe plany inwestycyjne.

Widowisko muzyczne „7 x Westerplatte"

Wieczorne emocje będą związane z widowiskiem muzycznym organizowanym przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, nad którym patronat honorowy objął wiceprezes Rady Ministrów, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu, prof. Piotr Gliński. Wydarzenie, którego partnerami są Orlen oraz Energa Grupa Orlen, transmitowane będzie na żywo w TVP1. • Widowisko będzie przedstawioną w siedmiu odsłonach opowieścią o Westerplatte, przy wykorzystaniu najnowszych rozwiązań wizualno-scenograficznych i zaprezentuje nie tylko historię półwyspu, lecz przede wszystkim postawę grupy ponad 200 żołnierzy bohatersko broniących Wojskowej Składnicy Tranzytowej. • Scenariusz odniesie się także do najnowszej historii, wyników badań archeologicznych, szerokich planów budowy Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 oraz upamiętnienia polskiego czynu zbrojnego na Westerplatte. • W wydarzeniu swój udział potwierdzili: Zuza Jabłońska, Michał Kowalonek, Kasia Dereń, Mateusz Ziółko, Iwona Sobotka, Krzysztof Cugowski, Marcin Januszkiewicz, Motion Trio Arkadio, Tomson i Baron. • Bilety dostępne są na stronie internetowej bilety.muzeum1939.pl oraz w kasach Muzeum.

eprasa.pl f5a6496d03

Mokra,

czyli jak wyhamowano blitzkrieg

Do legendy przeszła jako bitwa, w której polska kawaleria atakowała niemieckie czołgi. Ale to mit. W rzeczywistości bitwa pod Mokrą była jednym z najbardziej brawurowych starć września 1939, w dodatku jednym z nielicznych, których nie przegraliśmy

Fot. Edward Mesjasz/IPN

eprasa.pl f5a6496d03

WOJCIECH LADA

Julian Filipowicz miał wtedy 46 lat, z czego ostatnie ćwierć wieku spędził na wojaczce. Najpierw bił się w Legionach, następnie karnie wcielono go do armii austro-węgierskiej, z której zdezerterował, by walczyć w wojnie polsko-ukraińskiej, później zaś polsko-bolszewickiej. W międzyczasie zaliczył kilka aresztowań, kursów wojskowych i awansów. Wybuch II wojny światowej zastał go w stopniu pułkownika, na czele Wołyńskiej Brygady Kawalerii. W opinii służbowej oceniono go jako dowódcę wybitnego. Pisano o jego energii, inicjatywie i umiejętności błyskawicznego podejmowania decyzji. „Pracy sztabowej nie lubi" – zauważano, podkreślając jednocześnie, że jest świetnym żołnierzem i zawołanym kawalerzystą.

Wszystko to bardzo mu się miało przydać już 1 września.

DYWIZJA PANCERNA POŁYKA HACZYK

Określenie „bitwa pod Mokrą" jest nie do końca precyzyjne, bo nie było jednej Mokrej. Mokre były trzy, choć po prawdzie tak podobne, że aby je odróżnić, wprowadzono do ich oficjalnego nazewnictwa hasła: Mokra I, Mokra II i Mokra III. Wszystkie były sennymi, choć sporymi wioskami, oddalonymi jakieś 5 km od Kłobucka i nieco ponad 20 km od Częstochowy. Mieszkańcy wszystkich tych Mokrych z pewnością nie zdawali sobie sprawy, że ich spokojna okolica odgrywała poważną rolę w planach strategicznych III Rzeszy, a nazwę tych niepozornych osad znał zapewne nawet sam Adolf Hitler. W tym bowiem kierunku zaplanowane zostało na 1 września 1939 r. uderzenie silnego pancernego klina w postaci 4 Dywizji Pancernej Georga-Hansa Reinhardta – jednego z najzdolniejszych niemieckich dowódców, ale też bardzo brutalnego nazisty. To on w dużej mierze będzie odpowiedzialny za zniszczenie Warszawy podczas wygaszania powstania w 1944 r., oczywiście bez oglądania się na ofiary w ludności cywilnej.

1 września jego głównym grzechem była jednak nie brutalność, lecz nadmierna pewność siebie. Miał ku temu podstawy. Jego dywizja była potężną, silnie opancerzoną siłą, która w założeniu miała po prostu przetoczyć się przez Polskę. Dane różnią się od siebie, z pewnością jednak liczyła dobrze ponad 300 czołgów i koło setki innych pojazdów opancerzonych, nie wspominając o ok. 15 tys. żołnierzy piechoty, wsparciu artyleryjskim i lotniczym. Jej zadanie wydawało się tym łatwiejsze, że według danych zwiadu ów pancerny klin skierowany był dokładnie w słaby punkt polskiej obrony, jakim zazwyczaj są styki dwóch armii, a wszystkie trzy Mokre znajdowały się właśnie na styku Armii „Kraków" oraz Armii „Łódź".

W tym jednak właśnie miejscu następuje najbardziej zagadkowy wątek związany z mającą się tu wkrótce rozegrać bitwą. Otóż z jakichś powodów niemiecki wywiad nie wiedział, że dokładnie w ten słaby punkt już dwa dni wcześniej skierowano wołyniaków płk. Filipowicza, a w dodatku znacząco wzmocniono siły jednostki. Wychodzi na to, że Polacy doskonale znali plany niemieckiego uderzenia w tym właśnie rejonie – a kto wie, może sami je nawet sprowokowali?

„Okoliczności bitwy są nadal zagadkowe, ponieważ opracowania sztabowe zaginęły albo zostały zniszczone w czasie wojny. Czy był to zamierzony manewr armii polskiej? Czy wywiad niemiecki w ostatniej chwili nie rozszyfrował, że w przeddzień napaści na Polskę w lukę między Armią »Łódź« a Armią »Kraków« (około 100 km) wyładowana została z pociągów przybyłych z Wołynia na stacji kolejowej w Radomsku i Działoszynie Wołyńska Brygada Kawalerii, która natychmiast skierowana została w stronę granicy. Tym samym luka między obu armiami została zapełniona doborową jednostką polskiej kawalerii, wyposażoną w lekką artylerię, działka przeciwpancerne i – do tej pory trzymane w tajemnicy – polskiej konstrukcji karabiny przeciwpancerne o sile przebicia pancerza o grubości do 15–18 mm" – analizował Zbigniew Zieliński.

Płk dyplomowany Julian Filipowicz, dowódca Wołyńskiej Brygady Kawalerii

Jakkolwiek było, Reinhardt po przekroczeniu o świcie odległej jakieś 20 km od Mokrych granicy, parł po prostu do przodu, zupełnie nie bawiąc się w jakiekolwiek gry strategiczne – co dziś ocenia się jako najpoważniejszy błąd tego zdolnego dowódcy. Polskie dowództwo nie tylko wzmocniło ten odcinek żołnierzami Filipowicza, ale zdążyło też uprzedzić polskich pograniczników, leśników, a nawet harcerzy. Ci pierwsi nie mieli szansy odegrać poważniejszej roli, ale już leśnicy i harcerze owszem. Poprzedniego dnia dokonali sporej wycinki drzew, których wysokie zwały ułożyli w zapory bardzo skutecznie spowalniające wojska pancerne, a także wykonali wiele pułapek w postaci zamaskowanych dołów. Brzmi to może cokolwiek prymitywnie, ale istotnie kilka samochodów i czołgów wpadło w pułapki, a ich załogi zostały ostrzelane przez ukrytych za drzewami leśników. Nawiasem mówiąc, Niemcy nie pozostali dłużni. Ciągnące za Wehrmachtem

Fot. Muzeum Kultury Przeworskiej i Izba Pamięci Bitwy pod Mokrą

eprasa.pl f5a6496d03

oddziały SS rozstrzelały ok. 160 chłopów z nadgranicznych wiosek.

Ogromnej siły Reinhardta wszystko to jednak nie mogło na dłużej powstrzymać. Ok. ósmej rano jego dywizja dotarła do polskiej linii obrony. O czym jednak Reinhardt nie miał wówczas pojęcia.

STRZAŁY ZNIKĄD

Polaków było połowę mniej, mieli jednak całkiem niezłą artylerię. Było 40 dział i działek różnego kalibru, kilkanaście moździerzy i granatników, cztery tankietki, wreszcie blisko 90 wspomnianych przez Zielińskiego karabinów przeciwpancernych, które doskonale sprawdziły się w starciu z lekkimi zazwyczaj czołgami Reinhardta. Mało tego, w bitwie wzięły udział dwa pociągi pancerne, które długo nie pozwalały Niemcom na przekroczenie nasypu kolejowego, stanowiącego naturalne oparcie obrony.

Kluczowe dla sukcesu Polaków okazało się jednak zaskoczenie. Stanowiska artylerii były dobrze zamaskowane między drzewami, a lekko pagórkowaty teren został doskonale wykorzystany przez solidnie okopaną piechotę. „Warunki terenowe umożliwiały prowadzenie obserwacji dalekiego przedpola, a także wykorzystanie kompleksów leśnych, które wydawały się silną przeszkodą przeciwpancerną" – pisał w „Polsce Zbrojnej" prof. płk Juliusz S. Tym.

Niemcy jednak tego nie wiedzieli i parli do przodu. Gdy na polanie w pobliżu Mokrych powitał ich silny ogień dobywający się gdzieś z głębi lasu, byli kompletnie zaskoczeni. Dowodzący 35 pułkiem pancernym ppłk Heinrich Eberbach odnotował, że załogi jego czołgów nie mogły dostrzec wśród drzew obrońców i że polskie karabiny przeciwpancerne prowadziły skuteczny ogień. Około 100 czołgów, które brały udział w tym pierwszym natarciu, nie zdołało się przedrzeć przez gęsty ogień i po dość krótkim starciu, w wyniku którego stracili cztery maszyny, zdecydowali się na wycofanie. Ppłk Eberbach nie ukrywał, że to pierwsze niepowodzenie, choć niewielkie, spowodowało panikę na tyłach. Nic dziwnego – miał to być przecież blitzkrieg...

Gen. Georg-Hans Reinhardt, dowódca niemieckiej 4 dywizji pancernej

Reinhardt szybko zorientował się w sytuacji. Przegrupował siły i spróbował lekko zmodyfikować plan natarcia. Ponieważ jednak nie miał czasu na prowadzenie zwiadu, zdecydował się na taktykę tzw. rozpoznania bojem. Uprzedziwszy atak silnym ogniem artylerii i lotnictwa, niemieckie oddziały ruszyły nieco na północ, licząc na ominięcie polskich stanowisk. Manewr okazał się niebezpieczny, bo trafił w lukę polskiej obrony. Niemcom udało się przejść przez wioski i dotrzeć w pobliże nasypu kolejowego, co mogło się skończyć zakleszczeniem polskich sił. Sytuacja była naprawdę groźna. Zapamiętał ją rtm. Antoni Kropielnicki, dowódca szwadronu CKM w 12 Pułku Ułanów:

„Wyłania się prawdziwe mrowie czołgów. Skóra cierpnie na ten widok. Dla dodania sobie otuchy i uspokojenia nerwów zaczynamy je liczyć. Jedni podają 72, inni 67, jeszcze inni 70. Sieką gęstym ogniem, tak że igliwie i gałęzie sypią się nam na głowy jak śnieg. Betonowy most kolejowy nad drogą jest tak posieczony, jakby go pszczoły obsiadły. (...) Mamy mnóstwo poległych i ciągle zabieramy obsługi koniowodnych, bo nam brak ludzi w linii. Amunicję donoszą wszyscy i lekarz weterynaryjny, adiutant, dowódca szwadronu, zastępca dowódcy pułku. Obsługi zaś tymczasem walą co tchu z armatek i karabinów maszynowych. Obok nich stosy wystrzelonych łusek mosiężnych dymią od spalonego prochu. (...) Ułan niosący skrzynkę amunicyjną ginie obok dowódcy pułku. Ten chwyta ją i donosi do obsługi armaty przeciwpancernej".

I właśnie dzięki takiej postawie żołnierzy udało się odeprzeć również to natarcie. Filipowicz natychmiast skierował do walki pociąg pancerny „Śmiały", a siłę jego ognia wzmacniały karabiny przeciwpancerne 12 Pułku Ułanów. Niemcy nie wytrzymali, a ich cofanie się było tym razem na tyle paniczne, że uciekające z linii boju pojazdy wjechały w kolumny zaopatrzenia, powodując nieopisany chaos.

CO Z TĄ SZARŻĄ?

I właśnie w tym momencie doszło do incydentu, który niemiecka propaganda rozpowszechniła szeroko jako przejaw polskiej głupoty, Polacy zaś sami dołożyli do tego cegiełkę, nie tylko nie dementując, ale wręcz szczycąc się własną ułańską fantazją. Otóż według

Fot. German Federal Archives

eprasa.pl f5a6496d03

propagandowego mitu zdesperowani polscy ułani mieli rzucić się konno na niemieckie czołgi i siec je szablami oraz lancami. Nic podobnego oczywiście nie nastąpiło, choć szarża kawalerii istotnie miała miejsce. Rzecz w tym, że oprócz czołgów polskie pozycje szturmowała też niemiecka piechota oraz motocykliści. W momencie, kiedy z czołgami walczył głównie „Śmiały", wdarli się oni na prawym skrzydle na pozycje 19 Pułku Ułanów. I tutaj archaiczna taktyka walki konnej okazała się równie skuteczna, jak bywała w średniowieczu – żołnierz na koniu zawsze będzie mieć naturalną przewagę nad piechurem, niezależnie czy ten ostatni będzie uzbrojony w miecz, czy szybkostrzelny karabin. Może nawet w XX w. bardziej, bo nikt z nacierających Niemców nie spodziewał się uderzenia w tej właśnie formie – psychologicznie było to więc rozwiązanie doskonałe. Nie można oczywiście wykluczyć, że w bitewnym zamieszaniu jakieś konie znalazły się między czołgami, ale z całą pewnością nie one były celem szarży i nikt nie okładał ich szablami.

Nawiasem mówiąc, sam rtm. Skiba, dowódca ułanów, którzy dokonali tej szarży, uniknął jakimś sposobem niewoli, przedarł się do Francji, gdzie przekwalifikował się na czołgistę, co było podobno powszechne wśród pozbawionych koni ułanów.

Tymczasem jednak musiał walczyć dalej w Polsce, bo choć kolejne niemieckie natarcie zostało powstrzymane, nie oznaczało to bynajmniej końca bitwy. Było zresztą dopiero trochę po południu.

DO PIĘCIU RAZY SZTUKA

Nie wiemy, co myślał Reinhardt, ale zapewne w tym momencie jego podenerwowanie musiało osiągnąć apogeum. Że popełnił błąd, zrozumiał już po odparciu pierwszego natarcia – którego, z czego zdawał sobie przecież sprawę, w ogóle nie przygotował. Ale że stosunkowo słabym polskim siłom udało się odeprzeć kolejne dwa uderzenia, poprzedzone przecież podręcznikowym wręcz ostrzałem artylerii i nalotami lotniczymi – to już musiało poważnie uderzyć w ambicję oficera. Już w tym momencie wiedział, że nie osiągnie w terminie wyznaczonych celów strategicznych, co oznaczało kompromitację już w pierwszych godzinach wojny. Nic też dziwnego, że przed podjęciem kolejnego natarcia odczekał trzy godziny. Znów zadbał o wsparcie artylerii i lotnictwa, spokojniej rozważył posunięcia i uderzył większymi siłami – on też uczył się na błędach i w tym momencie znał już mniej więcej rozkład polskich sił. Rozkaz ataku wydał ok. godz. 15.

Na polu bitwy decydującą rolę potrafią odegrać czasem brawurowe posunięcia bardzo niewielkich nawet oddziałów. Jeśli trzy godziny wcześniej rolę taką odegrała szarża kawalerii, to teraz zrobiła to załoga pociągu pancernego. Tym razem Niemcy wyraźnie zdobywali przewagę. Dwa pułki pancerne bez większych problemów przedarły się przez linię obrony i przekroczyły kluczowy tu nasyp kolejowy. Mogłoby oznaczać to koniec bitwy, ale do tego było daleko. W rejonie bitwy pojawił się mianowicie drugi pociąg pancerny „Piłsudczyk" i wraz ze „Śmiałym" nie pozwoliły one nacieszyć się Niemcom sukcesem. Z kolejnych unieruchomionych czołgów wydobywał się dym, a piechota nie była w stanie kontynuować natarcia pod gęstym ogniem karabinów maszynowych.

Ale nie tylko. Pociągi pancerne z natury rzeczy mają pole zasięgu ograniczone torami, więc od początku istnienia tego rodzaju broni stałą taktyką było wykorzystywanie ich załóg również jako oddziałów dywersyjnych. Tak było i tym razem – żołnierze wyskoczyli po prostu z wagonów i granatami zniszczyli wiele maszyn wroga, gdy te zrobiły sobie przerwę na zatankowanie paliwa. W tym samym momencie, w centralnym punkcie frontu Filipowicz rzucił do walki wszystkie dostępne siły. Tankietki, samochody opancerzone, artyleria uderzyły z taką siłą, że Niemcy po raz piąty tego dnia zostali zmuszeni do chaotycznego odwrotu. I kolejnego ataku już tego dnia nie podjęli.

W odróżnieniu od Reinhardta Filipowicz wypełnił swoje rozkazy z nawiązką. Reinhardt tej samej nocy zameldował dowództwu, że napotkał główną linię polskiej obrony, której nie udało mu się przekroczyć – Filipowicz odrobinę się cofnął, ale nie prosił o zluzowanie, choć tak po prawdzie wyczerpał już wszystkie siły. Dowództwo wykazało się rozsądkiem – następnego dnia pułkownik otrzymał rozkaz wycofania się.

O sukcesie Polaków najlepiej może świadczy to, że 4 Dywizja Pancerna pozostawała niezdolna do walki przez dwa kolejne dni. Straciła ok. 50–60 czołgów i ok. 150 innych pojazdów opancerzonych, a także kilkuset żołnierzy. Liczba poległych wołyniaków była porównywalna, ale straty w sprzęcie były znacznie mniejsze. Brygada pozostawała zdolna do walki i istotnie potrafiła w następnych dniach postawić Reinhardtowi opór dosłownie kilkanaście kilometrów od Mokrych, między Radomskiem a Piotrkowem.

* * *

Bitwa pod Mokrą nie zmieniła wyniku wojny, bo nie mogła i nie taki był jej cel. Była jednak jedną z bardzo nielicznych, w których Polacy wówczas nie tylko nie przegrali, ale też skutecznie zatrzymali blitzkrieg. To starcie gigantów dowodzenia z pewnością wygrał Filipowicz.

Reinhardt przeżył wojnę, aresztowany przez Amerykanów, w 1948 r. został skazany za zbrodnie wojenne na 15 lat więzienia, ale już po czterech latach odsiadki go ułaskawiono. Zmarł spokojnie w 1963 r.

Losy Filipowicza był znacznie bardziej dramatyczne, ale też niezwykle barwne. Pod koniec września 1939 r. rozwiązał swój oddział, przedostał się do Warszawy, gdzie natychmiast wziął udział w konspiracyjnych pracach Służby Zwycięstwu Polski. Po kilku miesiącach został aresztowany, ale uciekł w iście filmowy sposób – ukrywając się w śmieciarce. Po kolejnych kilku miesiącach był już szefem krakowskiego Okręgu AK, tu jednak znów go aresztowano, a tortury Gestapo były tak brutalne, że skatowanego pułkownika sami gestapowcy uznali za zmarłego. Tym razem uciekł więc z kostnicy.

Wkrótce stanął na czele białostockiego Okręgu AK, ale nie miał już siły. Dobiegał pięćdziesiątki, miał gruźlicę, a organizm w równym stopniu zniszczony przez Gestapo, jak i trwające niemal całe życie wojowanie. Zmarł w sierpniu 1945 r. w Otwocku.

eprasa.pl f5a6496d03

Nie godzę się na zakłamywanie historii

Nikt nie ma prawa dziś mówić, że Polacy są współwinni Holokaustu. Powinniśmy się bronić, nie dać się poniżać i poniewierać. Może warto mieć guza na czole i rozkwaszony nos, ale zachować godność i trwać przy prawdzie

Z Joanną Król, wolontariuszką Muzeum Powstania Warszawskiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f5a6496d03

Urodziła się pani 18 maja 1944 r. Wyjątkowa data. Nie tylko dlatego, że to kilka tygodni przed wybuchem powstania warszawskiego.

Joanna Król: To dzień urodzin Ojca Świętego Jana Pawła II, który zawsze był dla mnie ważny, dzień zwycięstwa pod Monte Casino. O samej bitwie dowiedziałam się znacznie później, bo o wojnie długo się w rodzinie nie rozmawiało. Znacznie częściej słyszałam zwrot: „A przed wojną to...". Trudno się dziwić, że rodzice niezbyt chcieli wspominać te dramatyczne przeżycia. Sama myślę, że gdybym przeżyła taką traumę jak oni, to chyba nie chciałabym o niej w szczegółach opowiadać moim dzieciom. W dzieciństwie słyszałam tylko urywki rozmów.

Jakich na przykład?

Moja babcia opowiadała o swojej sąsiadce, pani Janeczce, która podczas rzezi Woli została zgwałcona w piwnicy przez czterech oprawców Oskara Dirlewangera. Przypomnę tylko, że 36 Dywizja Grenadierów SS „Dirlewanger" to była jednostka Waffen-SS złożona przede wszystkim z kryminalistów rekrutowanych w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych, która cechowała się wybitnym okrucieństwem. Pani Janeczka została zgwałcona na oczach męża i półtorarocznego syna. Zaszła w ciążę. Po urodzeniu dziecka odebrała sobie życie. Nie zniosła piekła, jakim stało się ich życie. Nie chodzi tylko o traumatyczne przeżycie, ale także o niszczące męża poczucie winy, związane z tym, że nie potrafił ochronić żony. Takie historie wpadały mi w uszy, gdy byłam dzieckiem. Opowieści i łzy pojawiały się przy okazji skromnych świąt Bożego Narodzenia. Przy udekorowanej papierowymi zabawkami choince wspominano tych, którzy odeszli. Raz usłyszałam od babci, że w 1943 r. na Wigilię mieli kilogram białego sera i trzy cebule.

Ale w pani rodzinie wojna, powstanie warszawskie były żywym wspomnieniem?

Moi rodzice i dziadkowie urodzili się w Warszawie, całą wojnę obie rodziny przeżyły w stolicy. Powstanie zdziesiątkowało moją rodzinę. Rodzice długo nie mówili, ale w końcu zaczęli opowiadać. Przecież prawie cała rodzina była związana z Wolą. Prawdopodobnie urodziłam się przy ul. Płockiej 20. Tak wynika z aktu małżeństwa rodziców. Moja rodzina nie była zbyt zamożna, ale tata pracował i przed wojną, i w jej trakcie (jeździł wukadką jako konduktor) oraz po wojnie. Moja mama miała trzy siostry. Jedna pracowała na pl. Kercelego, tzw. Kercelaku. Sprzedawała tam łokciowiznę, czyli materiał na metry. Druga siostra mamy (ona akurat mieszkała na Żoliborzu Oficerskim) była żoną wojskowego, który przeszedł drogę bojową z Armią Andersa, przeżył Monte Casino, później osiadł w Wielkiej Brytanii, dokąd ciotka wyjechała w 1957 r. w ramach łączenia rodzin. Po wojnie korespondowali z sobą. Najmłodsza siostra na weselu moich rodziców poznała i pokochała kolegę taty, później powstańca, którego po wojnie odnalazła w Anglii (a właściwie odnalazła go jej siostra, ta od andersowca), ale to inna historia, na piękny film. Z dziećmi ciotek jestem wciąż w kontakcie. Jedna (córka andersowca) ma 84 lata, a córka powstańca 61 lat. Obie żyją w Anglii.

Jak potoczyły się wojenne losy rodziców?

Rodzice pobrali się w 1943 r. w kościele św. Wojciecha. Gdy rozpoczęła się rzeź Woli, mama miała niespełna 18, tata 25 lat. Rodzice zostali wypędzeni do dulagu w Pruszkowie, warunki były makabryczne. Tam również konała Warszawa. Rodzina się rozpierzchła. Z dulagu ludzie byli przewożeni w inne miejsca. Jedna z sióstr mamy została wywieziona na roboty do Niemiec. Moi rodzice, mama mojej mamy i jej najmłodsza siostra (ta od powstańca) zostali przydzieleni przez Niemców do Generalnej Guberni, w okolicach Błonia, do pomocy chłopu, u którego trzeba było zbierać ziemniaki. Byłam z rodzicami. Strasznie wtedy chorowałam, schodziły mi paznokcie, płakałam dnie i noce. Późną jesienią do taty dotarła jakoś informacja od kolegi z Woli, który zaczął w Gdańsku studia medyczne, że tam jest inna sytuacja, że są wolne mieszkania, Niemcy uciekli i można żyć. Rodzice pojechali. Mieszkaliśmy tam niecałe dwa lata, w 1946 r. wróciliśmy do Warszawy. Mama kochała to miasto. Poza tym dotarła do nas informacja, że część rodziny przetrwała.

> Niedawno pod MEN odbyła się trzyosobowa demonstracja uczniów. Jeden z nich trzymał tekturę z wypisanym nazwiskiem ministra edukacji. Jedna z liter była przerobiona na swastykę. Trzeba nic nie wiedzieć o historii, by się czegoś takiego dopuścić

Życie dziecka w zrujnowanej Warszawie chyba też nie było łatwe?

Otoczenie było straszliwe. Gruzy były naturalnym krajobrazem. Pamiętam (już nie wiem, z doświadczenia czy z opowieści), że ruiny latem niebywale cuchnęły. Pamiętam też inny obraz, związany z babcią. Mama mojego taty wychowywała sieroty, dzieci swojej córki, a siostry mojego taty: chłopca i dziewczynkę. Siostra ojca została rozstrzelana podczas rzezi. Nawet nie wiemy, w którym miejscu dokładnie: czy na Górczewskiej czy w kościele św. Wojciecha. Grób na Cmentarzu Wolskim jest symboliczny. Babcia wróciła na tę Wolę z dziećmi córki. Znalazła jakieś mieszkanie. Klatka schodowa była doszczętnie zniszczona, wyglądało to jak lej po bombie, ale kilka mieszkań nadawało się do użytku. Nie było schodów. Wybudowano trap, jak na statek, i po tym wchodziło się na kolejne piętra. Pamiętam, jak mój tata wnosił mnie tam na rękach, byłam malutka i wbijałam mu paznokcie w szyję, bo strasznie się bałam, że on się potknie i wpadniemy w czeluść tej wypalonej klatki schodowej. Pamiętam inwalidów bez nóg, którzy przemieszczali

eprasa.pl f5a6496d03

się na deskach z przytwierdzonymi kółkami, odpychając się rękami od ziemi.

Trudno takie rzeczy zapomnieć?

Jedne się zapomina, inne wracają. Gdy kilka lat temu zachorowałam i leżałam w szpitalu na Płockiej, to w weekendy, gdy większość pacjentów wychodziła, a zostawali tylko nieliczni, zaczynała mi pracować wyobraźnia. Trzeba przypomnieć, że w czarną sobotę 5 sierpnia 1944 r. Niemcy wymordowali personel i pacjentów Szpitala Wolskiego oraz Szpitala św. Łazarza. Dzień później ofiarą masakry padli także pacjenci Szpitala Dziecięcego Karola i Marii. Miałam wtedy zaledwie kilka tygodni, ale później słyszałam przecież o stosach zwłok sięgających czwartego piętra, o tym, że na ludzkiej krwi ślizgali się uciekający chorzy, o tym, jak prowadzono chorych na miejsce kaźni przy ul. Górczewskiej. Do dziś, gdy jestem na Woli i zatrzymuję się w jakimś miejscu, patrzę pod nogi i zastanawiam się, czy tu leżał ktoś zamordowany przez Niemców.

Kiedy rodzice zaczęli opowiadać o wojnie, o powstaniu?

W 1957 r., gdy ciotki wyjeżdżały do Anglii, rodzice zaczęli mówić, do kogo jadą, co się wydarzyło. Kilka lat później przyjechał w odwiedziny wujek, który był powstańcem. Opowiedział, dość niechętnie, co przeżył. Ale to były historie niedokończone, opowiadane przy różnych okazjach. W szkole temat powstania nie istniał, nauczyciele o nim nie mówili, bo wówczas trzeba by mówić o AK, bohaterstwie, żołnierzach wyklętych. A to wszystko zostało wygumkowane przez komunistyczną propagandę. Uczyłam się w XXII liceum im. José Martí. Miałam przedwojennych, wspaniałych nauczycieli, ale historyk był aparatczykiem, zaledwie po kursach przy KC. Wówczas tata zaczął mówić, czym było powstanie. Najwięcej zaczęłam rozumieć, gdy byłam nastolatką, ale niestety zainteresowanie przeszłością było mniejsze. Młody człowiek żyje innymi sprawami. Dużo dowiadywałam się przy okazji. Gdy miałam 20 lat, dowiedziałam się np., że siostra cioteczna taty podczas rzezi Woli na ul. Górczewskiej przeleżała do zmroku w dole śmierci, pod górą ciał ofiar egzekucji. Niemcy zastrzelili wtedy jej matkę, a ona pociągnęła ją do tego dołu za sobą. Gdy ta dziewczyna wygrzebała się po zmroku z dołu, miała fragmenty mózgu matki na włosach, ale sama nie odniosła żadnych ran. Mimo tak przerażających przeżyć to była pogodna kobieta, miała męża i dwie córki. Nie mogłam pojąć skali jej cierpienia. Patrzyłam na nią, jakby była nie z tego świata. I była nie z tego świata, bo jej ocalenie było cudem.

Jak się rodzicom ułożyło życie po wojnie?

Zamieszkaliśmy na przepięknej ul. Płatniczej, która wówczas nosiła nazwę Chełmżyńska. Do dziś są tam gazowe latarnie. Zostaliśmy tam dokwaterowani do starszego samotnego małżeństwa. Obie ich córki służyły w AK. Jedna zginęła, druga została w Anglii. Przy tej willi był ogród, tata w nim pomagał. Mieliśmy tam 20-metrową izbę, w której mama gotowała, tam się spało. Kilka lat później, w 1951 r., znów wróciliśmy na Wolę. Dostaliśmy mieszkanie w WSM przy ul. Deotymy. To był piękny, słoneczny dwupokojowy lokal. Na tamte czasy niemal luksus. Jedzenie było marne. Żywiliśmy się głównie zupami. Czasem smakołyki wpadały od wujka, który był kelnerem w hotelu Polonia. Ubrania były przerabiane z ubrań po dorosłych. Czasem ciotki coś przysyłały z Anglii, ale im też nie było łatwo. Zaczynały od zera. Generał Maczek był barmanem, cóż mieli robić zwykli żołnierze? W latach 60.–70. miałam lepiej, bo ciocia starała się wynajdować coś na wyprzedażach. Tata tuż po wojnie zaczął pracować w Zakładach Urządzeń Dźwigowych. Nie był bardzo wykształcony, ale był bardzo zdolny. Wysłano go nawet na szkolenie na Węgry, żeby umiał zamontować schody ruchome w wybudowanym budynku CDT, dziś Smyk. (Niektórzy dziś mówią, że to czeskie schody, ale one były węgierskie). Tata dojeżdżał z Bielan na Służewiec na siódmą rano. Już od 1946 r. jeździły tramwaje i autobusy. Funkcję tych drugich spełniały wojskowe ciężarówki. Z taką ciężarówką kojarzy mi się jedno wspomnienie. Jechałyśmy z mamą i jedną z ciotek przez Krakowskie Przedmieście. Przejeżdżałyśmy obok kościoła św. Krzyża. Wówczas ponownie postawiono tam zniszczoną podczas powstania figurę Chrystusa, która pojawiła się tam 2 listopada 1898 r. Odlany z brązu posąg zastąpił wówczas wcześniejszą rzeźbę z mniej trwałego materiału. Mama i ciocia rozmawiały o tej figurze, o tym, jak legła w gruzach. Zaczęłam się jej przyglądać. Była potrzaskana. One rozmawiały o tym, co się wydarzyło, jak Niemcy potraktowali Chrystusa. I gdy niedawno widziałam w mediach, jak kolorowi aktywiści bezcześcili znów tę figurę, to pękało mi serce, burzyła się we mnie krew. Są rzeczy, na które pod żadnym

REKLAMA

Radio Warszawa 106,2 FM

"Czas to miłość"
ks. Michał Dziedzic
i Weronika Ostrowska
poniedziałek-piątek, godz. 6.20, 12.45 i 18.45
sobota, godz. 8.15 i 12.45

"Moja misja na ziemi"
Ewa Pietrzak
sobota, godz. 10.30

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Reklama | 52/0721/JF

eprasa.pl f5a6496d03

pozorem nie można się zgodzić. Przecież gdyby nie wiara, to nie przetrwalibyśmy zaborów, komuny. Co mogą o tym wiedzieć te dzieciaki, które nie znają historii, nic nie wiedzą i nie chcą wiedzieć. A tzw. nowoczesność jest dla nich sposobem na własne wykorzenienie. Tak bardzo chcą zerwać ze swoimi korzeniami, tradycją, wiarą, a często i rodziną, że udają bardziej nowoczesnych, niż się od nich tego oczekuje.

Wielokrotnie powtórzyła pani teraz i wcześniej „Niemcy". Nie naziści?

Nie było wtedy takiej narracji. Wszyscy wiedzieli, kto stoi za bestialstwem, okrucieństwem, mordami, obozami zagłady. To byli Niemcy. Nie było kraju o nazwie Nazilandia, nie było stolicy SSburg. A jakim językiem niby mówiono w tej Nazilandii? Jaki to musiał być potężny kraj, że napadł na Niemcy... Taka teraz jest narracja. A przecież są zdjęcia warszawskich wagonów tramwajowych z napisem: „Nur für Deutsche". Teraz na nowo pisze się historię. Potomkowie esemanów twierdzą, że ich dziadowie grali w orkiestrach albo byli kucharzami lub kwatermistrzami. Ale komu przygrywali i gotowali?

Ale to Polaków oskarża się o współudział w Holokauście, obarcza winą za wybuch wojny, mówi się o polskich obozach i gettach.

Nie mogę się na to wszystko zgodzić. Gdy słucham kłamstw panów Łąckiego czy Gduli o odpowiedzialności Polaków, czy niedouczonego Jońskiego, to nie rozumiem. Jak oni mogą tak kłamać publicznie? Powinni być reedukowani, nie powinni mieć prawa startu w kolejnych wyborach, bo to są wewnętrzni wrogowie Polski. Nie godzę się na to. Ich brednie prowokują ataki z zagranicy. Byłam na wycieczce w Markowej, w muzeum Józefa i Wiktorii Ulmów. Mimo biedy i zagrożenia życia Ulmowie dali schronienie ośmiorgu Żydom. Niemcy zamordowali tych Żydów, potem Józefa i Wiktorię (będącą tuż przed rozwiązaniem). Następnie zabito ich dzieci. Oni mają mały zwykły grób, na którym nie ma nawet imion dzieci. Panowie Łącki i Gdula powinni tam pojechać. Dziś mniej mówi się o Sprawiedliwych, którzy ratowali Żydów, ryzykując nie tylko swoje życie, ale i swojej rodziny. Dziś częściej mówi się o szmalcownikach. A szmalcownictwo karano śmiercią. Poznałam w Muzeum Powstania Warszawskiego starszego mężczyznę, który podczas wojny w konspiracji wykonywał wyroki na szmalcownikach, zdrajcach i kolaborantach. Po wojnie dwa razy próbował popełnić samobójstwo, pomógł mu ksiądz, który mu tłumaczył, że zabijał wrogów, że gdyby nie wykonał wyroku, przez szmalcownika zginęłoby wielu ludzi. Zapytałam go, czy miał stuprocentową pewność, że wyroki były sprawiedliwe. Powiedział, że miał dwustuprocentową, ponieważ wyroki wydawały sądy AK, a sądzili znakomicie wykształceni prawnicy. Gdy był cień wątpliwości, wyroku się nie wykonywało.

Tymczasem Ja'ir Lapid zarzuca Polakom antysemityzm.

Nikt nie ma prawa dziś mówić, że Polacy są współwinni Holokaustu. Powinniśmy się bronić, nie dać się poniżać i poniewierać. Może warto mieć guza na czole i rozkwaszony nos, ale zachować godność i trwać przy prawdzie. Nie pamiętam w swoim otoczeniu antysemityzmu. Jestem wolna od wszelkich uprzedzeń, ale takie prowokowanie rodzi niechęć i podziały. Miałam w klasie koleżanki i kolegów pochodzenia żydowskiego. W czasie wojny moja ciotka chodziła do getta i przemycała przez mur jedzenie dla szkolnej koleżanki. Przed wojną w Europie mieszkało 8 mln Żydów. Ok. 500 tys. w Niemczech, 280 tys. we Francji i ok. 4 mln w Polsce, Żydzi osiedlali się w Polsce od XIII w., bo byliśmy narodem otwartym i tolerancyjnym. Zagłada była precyzyjnie zaplanowana i skalkulowana. Hitler ze względów pragmatycznych wybrał Polskę, by nie ponosić kosztów dodatkowych transportów i by kominy krematoriów nie dymiły na terenie Rzeszy. Niestety zaniedbaliśmy edukację. Za PRL nie wolno było mówić o AK, o żołnierzach wyklętych. Po 1989 r. natomiast wmawiano nam antysemityzm. Dziś mamy częściowo przegrane pokolenie 20-, 30- i 40-latków. Trzeba zmienić edukację. Niedawno pod MEN odbyła się trzyosobowa demonstracja. Prawdopodobnie uczniów. Jeden z nich trzymał kawał tektury z wypisanym nazwiskiem ministra edukacji. Jedna z liter była przerobiona na swastykę. Trzeba nic nie wiedzieć o historii, by się czegoś takiego dopuścić. Ten młodzieniec powinien przymusowo zwiedzić katownię w al. Szucha. Podczas wojny samo wspomnienie tego miejsca budziło grozę. Program historii ósmej klasy szkoły podstawowej i ostatniej klasy szkoły średniej powinien być poświęcony wyłącznie historii współczesnej. Wizyta w Muzeum Powstania Warszawskiego obowiązkowa. Należałoby na Woli, a przynajmniej w jej starej części, stworzyć swoisty memoriał, tak jak to się stało we Francji we wsi Oradour, gdzie Waffen-SS wymordowało ludność, a domy spalono. Było to 10 czerwca 1944 r. Wsi celowo nie odbudowano, by zgliszcza na zawsze przypominały tę tragedię. Niestety dziś już jest za późno, a na Woli wyrosły wieżowce.

W powstaniu walczyli młodzi ludzie, często dzieci. Dlaczego dla nich wartości jak Bóg, Honor, Ojczyzna były żywe, a dziś już nie są.

Tamta młodzież miała bardzo silne korzenie, byli wychowywani w wierze, nawet gdy mieli chwile zwątpienia. Mieliśmy wpojony szacunek do starszych, do rodziny. Witając się z babkami, całowałam je w rękę, nawet mając 20 lat. Brakuje dumy z korzeni, wychowania w miłości i trosce o dziadków. Poza tym dziś ludziom żyje się wygodniej, dostatniej, goni się za pieniądzem.

Dziś jest pani wolontariuszką w Muzeum Powstania Warszawskiego. Dlaczego?

Czuję tu metafizyczną bliskość mojej rodziny. Jestem tu także z powodu miłości do Warszawy, którą wpoili mi moi rodzice. Musiałam się wiele nauczyć, żeby oprowadzać wycieczki, ale świadkowie historii odchodzą. Kilka lat temu zmarła moja ostatnia ciotka, która świadomie przeżyła powstanie. Wolontariat zapewnia twórczy czas na emeryturze, a ja po prostu to kocham. W wolontariacie jestem już od 11 lat.

eprasa.pl f5a6496d03

Strażnik pamięci

Dla świata jest legendarnym pięściarzem z KL Auschwitz. W filmie i książce to „Mistrz" nie tylko boksu. Dla córki Eleonory Szafran, Tadeusz „Teddy" Pietrzykowski to przede wszystkim tata

Fot. Archiwum rodzinne Eleonory Szafran

eprasa.pl f5a6496d03

Z Eleonorą Szafran, córką Tadeusza Pietrzykowskiego, autorką książki „Mistrz", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Zwycięski pięściarz? Utalentowany malarz? Ceniony i lubiany przez młodzież promotor sportu? A może strażnik wojennej pamięci i obozowy mistrz wszechwag? Kim był dla ludzi i kim pozostaje dla pani Tadeusz „Teddy" Pietrzykowski?

Eleonora Szafran: Dla mnie to przede wszystkim tata. Na cały etat. Zajmował się mną od najwcześniejszych lat. Zabierał do szkoły, gdzie uczył WF-u, i na bokserskie treningi, które prowadził. Zawoził mnie do przedszkola, a kiedy poszłam do szkoły – na gimnastykę artystyczną.

Jeździliście ulubionymi przez niego kolejnymi fiacikami?

Przede wszystkim fiacikiem pięćsetką, która była znana w całym Bielsku, bo miała na szybie numer 77.

Wiedziała pani, co to znaczy?

Bardzo wcześnie zostałam skonfrontowana z obozową przeszłością ojca. W domu nie był to temat tabu. Tata o tym mówił, słyszałam też opowieści jego kolegów z tamtych czasów. Co prawda przed małym dzieckiem nie rozwijano zbyt mrocznych historii, ale też nie odcinano mnie od trudnych zdarzeń. Wiedziałam, że 77 to numer obozowy z Auschwitz. Tata miał też te siódemki wytatuowane na wewnętrznej stronie lewej ręki.

To bardzo niski numer.

Dotarł do obozu z pierwszym transportem więźniów politycznych. Przewieziono go z Tarnowa. To był rok 1940.

Kiedy poznała pani niezłagodzoną historię „Teddy'ego" Pietrzykowskiego?

Tata nie unikał bolesnych wspomnień, nie odsuwał od siebie obozowej traumy. Dziś moglibyśmy powiedzieć, że ją przepracowywał – rozmawiał na ten temat, często widziałam też, jak pochylony nad biurkiem godzinami robił notatki. Udało mu się nie obciążać swoją traumą innych, a jednocześnie dawał świadectwo tego, czego sam doświadczył. Czuł się w obowiązku, by o tym, co działo się w obozach zagłady, mówić, by nie pozwolić o tym zapomnieć.

Jaką rolę grała w tych opowieściach zniszczona bokserska rękawica?

Miał kilka par rękawic, ale te, które przywiózł z pożogi wojennej – kiedy w 1946 r. wrócił do Polski – znaczyły dla niego wyjątkowo dużo. Wisiały na bardzo ważnej ścianie, w jego pokoju, wśród innych obozowych pamiątek. Później się dowiedziałam, że kiedy wyjeżdżał (w 1943 r.) transportem z Auschwitz do Neuengamme, dostał ją od Waltera Dunninga, przedwojennego wicemistrza Niemiec w wadze średniej, swojego pierwszego przeciwnika w obozie, z którym stoczył walkę w 1941 r.

Od tego starcia zaczęła się droga „Teddy'ego" Pietrzykowskiego przez ringi obozów Auschwitz-Birkenau, Neuengamme i Bergen-Belsen? Ile walk stoczył?

Według różnych wyliczeń od 40 do 60. Przegrał tylko raz.

Często do nich wracał?

Cały obozowy czas przywoływał w zapiskach (które stały się podstawą wydanej właśnie książki „Mistrz", a także scenariusza filmu pod tym samym tytułem) i w wojennych pamiątkach, które zbierał. Były wśród nich biało-czerwone opaski ze znakiem Polski Walczącej i różnego typu emblematy. Znalazła się też mycka. Przywiózł ją w 1946 r. po swojej pierwszej powojennej wizycie w Auschwitz. Nie pamiętam, czy był tam oficjalnie, czy prywatnie [w kwietniu 1946 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki skierowało do Oświęcimia grupę byłych więźniów w celu ochrony terenów dawnego obozu i utworzenia tam muzeum – przyp. red.]. W jednym z baraków powiedział, że na dowód tego, że tu przebywał, pokaże, co schował w 1943 r. Podszedł i wyciągnął myckę, którą potem przywiózł do domu. Pamiętam, że jako mała dziewczynka chciałam z niej zrobić sukienkę dla lalki, ale wytłumaczył mi, że tego nie wolno robić.

Słysząc, z jaką pogodą w głosie mówi pani o ojcu, domyślam się, że – nawet po doświadczeniach, które niejednemu złamałyby charakter – pozostał otwartym ciepłym człowiekiem?

Po tym, co przeżył, na pewno nie było to łatwe, ale w zachowaniu pogody ducha pomagało mu to, że otaczał się młodymi ludźmi. Oczywiście miał też kontakt z dawnymi kolegami. Kiedy tylko było trzeba, jeździł z nimi do Auschwitz, ale to młodzieży było wokół niego najwięcej. Dla nich był łącznikiem między przeszłością i powojenną przyszłością. O tym, co działo się za drutami obozów, potrafił opowiadać w sposób bardzo realistyczny (tuż po wojnie nie wszyscy chcieli w to uwierzyć). Ale poza przypominaniem faktów z przeszłości pomagał też młodym iść do przodu, rozwijać się.

Motywował ich?

Był dla nich najlepszym wzorem. Sportowca, człowieka. Do dziś jego dawni uczniowie ze szkoły nr 12 w Bielsku-Białej, a także zawodnicy, których trenował (również w klubach Zryw w Warszawie i Gorce w Nowym Targu), bardzo dobrze go wspominają. To nie dziwi, bo prowadzenie młodzieży – która zastąpi pokolenie pokiereszowane wojną – było życiowym planem taty. Jeszcze w Neuengamme, jak wynika z zapisków, obiecał sobie, że jeśli przeżyje to piekło, poświęci swoje życie dla młodych ludzi. Żeby nigdy nie zaznali głodu i mogli w spokoju trenować sport.

W 1976 r. Tadeusz Pietrzykowski ukończył budowę domu, który nazywa pani jego tożsamością. Jak to rozumieć?

Wojna odebrała mu jego pierwszy dom, w Warszawie – mieście, w którym urodził się w 1917 r., w którym, jeszcze jako gimnazjalista, zaczynał swoją przygodę z boksem (ku niezadowoleniu bliskich, bo nie był to sport dla chłopca z porządnej inteligenckiej rodziny). To tu trenował w klubie Legia (m.in. pod okiem słynnego Feliksa Stamma), zdobywając wicemistrzostwo Polski i mistrzostwo Warszawy w wadze

eprasa.pl f5a6496d03

Eleonora (w środku) nie została sportowcem, do czego zachęcał ją tata

koguciej. Znany był jako „Teddy" Pietrzykowski (pseudonim nawiązywał do mistrza amerykańskiego boksu lat 30. Teddy'ego Yarosza). W 1946 r. wrócił na gruzy Warszawy. Matka już nie żyła, udało się przetrwać bratu i ciotkom, ale...

...domu, nie tylko fizycznie już nie było?

Dziś myślę, że ten powrót wiązał się dla niego z dużym obciążeniem. Czasy stawały się niepewne. Dodatkowo wracał pokiereszowany (i fizycznie, i psychicznie). Towarzyszyła mu pierwsza żona, również była więźniarka. Na pewno chcieli stworzyć dla siebie bezpieczny dom, rodzinę, ale to się nie udało, chociaż urodziła mu się pierwsza córeczka, którą też bardzo kochał.

Minęło kilkanaście lat. W tym czasie tata ukończył warszawską AWF (1959), wyjechał do Nowego Targu, gdzie ożenił się po raz drugi i gdzie urodził mu się synek, też Tadeusz (ale i ten związek, niestety, nie przetrwał). Dopiero w kolejnym mieście, i w kolejnej rodzinie, „Teddy" Pietrzykowski stał się człowiekiem, którego pamiętam; którego zapamiętali jego uczniowie. Człowiekiem dojrzałym, gotowym na nowe otwarcie. To w Bielsku-Białej zbudował upragniony dom. I w przenośni, i dosłownie. Domknął wcześniejsze etapy życia.

Czy przeczytamy o nich w książce „Mistrz"?

Do opisania powojennych losów Tadeusza Pietrzykowskiego dopiero się przymierzam. Teraz przedstawione zostały jego obozowe przeżycia. Na podstawie oryginalnych zapisków.

Po śmierci taty, w kwietniu 1991 r. długo nie potrafiłam uporządkować jego pokoju pamiątek. Poza tym mieszkałam w Niemczech i tylko okazjonalnie przyjeżdżałam do Bielska-Białej. Dopiero pięć lat temu znalazłam w bibliotece zielony zeszyt. W dużej części zawierał wspomnienia przywołane na potrzeby książki, która miała wyjść w Danii w latach 80., ale też relacji, jakie tata przygotowywał dla muzeum w Oświęcimiu. Pisał o tym, jak odbierał Auschwitz, kiedy dotarł tam z transportem, i później. Bardzo szczegółowo relacjonował pierwszą walkę, tę z Walterem Dunningiem. Nawiązywał do osób, które spotkał za drutami (byli wśród nich m.in. rotmistrz Witold Pilecki czy o. Maksymilian Kolbe), ale też innych (nie tylko współwięźniów) wpisanych w jego obozową historię. Niektórym z nich wiele zawdzięczał. Bo zwycięstwa na ringu nie gwarantowały przetrwania. Dużo w tych notatkach emocji, wcale niełatwych.

Odnalezione materiały nie były pierwszą próbą utrwalenia obozowych wspomnień.

W 1946 r. takimi zapiskami został wypełniony cały zeszyt – widzieli go bliscy taty – jednak, gdzieś po drodze do wydania, ten notes „zaginął". Najwyraźniej to, co zawierał, nie pasowało do ówczesnej wizji najnowszej historii.

Oprócz notatek, które tata później odtworzył czy też napisał na nowo, a które ułożyłam chronologicznie – znalazłam albumy ze zdjęciami, korespondencję... Nie pozostało mi nic innego, jak spróbować spełnić życzenie taty i w końcu opublikować jego wspomnienia. Cieszę się, że trafią do czytelników. Podobnie cieszę się z filmu o nim.

Jak doszło do jego realizacji?

Odezwał się pan Maciej Barczewski, zainspirowany historią Tadeusza Pietrzykowskiego. Przekonał mnie – zarówno do swojego scenariusza, jak i obrazu, który wyreżyserował.

Spotkała się pani z odtwórcą głównej roli, już na planie zdjęciowym, w obozowych dekoracjach. Jak to pani wspomina?

Przede wszystkim byłam ciekawa, jak będzie wyglądał Piotr Głowacki jako tytułowy „Więzień 77" (taki był roboczy tytuł filmu). Kiedy go zobaczyłam – wychudzonego, w pasiaku – bardzo się wzruszyłam. Sylwetka, postura były dobrane znakomicie. Twarz, wiadomo, różniła się, ale i w niej szukałam taty. Podobnie w gestach. Niezwykłe doświadczenie. A potem, kiedy kręcono sceny zbiorowe z esesmańską załogą, miałam ciarki na plecach.

A jak odebrała pani wystawę obrazów ojca w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku?

Bardzo pięknie wyszła. Blisko 30 prac wykonanych głównie w technice akwareli. Pejzaże – szczególnie góry, które tata tak kochał, portrety, w tym mojej mamy, wizerunki sportowców – bokserów i narciarzy, oraz Madonny – praca z 1939 r., przygotowana na potrzeby egzaminu na wydział architektury Politechniki Warszawskiej, i ta obozowa, z drutem kolczastym i ze znakiem Polski Walczącej. Wystawa (zakończona 31 sierpnia) pokazała nie tylko kunszt malarski, ale też niezwykłą wrażliwość: artysty, człowieka, mojego taty.

Fot. Archiwum rodzinne Eleonory Szafran

eprasa.pl f5a6496d03

Na tropie zapomnianej literatury

Ja dzisiaj się cieszę, że przemocą wyrzucony kiedyś z bibliotek, skazany na zapomnienie, ważny polski autor wraca do naszej kultury, do zbiorowej wyobraźni. To wspaniałe uczucie

Michał Karnowski rozmawia z Tadeuszem Zyskiem, wydawcą, redaktorem, twórcą wydawnictwa Zysk i S-ka, z wykształcenia psychologiem i socjologiem

Mam przed sobą przepisaną na nowo, uporządkowaną i zredagowaną przedwojenną powieść „W nawiedzonym zamczysku" autorstwa Jana Łady, czyli księdza Jana Gnatowskiego, podróżnika, pisarza, publicysty. Akcja tej powieści z elementami fantasy dzieje się na Kresach w czasach poprzedzających „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Odważna decyzja, by się do czegoś takiego brać. Lubi pan wydawnicze eksperymenty?

Tadeusz Zysk: Decyzja nieoczywista, ale ja lubię takie wyzwania. Wiem też, że często się one opłacają. Pamiętam, jak nas krytykowano, gdy przymuszeni zablokowaniem praw do dotychczasowego tłumaczenia zdecydowaliśmy się ponownie przełożyć na język polski „Władcę Pierścieni" Tolkiena. Jak można szargać świętości? – pytano. A jednak czytelnikom się spodobało. Na Zachodzie to normalne, że na nowo odczytuje się pewne dzieła, uwspółcześnia się.

To wy pierwsi na poważnie postawiliście także na współczesną polską powieść historyczną? Dlaczego?

Bo wyczuliśmy, że tego brakuje. Sama klasyka nie wystarczy. Wspaniały sukces Elżbiety Cherezińskiej jest dowodem, że mieliśmy rację. W tej chwili w Stanach Zjednoczonych w nakładzie 100 tys. egz. ukazała się jej „Harda". Zbiera też dobre recenzje. W planach mamy wydanie tam „Królowej". Ale skoro o historii, to także u nas ukazała się popularnonaukowa biografia Lecha Wałęsy pióra Sławomira Cenckiewicza ujawniająca prawdę o byłym prezydencie. Wielu przestrzegało, że w odwecie nas zniszczą, że będą problemy. Nie przestraszyliśmy się. Czytelnicy docenili tę pozycję.

„W nawiedzonym zamczysku" to jednak powieść historyczna z elementami zjawisk paranormalnych. Rzecz ze wszech miar nietypowa.

Jest to formuła bardzo na świecie popularna: powieść historyczna z wątkami nadzmysłowymi. W polskiej fantastyce jest to także bardzo silny nurt, tym bardziej że początki naszej

państwowości toną w mroku, niewiele wiemy o tym, co działo się tutaj w czasach prasłowiańskich, przedchrześcijańskich, przed Mieszkiem. Daje to wielkie pole dla wyobraźni, a masowość tego zjawiska wskazuje na pragnienie odnalezienia przez Polaków także i w ten sposób swoich korzeni, uwzględnienia mitologii przy budowie swej tożsamości. Żeby było jeszcze ciekawiej, od kilkunastu lat masową wyobraźnię rozbudzają nowe odkrycia archeologiczne i naukowe na temat początków państwa polskiego, możliwe dzięki zastosowaniu supernowoczesnych technologii. Możemy dokładnie określić wiek ściętego drzewa, zbadać mikrocząsteczki biologiczne pozostawione przez naszych przodków, możemy zbadać DNA królów, ale i każdego z nas.

To trochę zabawa, ale wielu ludzi ulega pokusie sprawdzenia rzekomego pochodzenia przez badania genetyczne.

Ja też uległem. Syn w prezencie wykupił mi takie badanie, okazało się, że jest we mnie 56 proc. Słowianina, 41 proc. Bałta i 3 proc. człowieka z Bałkanów. Trochę to oczywiście zabawa, ale uświadamiająca nam skalę migracji w przeszłości, rzucająca jakieś światło na naszą przeszłość. Połączenie takich technologii z wiedzą historyczną, mitami, baśniami, legendami jest dziś uwielbiane przez czytelników. Stąd wziął się pomysł na ponowne odczytanie powieści Jana Łady.

Jak w ogóle trafiliście na tego autora, kompletnie niemal zapomnianego?

Szukałem tekstów do antologii grozy „Wigilia z duchami" i w ręce wpadł mi „Lucyfer" Jana Łady. Byłem pod urokiem. Trzeba tutaj wspomnieć o dobrej robocie, jaką wykonali w przywracaniu pamięci Jana Łady Jan Maria Jackowski swoją książką „Ks. Jan Gnatowski na tle epoki" oraz Aleksandra Ewelina Seliga, znakomita badaczka z Uniwersytetu Łódzkiego, która napisała wiele tekstów o nim. Są to świetne prace, ale historyczno-literackie. My chcieliśmy przypomnieć Jana Ładę poprzez niego samego – uwspółcześnionego.

Historia tego księdza sama w sobie jest niesamowita. Pisarz, intelektualista, papieski dyplomata, który już jako wykształcony człowiek podjął studia teologiczne.

To wybitny Polak, postać miary światowej. Był wysoce obiecującym naukowcem, znał języki obce. Podróżował po Włoszech, Grecji, Bałkanach. Pisał stamtąd znakomite reportaże. W latach 80. objął dział literacki po Henryku Sienkiewiczu w piśmie „Niwa", jednak w połowie lat 80. XIX w. musiał uciekać z kraju przed carską policją z powodu działalności konspiracyjnej. Na emigracji, ku zaskoczeniu bliskich, podjął studia teologiczne. I rok po święceniach został szambelanem papieża Leona XIII. Na początku lat 90. z niezrozumiałych powodów wrócił do Lwowa, został tam katechetą, a jednocześnie prowadził głośny salon literacki. Arcyciekawa postać.

Ks. Jan Gnatowski to wybitny Polak, postać miary światowej. Był wysoce obiecującym naukowcem, znał języki obce. Podróżował po Włoszech, Grecji, Bałkanach. Pisał stamtąd znakomite reportaże. W połowie lat 80. XIX w. musiał uciekać z kraju przed carską policją z powodu działalności konspiracyjnej

Spodobała się panu powieść Łady, kiedy przeczytał pan ją pierwszy raz?

Tak, bardzo, ale zredagowana była fatalnie, z licznymi błędami, nielogicznościami w wątkach bohaterów, pomyłkami w nazwiskach, napisana językiem trudnym dziś w odbiorze. Ale mimo tych wad było w tej powieści coś, co mocno przyciągało. Poprosiłem o lekturę mojego bliskiego przyjaciela i zarazem pisarza Jana Grzegorczyka. Odniósł podobne wrażenie: wiele słabości, ale materiał literacki świetny, wciągający. Obaj uznaliśmy, że mamy przed sobą jakby stary dwór, zrujnowany i odpychający, ale jeśli włoży się w niego ciężką pracę, to po renowacji będzie zachwycał i olśniewał. Gdy się czyta to dzieło, nie chce się wierzyć, że zostało napisane przed ponad stu laty, przez księdza pod koniec życia właściwie niewidomego. Niektóre postaci zachwycają, jak choćby postać wiedźmy Motry. Ela Cherezińska po przeczytaniu książki napisała, że zazdrości Ładzie tak pięknej postaci kobiecej. I ma rację.

Skąd te słabości książki? W końcu wyszła u Gebethnera i Wolffa, w jednym z najlepszych przedwojennych wydawnictw, założonym jeszcze w 1857 r.

Sądzimy, że z dwóch powodów. Po pierwsze, była to jedna z ostatnich książek Łady. Najpierw ukazywała się w roku 1913 w odcinkach w „Słowie", co było wtedy powszechną praktyką. Jako całość wyszła dopiero 12 lat później, gdy ks. Jan Gnatowski był już umierający, nie miał więc siły na odpowiednią redakcję, korektę. Właściwie już w momencie drukowania jej w odcinkach niemal nie widział, dyktował kolejne rozdziały. Proszę to sobie wyobrazić: powieść tworzona na bieżąco bez możliwości sprawdzenia, co napisało się wcześniej. Wielkie wyzwanie, któremu podołał, pewnych błędów jednak się nie ustrzegł. Drugim powodem była dążność wydawców przedwojennych do maksymalnych oszczędności. Z jednej strony wiedzieli oni, że drukując niezwykle popularnego wtedy Ładę, zarobią, z drugiej nie uważali, iż powinni mu pomóc w koniecznym poprawieniu dzieła.

Aż kilkadziesiąt lat po śmierci ten autor trafił na Tadeusza Zyska?

Pan żartuje, ale coś w tym jest. Podeszliśmy do tej książki jak do dzieła współczesnego autora, który przysyła nam swój utwór przez internet, a my zastanawiamy się, czy ludzie będą chcieli tę książkę kupić i przeczytać. Dostrzegamy

eprasa.pl f5a6496d03

potencjał, talent, moc, dobry temat, ale też wiele wad, błędów i koniecznych poprawek. Zaczynamy więc pracę. Zapyta pan zaraz, czy mieliśmy zgodę na zmiany? W pewnym sensie tak. Prawo autorskie mówi, że po 70 latach od śmierci autora utwór przechodzi w domenę publiczną, staje się własnością wspólną, można z nim robić, co się chce. Ale nie można go wypaczyć, przeinaczać jego intencji. Jednak obowiązkiem wydawcy, redaktora jest przetłumaczyć go na język współczesny. Słabość polskiego rynku wydawniczego bierze się z niechęci do takiej wspólnej pracy w imię uszanowania klasyka, autora. A to nieprawda. To wymówka, żeby nie spróbować, nie zaryzykować. Taka nabożna postawa nic nieżyjącemu pisarzowi nie pomoże. On chce żyć po śmierci, a więc być zrozumiały. Siła rynku anglosaskiego bierze się ze zrozumienia konieczności takich działań.

Zmieniliście też tytuł. Oryginalny brzmiał „W zaklętym zamczysku". Dlaczego?

Po pierwsze, bo poprzedni nie był precyzyjny. To jest zamczysko nawiedzane przez duchy, a nie zaklęte. Po drugie, by podkreślić, że to jest jednak nieco inna powieść. Podobny charakter miały np. zmiany niektórych imion bohaterów oraz dodanie ich tam, gdzie Łada o tym zapomniał. Niektóre imiona uwspółcześniliśmy. Przede wszystkim jednak dokonaliśmy usunięcia olbrzymiej liczby cytatów i powiedzeń w językach łacińskim i ukraińskim, dziś zupełnie niezrozumiałych dla czytelnika. Dużo pracowaliśmy nad budową zdań, by brzmiały dynamicznie, i nad poszczególnymi słowami, by były zrozumiałe. Nie dotykaliśmy przebiegu akcji, głównej osi narracyjnej, nie uroniliśmy nic z przekazu autora. Niekiedy jednak konieczne było precyzyjne powiązanie istniejących już wątków, dodanie scen wyjaśniających pewne wydarzenia, jak w kwestii klątwy rodowej ciążącej nad głównym bohaterem.

W opisie książki podkreślacie polemiczność Łady z tezami stawianymi przez Henryka Sienkiewicza w „Ogniem i mieczem". Na czym ona polega?

Jan Łada był stańczykiem, myślicielem konserwatywnym. Uczniem profesora Stanisława Tarnowskiego. I takie miał poglądy. Przyczynę upadku Rzeczypospolitej widział głównie w samych Polakach, w ich charakterze, niezdolności do uprawiania mądrej polityki, konsekwentnej pracy. Widać to w opisie szlachty szaraczkowej, bojowej i jednocześnie warcholskiej. Sienkiewicz pisał ku pokrzepieniu serc, Łada bardziej ku przestrodze. Wskazuje, że błędy, które jako naród popełniliśmy na Kresach, mogą skutkować bardzo poważnymi konsekwencjami. Akcja zaczyna się w momencie wielkości Rzeczypospolitej, po zwycięstwach nad Moskwą i Szwecją na początku XVII w., gdy także Turcja jest dość słaba. Królem Polski jest Władysław IV Waza, doskonały wódz. Wydaje się, że nic państwu nie zagraża. Ale wiemy, że za chwilę wybuchnie niszczący konflikt z Kozakami, a za kolejne 150 lat Rzeczpospolita zniknie z mapy Europy. Ta szybka droga od niesamowitej potęgi do haniebnego upadku jest tematem rozważań Łady.

Gdzie widzi przyczynę upadku?

W naszej naturze. Mówi o relacjach wobec chłopstwa i kozaków. Kozacy są namalowani raczej dobrze, polscy egoistyczni możnowładcy i polska emocjonalna, łatwa do podburzenia szlachta, głównie negatywnie, ale jednocześnie autor ma do jej przedstawicieli wielką sympatię. Łada więc ich poucza: prości ludzie, Polacy i Ukraińcy, też są obywatelami, też mają prawa i swoje racje. Mówi też: zobaczcie, jakie błędy wszyscy popełniacie, tylko współpraca i miłość wzajemna mogą przynieść powodzenie. Tylko chrześcijaństwo, uznanie przyrodzonej godności człowieka, pozwoli odnaleźć pojednanie. Może dlatego najciekawszymi postaciami są tam te drugoplanowe: wiedźma Motra, wspaniale opisana Ukrainka, kozak Jurko, prostolinijny, ale uczciwy i zasadniczy.

Powieść zadziwiła mnie plastycznością obrazów, filmową wręcz narracją. Pana również?

Tak, to „Zamczysko" aż się prosi o sfilmowanie. Łada budował swoją powieść filmowo, dynamicznie. Nieraz wbrew kanonom XIX-wiecznego realizmu. Wplatał elementy fantasy. Współcześni mu krytycy uważali to za jego słabość. Twierdzili, że duchy pojawiają się tam, gdzie Łada nie potrafi sobie poradzić z fabułą. Wszystko to spowodowało, że książkę, według mnie najlepszą w dorobku Jana Łady, uważano za najgorszą i zapomniano najbardziej!

Kresy wciąż rozbudzają polską wyobraźnię?

Zaskakująco mocno. Przecież dzisiejsze trzecie czy czwarte pokolenie Polaków ma niewiele wspólnego z codziennym życiem na Kresach. Odchodzą ostatnie babcie i ostatni dziadkowie, którzy tam się urodzili. A jednak mit tej utraconej Rzeczypospolitej jest wciąż żywy, przeżywany mocno, co widać w tym, jak wiele tych wątków pojawia się wciąż w filmie i literaturze.

Poza „W nawiedzonym zamczysku" Łada napisał kilkanaście pozycji. Które jeszcze są warte uwagi?

Perełką jest „Ostatnia msza", nowelka o zakonnicach wygnanych z klasztoru po kasacie zakonów w ramach represji po powstaniu styczniowym. Tej tematyki dotyczy też „Na śmierć. 1863". Jest dużo publicystyki i powieści, także z elementami fantastycznymi, np. „Czarodziejska historia o Rycerzu-upiorze, o Wodnicy-topielicy i o padewskim studencie". Bardzo ciekawa jest ostatnia powieść ks. Gnatowskiego „Antychryst. Powieść z ostatnich dni świata". To bardzo aktualna z dzisiejszego punktu widzenia wizja świata, w którym chrześcijaństwo w Europie jest w defensywie, niemal zniszczone. Pojawia się Antychryst, który głosi progresywizm,

eprasa.pl f5a6496d03

totalną równość wszystkiego, brak zasad. Brzmi znajomo, prawda? Tak jak można było wyciągać pewne paralele między „Ogniem i mieczem" a „Zamczyskiem", tak „Antychrysta" można odnosić do „Quo vadis". Książka ta była bardzo popularna, została przetłumaczona na francuski, przymierzano się do ekranizacji w Ameryce. Zresztą to pierwsza powieść Łady, z którą się zetknąłem, jeszcze w latach 80. Kupiłem ją wtedy w antykwariacie.

Wydacie „Antychrysta"?

Bardzo chcemy, ale przed nami wiele pracy. To powieść o przyszłości, język musi być nowoczesny, inaczej też patrzymy wszyscy na technologię. Opisy przyszłości szybko się dziś starzeją i łatwo tu o odczucie naiwności. To jest trudniejsze niż usunięcie warstw archaicznych, jakie były w „Zamczysku". To duże wyzwanie.

Wydanie powieści „W nawiedzonym zamczysku" naprawia też krzywdę wyrządzoną autorowi, którego książki wyrzucono z bibliotek w roku 1951, nigdy go też już potem nie wydawano. Dlaczego?

Powód był najprostszy z możliwych: bo był księdzem, który umiał zawładnąć wyobraźnią czytelniczą, bo znany był jego przedwojenny krytyczny stosunek do komunizmu. Nie było tu chyba żadnego innego tła, nie ma w tych książkach, może poza pewną duchowością, wątków niebezpiecznych dla PRL. Anegdota głosi, że podobny los o włos spotkałby Henryka Sienkiewicza, polscy cenzorzy mieli już go dobrze rozpracowanego jako „religianta i wstecznika". Zdarzyło się jednak, że na Kreml zawitała delegacja polskich literatów, których Stalin przywitał, trzymając w ręce „Ogniem i mieczem". Stwierdził, że „eto haroszaja kniga", no i w ten sposób Sienkiewicz ocalał.

Sam Sienkiewicz narzekał, że z tych licznych wydań rosyjskich – bo był tam popularny – nie ma zwykle ani rubla. Padał ofiarą piractwa.

Ciekawe... Ale rynek rosyjski od samego początku nie miał wielkiego poszanowania dla autorów, i to nie tylko książek. Tam bardziej liberalnie podchodzono do prawa autorskiego. Dla Łady skutkiem wpisania na listę autorów zakazanych było nie tylko zapomnienie, zerwanie więzi z kolejnymi pokoleniami czytelników, ale przede wszystkim zamrożenie jego dzieł. Gdyby go wydawano, wydawcy dokonywaliby koniecznych korekt, uwspółcześnień. A tak, wraz z upływem czasu, dzieło stawało się coraz bardziej archaiczne. Przywrócenie go do kręgu autorów czytanych było naszym obowiązkiem, bo przecież Sapkowski, Piekara, Inglot nie wzięli się znikąd, w kulturze polskiej był zaczyn tego nurtu, właśnie w osobie popularnego przed wojną Jana Łady.

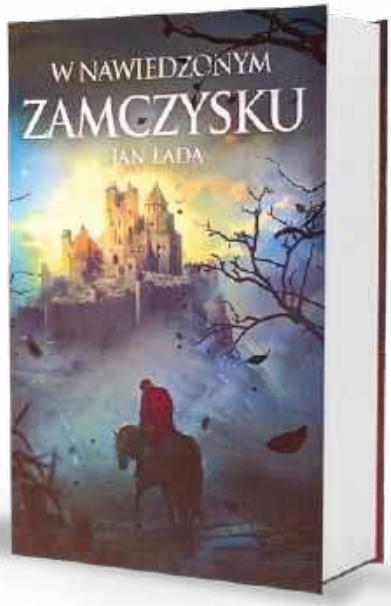

Jan Łada był stańczykiem, myślicielem konserwatywnym. Uczniem profesora Stanisława Tarnowskiego. I takie miał poglądy. Przyczynę upadku Rzeczypospolitej widział głównie w samych Polakach, w ich charakterze, niezdolności do uprawiania mądrej polityki, konsekwentnej pracy. Sienkiewicz pisał ku pokrzepieniu serc, Łada bardziej ku przestrodze

Przerabianie dzieł z przeszłości budzi inne obawy – o cenzurę w imię dzisiejszych zasad poprawności politycznej. W Stanach Zjednoczonych w ogóle wycięto z listy lektur dla dzieci kilka książek popularnego tam od dekad autora Dr. Seuss.

To się niestety dzieje. Nasze najnowsze wydanie książki „Doktor Dolittle" jest w kilku wątkach zmienione – zażądał tego właściciel praw autorskich, na wniosek wnuka. Dlatego przy tego typu sprawach rozstrzyga jednak uczciwość wydawcy i intencje takich działań.

Uważa pan, że możliwe jest uwspółcześnienie innych dzieł literackich, nawet tych klasycznych dla literatury polskiej? Osobiście miałbym opory. A pan?

Nie ma co ukrywać, że sposób komunikacji, język, sposób budowania narracji bardzo się zmieniają. Bardzo sztywne podejście do dzieł literackich z jednej strony podkreśla ich świętość dla kultury narodowej, z drugiej blokuje ich obecność wśród czytelników jako coś więcej niż piękny zabytek literacki, zamyka w muzeum rzeczy piękne. Ale jednej odpowiedzi nie ma. Nie zawsze taka operacja jest w ogóle możliwa. Jak uwspółcześnić „Chłopów", a jak „Wesele"? Przykład Wyspiańskiego jest bardzo inspirujący. Z jednej strony z naszych wieszczów to on wprowadził do potocznej polszczyzny najwięcej cytatów, którymi posługują się nawet politycy: „Miałeś, chamie złoty róg", „A to Polska właśnie", „Co tam, panie w polityce?" czy wreszcie: „Nie polezie orzeł w gówna", a z drugiej strony dla zdecydowanej większości młodych polskich czytelników przebrnięcie przez jego utwory to udręka. Głównie ze względu na małopolsko-krakowski żargon. Ale to zupełnie inny temat, ja dzisiaj się cieszę, że przemocą wyrzucony kiedyś z bibliotek, skazany na zapomnienie, ważny polski autor wraca do naszej kultury, do zbiorowej wyobraźni. To wspaniałe uczucie.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f5a6496d03

3 MIŁOŚCI

Hegemon i plan

ROBERT TEKIELI

Jeden z ojców trawiącej naszą cywilizację rewolucji, zmarły w 1969 r. marksista ze szkoły frankfurckiej Theodor Adorno, napisał, że Marks był naiwny i łagodny, a mający na rękach krew milionów ludzi Lenin – za mało radykalny. I dodał, sporo przed 1968 r., że dopiero nadchodząca rewolucja będzie zdolna „historię świata pogrążyć w całkowitym chaosie".

W 1968 r. się nie udało. Polityczny nurt rewolucji '68 wygasł szybko w paroksyzmach ulicznych walk oraz zamachach Czerwonych Brygad i Czarnych Panter. Sterowana przez Kreml młodzieżowa rewolucja wypaliła się, żyjący na Zachodzie przegrani uczniowie Marksa postawili na Gramsciego i Adorna. Na stymulowaną kulturowo rewolucję obyczajową. Jako pierwsze zorganizowało się lobby homoseksualne. Potem dochodziły kolejne literki. Jest ich ponoć 56.

Po pół wieku obóz rewolucyjny to kilkanaście globalnych środowisk i kilka wyrazistych ideologii. Najbardziej wpływowy oprócz nurtu obyczajowego – LGBT/feminizm/gender – jest zielony nurt rewolucji: radykalni obrońcy zwierząt, obrońcy Matki Gai, niszczący zachodni przemysł antydwutlenkowcy.

Rewolucja jest polifoniczna, postulaty poszczególnych środowisk częściowo przynajmniej sprzeczne. Radykalne feministki np. walczą z biznesem pornograficznym, czyniącym kobiety przedmiotami. Cel jest jednak wspólny. Gramsciański plan jest realizowany konsekwentnie.

Zarówno neomarksiści, transhumaniści, neomaltuzjaniści i utrzymujący rewolucję plutokraci chcą tego samego: rozbicia Kościoła, rozbicia więzi rodzinnych, społecznych, narodowych. Zniszczenia rozróżnień, zatarcia granicy między zwierzętami a ludźmi, między płciami.

Adorno ogłosił chaos jako cel rewolucji i celem rewolucji jest chaos. I chaos się realizuje. Rośnie zamęt w głowach kolejnych pokoleń. Scancelowany Bóg = scancelowany człowiek. Żyjąca planeta ważniejsza od ludzkości. Tylko człowiek permanentnie okłamywany i utrzymywany przez głoszące neomarksistowską ideologię media w stanie histerii jest gotowy poddać się kastracji w imię ratowania środowiska. Oczywiście w świadomym wyrzeczeniu się potomstwa nie przeszkadza egoizm, ale zabicie jednego z najsilniejszych instynktów – instynktu przedłużenia gatunku w imię ideologii jest naprawdę niezwykłym osiągnięciem. Można tak szalone cele osiągać dzięki hegemonii kulturowej. I są one osiągane.

Oczywiście tak samo jak bolszewicy kremlowscy walczyli o pokój na świecie, a nie o zwycięstwo marksizmu-leninizmu, dzisiejsi rewolucyjni ideolodzy przekonali ludzi Zachodu, że nie ma ideologii i ruchu LGBT, że gender jest nauką, a aborcja i ochrona kornika drukarza to prawa człowieka. Jednak w publikacjach Spinellego i Gramsciego, Wilhelma Reicha, Alfreda Kinseya, Margaret Mead, Johna Moneya, Kirka-Madsena, Michaela Swifta oraz Margaret Sanger zawarto spójny zbiór wartości, przekonań, idei i poglądów opisujących i oceniających rzeczywistość. Mamy w nich do czynienia z specyficzną wizją świata i zawarte są tam projekcje przyszłości. Stworzony został zbiór zasad postępowania marksistowskiego ruchu społecznego, u którego podstaw tkwi świadome dążenie do realizacji określonego interesu grupowego. Tak właśnie brzmi definicja ideologii.

W przeciwieństwie do rewolucji marksistów politycznych z 1917 r. sieciowo zarządzany spisek marksistów kulturowych nie ma centrali, za to ma z jednej strony sprawnych inspiratorów, z drugiej setki tysięcy wykonawców aktywistów. Globalną dystrybucję pieniędzy na rewolucję zapewniają dziesiątki tysięcy organizacji pozarządowych.

Czy steruje tym jeden ośrodek? Nie. Miażdżąca właśnie Polskę cicha rewolucja jest zdecentralizowana jak internet. Nie da się jej ściąć głowy.

Chaos się urzeczywistnia. W Polsce rewolucja przyspieszyła do tego stopnia, że dziś wychowanie dzieci jest o wiele trudniejsze niż pięć lat temu. Ideologiami, tęczową i zieloną, przesycone są treści filmów, seriali, gier komputerowych. Produkcje neutralne ideologicznie są coraz rzadsze. Popkultura jest już w 90 proc. rewolucyjna. Branżowe organizacje twórców popkultury narzuciły regulacje, które wymuszają rewolucyjne parytety. Czarnoskóra angielska królowa z XVI w. nie dziwi większości odbiorców. Zielony marksizm jest w podstawie programowej polskiej szkoły. Marksizm wszelkiej maści wykłada się na polskich uniwersytetach. Zastrasza się niepokornych. Co będzie za pięć lat?

Jak rozmawiać z młodymi ludźmi o ochronie środowiska i walce z patriarchatem? O tolerancji i ideologii ruchu homoseksualnego, który powstał w Kalifornii prawie 60 lat temu? Nie każdy homoseksualista to gej. 99 proc. moich rozmówców sensu tego zdania nie rozumie. Tak działa skuteczna propaganda. Tak działa hegemon.

Jak tłumaczyć dzieciom, że chronić trzeba środowisko CZŁOWIEKA, a nie kornika drukarza? Jak mieć rację i przegrać z Gretą.

eprasa.pl f5a6496d03

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Katolicy wymierają. Z roku na rok coraz mniej młodych ludzi w Polsce praktykuje, coraz mniej ma żywą relację z Chrystusem. Dostrzega to wiele osób i próbuje dogadać się ze światem, ze współczesnością, z młodymi ludźmi, szukając języka, który przebiłby się do ich umysłów i serc formowanych przez popkulturę. Dla przetrwania Kościoła w starych krajach chrześcijańskich kluczowa jest transmisja wiary.

Większość tych prób jest chybiona, ponieważ język, którego używają nowi ewangelizatorzy, jest formą i efektem kompromisu. Przyjęciem reguł świata, uleganiem duchowi czasu, przeciwnikowi Ducha Świętego. Są też sensowne próby dotarcia do odbiorcy z żarliwą Dobrą Nowiną o zmartwychwstaniu i zbawieniu dostępnym na wyciągnięcie ręki. Udane próby połączenia gorliwej ortodoksji z językiem, przykładem, obrazem, który może się przebić do wyobraźni formatowanej przez popkulturę. I taka właśnie jest książka Marii Morery Johnson „Zuchwała księga świętych".

Autorka jest ortodoksyjną katoliczką, choć posługuje się językiem mocno niekonserwatywnym. Ale tak pisze o świętych kobietach, takich jak św. Teresa z Avili czy św. Joanna d'Arc: „Ich święte żywoty inspirują mnie do życia wypełniającego obietnice mojego chrztu". Język Marii Morery jest poprawny politycznie, ale nie marksistowski: „Zajmuję się tymi świętymi, aby móc je naśladować i dojrzewać w ich cnotach, ale też bym mogła odwoływać się do nich w modlitwie". Johnson nie pisze o „dziewuchach", a o siostrach w Chrystusie: „One wszystkie wskazują na nasz najwyższy wzór duchowy: Najświętszą Maryję Pannę".

Jak wyglądają święte w klasycznych żywotach? Buzia w ciup, oczka wzniesione w niebo. A tu czytamy o postaciach z krwi i kości. Połowa świętych to chuligani. Faceci z przeszłością, choćby św. Ignacy czy św. Augustyn. Autorka pokazuje, że podobnie niecukierkowo jest ze świętymi kobietami. Że święci mogą być brudni, pokręceni, mogą utrudniać ludziom życie.

Święta zuchwałość. Nie ma nic starannego ani uporządkowanego w stawaniu się świętym. Wszyscy święci w niebie byli grzesznikami na ziemi. Pojęli jednak, gdzie odnaleźć łaskę i jak według niej żyć. I dziś możemy zobaczyć pozostawione przez nich dobro – ich święty wpływ na świat.

„Zuchwała księga świętych" to książka o kobietach. I o historii autorki, powoli dorastającej do rozumienia ich postaw. Maria, jako nastolatka z rodziny kubańskich emigrantów, musiała, jak pisze, „przecierpieć msze św. i niekończące się modlitwy różańcowe i święte godziny", myśląc cały czas, ile to mogłoby się w tym czasie szalonego zdarzyć. Spoglądająca na nią z swoich figur św. Teresa z Avili była srogą, poważną i silną starą świętą, niemożliwą do naśladowania. Groźną kobietą, która po 50. roku życia założyła 17 zakonów oraz 15 klasztorów i mogłaby dziś zarządzać międzynarodowymi korporacjami. A miała figlarne poczucie humoru i cięty dowcip. Powiedziała: „Niech Bóg mnie strzeże od ponurych świętych". Podróżowała na mule, doznawała upokorzeń i cierpień, spała na słomie. Wstąpiła do zakonu bez silnego powołania, cierpiała na migreny, głębokiego nawrócenia doznała w późniejszym życiu. „To kobieta taka jak ja", pisze autorka. Świętość nie jest nieuchwytna. „Historie świętych kobiet i odważnych świętych zachęcają mnie do moich własnych aktów śmiałości". „To były zwyczajne kobiety, które robiły nadzwyczajne rzeczy z miłości do Boga". Te kobiety robiły niezwykłe rzeczy, ponieważ opanowały akty miłości, czy to reformując rozluźnione obyczaje swojej wspólnoty, czy konfrontując się z rozwścieczonym, żądnym linczu tłumem, jak siostra Blandyna Segale, amerykańska pionierka z Dzikiego Zachodu. „To zachęca mnie do tego, by zobaczyć, gdzie ja mogę się oddać życiu pełnemu śmiałych aktów miłości". Choćby wspierać imigrantów, a w domu stworzyć przyjazną i przyjemną przestrzeń dla mojej rodziny i gości.

Trzymające broń zakonnice budowały szpitale, szkoły, tworzyły wspólnoty. Siostra Blandyna konfrontowała się z Billym Kidem. Autorka pokazuje silne kobiety – pionierki w świecie bezprawia i zagrożeń fizycznych. Czy jest feministką? Jeśli tak, to świetnie. Dziś jest czas kobiet. Z wieku na wiek coraz więcej na świecie miejsca dla Maryi. Dowartościowywanie kobiet, które sto lat temu nie miały praw wyborczych, nie może być domeną marksistów tylko. Feministka zakochana w Maryi. OK.

Święci po przejściach. Wichrzyciele, ludzie groźni i ich straszne czasami historie. Wyobraźnia młodych działa. Nie da się uporządkować umysłów bez porwania serc. W przeciwieństwie do „największych polskich kaznodziejów" Maria Morera Johnson nie rozbija Kościoła. Nie spłyca krwawej historii o zmartwychwstaniu. Myślę, że „Zuchwała księga świętych" to udana próba ewangelizacji młodych, może nawet młodych leminżąt. Polecam. Moje córki ją przeczytają. Mam nadzieję.

***Robert Tekieli,** Polskie Radio*

Fot. Archives Nationales; Peter Paul Rubens - Kunsthistorisches Museum Wien, Bilddatenbank; materiały prasowe

eprasa.pl f5a6496d03

Rocky w niemieckim piekle

Kino

Adamski

W końcu dostaliśmy film o Zagładzie bez klasycznej narracji holokaustowego kina. Opowieść o bokserze Tadeuszu „Teddym" Pietrzykowskim czerpie z najlepszych wzorców hollywoodzkiego kina gatunkowego. Nie jest „Mistrz" klasyczną biografią polskiego pięściarza, który wyboksował swój los w niemieckim obozie koncentracyjnym. Warto więc po seansie poszperać w książkach o Pietrzykowskim, by w pełni poznać niesamowitą historię polskiego boksera warszawskiej Legii i niedoszłego uczestnika planowanych igrzysk olimpijskich w Helsinkach, który trafił do Auschwitz z pierwszym transportem polskich więźniów 14 czerwca 1940 r.

Debiutujący w fabule Maciej Barczewski jest świadom, że w kinie holokaustowym trudno pokazać coś nowego. Od czasu wybitnego komediodramatu „Życie jest piękne" (1997) Roberta Benigniego filmowcy dobrze wiedzą, że opowiadając o Zagładzie, trzeba znaleźć nowy sposób, by zaciekawić widza. Nie musi to być bezczelna transgresja rodem z „Bękartów wojny" Tarantino, ale nie można zapominać, że obraz niemieckiego ludobójstwa jest w percepcji kinomanów mocno uformowany. Zarówno przez spielbergowską „Listę Schindlera", jak i przez jej mutację. Za sukcesem znakomitego „Syna Szawła" (2015) László Nemesa stała przecież nie tylko historia, ale naturalistyczny, paradokumentalny sposób jej pokazania. Za „Mistrzem" stoi za to właśnie historia. Bardzo hollywoodzka, a przecież prawdziwa!

Barczewski nakręcił nie tyle film o Zagładzie, ile uniwersalną opowieść o sile ducha, męstwie i przyjaźni, które pozwalają przetrwać najgorsze piekło na ziemi. Wszystko pokazane jest w klimacie „Ucieczka do zwycięstwa" (1981) Johna Hustona. Pamiętacie film o piłkarzach, którzy rozgrywają w obozie jenieckim mecz z reprezentacją nazistowskich Niemiec? Obok Michaela Caine'a wystąpiły tam takie legendy futbolu, jak Pele, Bobby Moore i Kazimierz Deyna. Główną rolę grał zaś Sylvester Stallone, czyli najsłynniejszy filmowy bokser świata. „Mistrz" ma w sobie patos wzorowany na serii o Rockym Balboa. Dlatego miłośnicy typowego kina historycznego mogą być rozczarowani tym, w jaki sposób historia Pietrzykowskiego została podana. Nie ma tutaj ważnych historycznie wątków, jak spotkanie Pietrzykowskiego z o. Maksymilianem Kolbem, któremu bokser podarował wygrany w walce bochenek chleba. Nie ma nawet nic o jego współpracy z rtm. Witoldem Pileckim, który napisał nawet w swoim „Raporcie", że Pietrzykowski „prał po gębie Niemców".

O tym głównie jest „Mistrz". Jest to sportowe kino o „praniu po gębie Szkopów". Bez zbędnego w tym gatunku psychologizowania i wychodzenia poza schemat. Nie oznacza to, że jest to film płytki. Barczewski pilnuje, byśmy nie zapomnieli, o co toczy się walka Teddy'ego. To walka nie tylko fizyczna, ale też o zachowanie człowieczeństwa w miejscu, którego głównym celem było odebranie ludziom właśnie człowieczeństwa. Godność – oto, co pojawia się w oczach Pietrzykowskiego, patrzącego na niemieckich oprawców.

Piotr Głowacki jest doskonałym wyborem do roli wychudzonego więźnia, który przecież największe sportowe sukcesy odnosił i tak w wadze piórkowej. Nie jest to rola wyłącznie dotycząca możliwości fizycznych, choć Głowackiemu należą się wielkie brawa za ekranową metamorfozę. Aktor przygotowywał się do roli w stylu hollywoodzkim. W szaro-brązowym obiektywie autora zdjęć Witolda Płóciennika jego fizyczność nabiera głębszego wymiaru. W filmie Teddy trafia między liny w obozie koncentracyjnym przez przypadek. Wpada w oko obozowego kapo Waltera (wyrazista rola Piotra Witkowskiego), który dostarcza więźnia żądnym rozrywek niemieckim oficerom. Teddy nie chce walczyć, ale szybko zdaje sobie sprawę, że może uratować nie tylko siebie, ale też współwięźniów, w tym traktowanego przez siebie jak syna Janka (Jan Szydłowski). W chwili zwątpienia usłyszy od Janka, że starcie w ringu jest czymś więcej niż walką o bochenek chleba. Jest bojem dla więźniów o ich życie.

W końcu Polak powala niemieckiego giganta. Niczym właśnie Rocky w najbardziej propagandowej części cyklu, gdy walczył przeciwko kolosowi ze Związku Radzieckiego. Twórcy „Mistrza" podkoloryzowują historię. Teddy nie pokonał słynnego niemieckiego „łamacza szczęk" z obozu tak spektakularnie. Niemniej jednak Pietrzykowski rzeczywiście został wyciągnięty z obozu przez przedwojennego sędziego bokserskiego SS-Hauptsturmführera Alberta Lütkemeyera, który przeniósł go do obozu w Hamburgu. To tam Teddy stoczył najważniejsze walki z Niemcami, czego już w „Mistrzu" nie widzimy.

Barczewski znajduje też trochę miejsca na religijne alegorię. Jest walka polskiego Dawida z niemieckim Goliatem. Jest też motyw ukrzyżowania. Teddy po jednej z walk zostaje za karę powieszony na noc na słupie z szyderczą tabliczką z napisem „Meister" na szyi. Jest w końcu motyw anioła. To wszystko zgrabnie się zazębia z czysto sportowym kinem. Nie unika Barczewski wpadek. Niektóre postacie są przerysowane i komiksowo jednowymiarowe, jak choćby obozowy kapo. Niektóre schematy zbyt wyświechtane, a przemowy nazistów momentami rażą sztucznością. Szkoda też, że nie wystarczyło miejsca na rozwinięcie drugoplanowych postaci (poza świetnym Grzegorzem Małeckim w roli niejednoznacznego niemieckiego oprawcy) granych przez tak charyzmatycznych aktorów, jak Marian Dziędziel. To jednak drobne potknięcia debiutującego reżysera. Najważniejsze, że w ciekawy sposób opowiedział on uniwersalną historię, jaka wydarzyła się w niemieckim obozie koncentracyjnym. Również w takim piekle wolność można było znaleźć w sporcie.

„MISTRZ", REŻ. MACIEJ BARCZEWSKI, DYSTR. GALAPAGOS

Fot. Robert Palka

eprasa.pl f5a6496d03

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Kino

Przepyszna arturiańska wariacja

Nie tylko wizualnie „Zielony rycerz" olśniewa. Przedziwny i totalnie pokręcony film Davida Lowery'ego olśniewa też w innych wymiarach. To dzieło bezczelne, brawurowe i zdumiewające coraz mocniej z każdą kolejną sceną. Dogmatyczni miłośnicy legend arturiańskich będą kręcić nosem na tak transgresywną popkulturową jazdę. Mnie jednak nowy film twórcy „Ghost Story" wciągnął z siłą nozdrzy Tony'ego Montany. Ba, nie przeszkadza mi nawet w tym wypadku ta cholerna i realnie szkodliwa dla mniejszości rasowych moda na pokazywanie, że w XIV w. kolorowi mogli być w Europie arystokratami. Skoro byli, to gdzie ten wielowiekowy rasizm? „Zielony rycerz" to jednak stuprocentowa baśń, więc te ahistoryczne zabiegi można usprawiedliwić. Szczególnie że „Zielony rycerz" jest bezczelnym uderzeniem w mitologię rycerstwa. Jest parodią rycerskiej cnoty męstwa. Natomiast zamek Camelot wygląda, jakby został wyjęty z narkotycznych tripów Huntera S. Thompsona, a i tak jest najnormalniejszym miejscem w tej krainie. Nie jest to jednak próba dyskredytowania mitologii leżącej u podstaw brytyjskości. Lowery się nią bawi. Uroczo, inteligentnie, choć też z naleciałościami kogoś, kto mity arturiańskie poznał przez popkulturę i kino, a nie książki.

Znacie poemat „Pan Gawen i Zielony Rycerz"? No więc w tej wersji podróż Sir Gawaina (Deva Patel) w celu spotkania się ze swoim nemesis – gargantuicznym zielonym pół rycerzem i pół drzewem jest rozciągnięta między pogaństwem rodem z kultowego serialu lat 80. „Robin z Sherwood" a synkretyczną pseudochrystologiczną wariacją z motywem wizji godnym „Ostatniego kuszenia Chrystusa" duetu Schrader/Scorsese. Opowieść zaczyna się od Bożego Narodzenia i na nim się kończy. Jest to jednak raczej Christmas w średniowieczu niż cokolwiek poważnego duchowo. Ba, słychać tutaj nawet dzwoneczki. Brakuje tylko renifera, którego zastępuje za to lis. Znak czasów? Możliwe, że tak. Żyjemy jednak w świecie postchrześcijańskim, więc i legendy arturiańskie musiały zostać oderwane od chrystologii.

Fot. Forum Film Polska (2x)

Gdyby nie błysk i jankeska arogancja Lowery'ego, wiele rzeczy byłoby tutaj nieznośnych. Reżyser „Gentelmena z rewolwerem" jest jednak jak serialowy Ted Lasso, depczący brytyjską świętość, jaką jest futbol zwany przez niego soccerem. Lowery robi to samo, biorąc na widelec opowieść o Królu Arturze i filtrując ją przez spojrzenie chłopaka z Milwaukee. Ratuje go na szczęście urok osobisty. „Zielony rycerz" nie ma w sobie nic z Monthy Pytona. Jest za to tak surrealistyczny i absurdalny, że wnosi parodystyczne spojrzenie na arturiańskie legendy na zupełnie nowy poziom. Ta magiczna, śmieszno-straszna kraina jest pełna osobliwych postaci, granych przez świetnych Joela Edgertona i Erin Kellyman, Alicię Vikander czy Seana Harrisa w roli Króla Artura. Dave Patel jest wciąż słabo wykorzystanym aktorem w kinie brytyjskim. Od czasu przełomowej roli w oscarowym „Slumdog" Danny'ego Boyla szuka kolejnej katapulty dla swojego talentu. W „Zielonym rycerzu" doskonale rozciąga rolę między legendę, baśń i arturiańską przypowieść. W jego intrygującym spojrzeniu odbija się duma Sir Gawaina, ale też jego strach, niepewność i heroizm.

Wizualnie jest to cudowny film. Wspaniałe kostiumy stworzyła Polka Małgorzata Turzańska. Autor zdjęć, Andrew Droz Palermo, tworzy natomiast magiczną krainę z posępnymi lasami, mgiełkami, potokami i zimnymi, błotnistymi angielskimi bezdrożami. Mrok lasów i tajemniczych zamczysk są przekuwane przez ironię Lowery'ego i jego dziecięcą radość zabawy średniowiecznymi legendami. Nie jest to jednak pusta zabawa. „Zielony rycerz" stawia pytania o pęd ku nieśmiertelności, zaprzedanie duszy i niewolę swoich czasów. Nie ma Lowery ambicji, by pogłębiać te tematy. Bezpiecznie daje nam pole do interpretacji i asekuracyjnie nie stawia kropki nad i. Nie musi. Tak brawurowo opowiada legendę, że może ona cieszyć tylko naskórkowo. Wystarczy na letnią wariację.

„ZIELONY RYCERZ", REŻ. DAVID LOWERY, DYSTR. FORUM FILM POLSKA

prasa.pl 15a0c96d03

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

CZAS DLA BOGA

www.ksiegarnia.niedziela.pl

Kalendarz pastoralny

doskonały dla kapłanów, katechetów, stowarzyszeń zakonnych i wszystkich, którym bliskie jest życie liturgią Kościoła.

Format: 15 cm x 21 cm
Cena: 24,99 zł

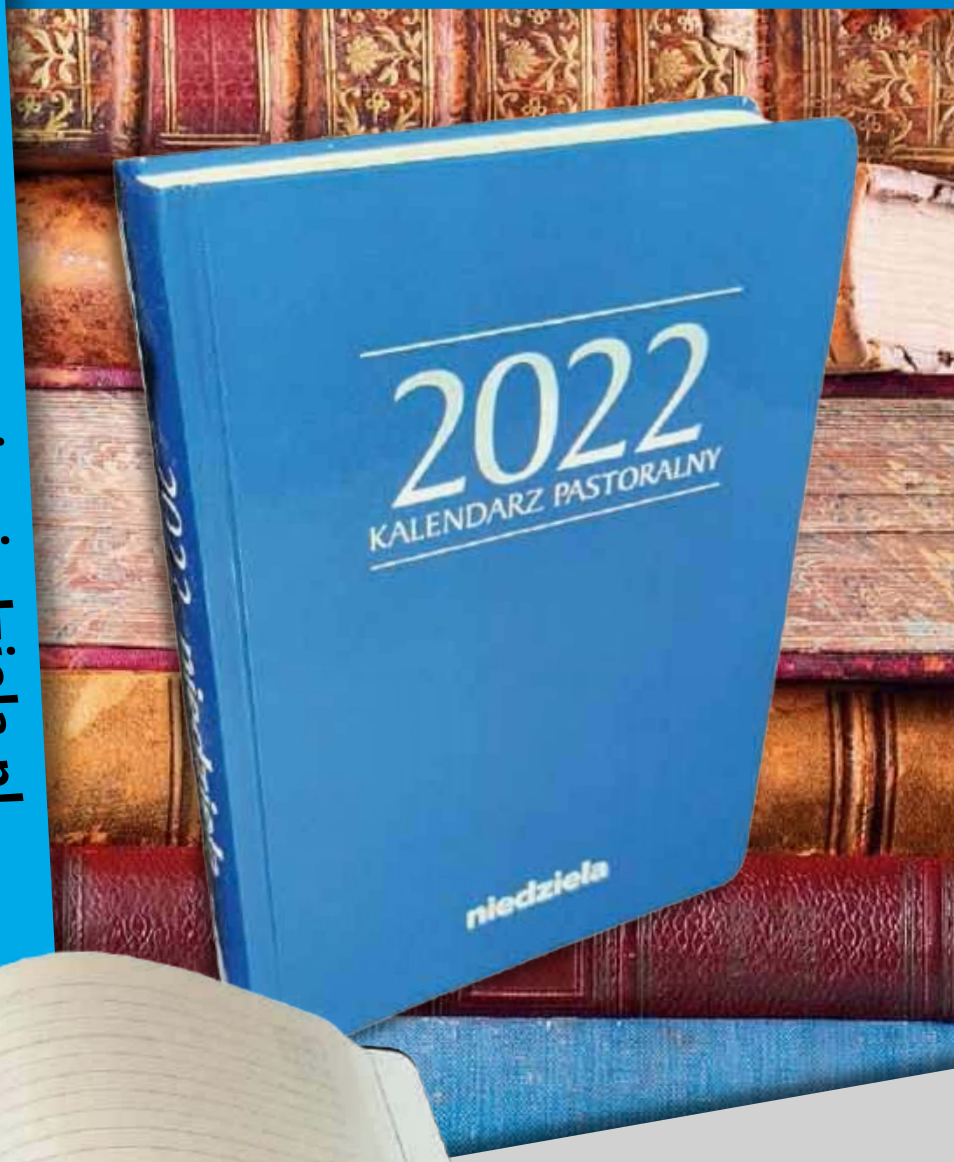

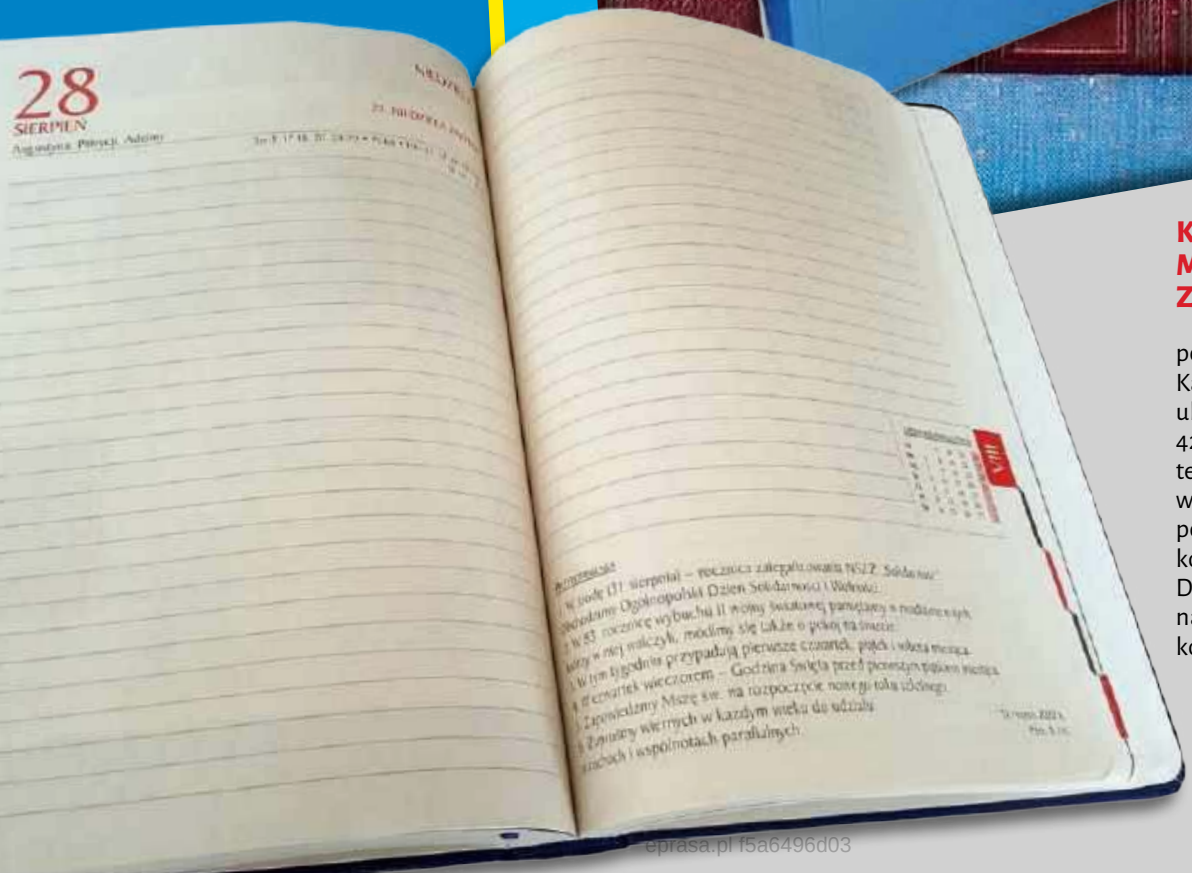

KALENDARZ MOŻNA ZAMAWIAĆ

pocztą: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela"
ul. 3 Maja 12,
42-200 Częstochowa,
telefonicznie: 34 365 19 17
w godz. 7-15,
pocztą elektroniczną:
kolportaz@niedziela.pl
Do ceny zamówienia należy doliczyć koszty wysyłki.

eprasa.pl f5a6496d03

TERMO modernizacja

Szanowni Państwo,
szkolnictwo artystyczne w Polsce stanowi unikatowy w skali europejskiej system przygotowujący młodych adeptów sztuki do uprawiania zawodów artystycznych na najwyższym poziomie. Umiejętności i talenty młodzieży są w znakomity sposób rozwijane przez kadrę nauczycielską. Każdego roku polscy uczniowie z powodzeniem startują w międzynarodowych konkursach, dostarczając nam nieustannych powodów do dumy i satysfakcji.

W Ministerstwie Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu doskonale zdajemy sobie sprawę, że znakomity artystyczny talent wymaga optymalnych warunków do nieskrępowanego rozwoju. Szkoła artystyczna powinna być dla młodych adeptów sztuki miejscem bezpiecznym, komfortowym i przyjaznym. Mając na uwadze potrzeby uczniów i nauczycieli, realizujemy projekt „Kompleksowej modernizacji energetycznej wybranych państwowych placówek szkolnictwa artystycznego w Polsce", dzięki któremu metamorfozę przeszło 139 szkół artystycznych. To aż 187 kompleksowo wyremontowanych budynków. Projekt jest już w końcowej fazie realizacji, prace trwają jeszcze w zaledwie kilkunastu szkołach.

Wraz z początkiem roku szkolnego 2021/2022 wielu młodych artystów wróci w całkowicie odmienione mury szkolne – do swoich dobrze znanych, starych, a jednak zupełnie nowych placówek. Jestem przekonany, że w odnowionych szkołach, które zyskały na estetyce, bezpieczeństwie i funkcjonalności, odczują wyraźną poprawę warunków kształcenia i komfortu nauczania.

Prof. Piotr Gliński
Wiceprezes Rady Ministrów, Minister Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Mówiąc o największej inwestycji termomodernizacyjnej, realizowanej przez administrację państwową, nie sposób pominąć także ważnego aspektu, jakim jest ekologia. Idziemy z duchem czasu. Zmodernizowane budynki są więc bardziej efektywne energetycznie i „zielone", a oszczędności ekologiczne i ekonomiczne, uzyskane dzięki zmianom, sięgają średnio aż 60 proc.!

Termomodernizacja szkół artystycznych to dopiero pierwszy – ale jakże duży i potrzebny – krok w stronę kompleksowych działań państwa mających na celu modernizację budynków użyteczności publicznej. Rozpoczęliśmy już prace nad realizacją projektu kompleksowej termomodernizacji energetycznej budynków Archiwów Państwowych tak, aby wzmocnić bezpieczeństwo przechowywania państwowego zasobu archiwalnego. Wyremontujemy 22 budynki należące do 17 Archiwów Państwowych w całej Polsce. W planach mamy także kolejne tego rodzaju działania, które obejmą biblioteki i domy kultury.

Tymczasem życzę wszystkim uczniom szkół artystycznych, a także ich nauczycielom, aby każdy dzień był dla nich źródłem nowego zachwytu nad sztuką. W pięknych nowych przestrzeniach efekty ich pracy twórczej z pewnością będą jeszcze bardziej porywające. Niech ta odmieniona przestrzeń sprzyja nauce oraz odbudowie zachwianej podczas zmagań z pandemią relacji uczeń–mistrz. Powodzenia! ●

Reklama | 76/0721/F

eprasa.pl f5a6496d03

Metamorfoza szkół artystycznych

Szkoła Muzyczna im. R. Bukowskiego we Wrocławiu przed…

…i po termomodernizacji

Szkoła Muzyczna w Stalowej Woli przed…

…i po termomodernizacji

Fot. Barbara Karnat

Fot. Piotr Szafraniec

epresa.pl f5a6496d03

Termomodernizacja Państwowych Szkół Artystycznych

31 TYS. NAUCZYCIELI I UCZNIÓW

16 WOJEWÓDZTW

139 SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH

187 WYREMONTOWANYCH BUDYNKÓW

65% BUDYNKÓW TO ZABYTKI

Budżet 583,026 mln zł

Dofinansowanie UE - 481,4 mln zł

Krajowy wkład publiczny - 101,6 mln zł

- MNIEJSZA EMISJA CO^2
- MNIEJSZE ZUŻYCIE ENERGII ELEKTRYCZNEJ ORAZ CIEPLNEJ
- WZROST BEZPIECZEŃSTWA UCZNIÓW
- OSZCZĘDNOŚĆ KOSZTÓW UTRZYMANIA ORAZ EKSPLOATACJI BUDYNKÓW
- POPRAWA STANU ŚRODOWISKA
- DODATKOWA ZDOLNOŚĆ WYTWARZANIA ENERGII ZE ŹRÓDEŁ ODNAWIALNYCH
- LEPSZE WARUNKI NAUKI I PRZYJAZNE OTOCZENIE

Projekt pt. **„Kompleksowa modernizacja energetyczna wybranych państwowych placówek szkolnictwa artystycznego w Polsce"** jest realizowany w ramach poddziałania 1.3.1: **„Wspieranie efektywności energetycznej w budynkach użyteczności publicznej"** Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014–2020.

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Unia Europejska Fundusz Spójności

eprasa.pl f5a6496d03

To pierwszy tak wielki remont od 45 lat

– Przede wszystkim zależało nam na montażu nowoczesnego ogrzewania, bo do tej pory szkoła była ogrzewana elektrycznie – było to bardzo drogie i tak mało efektywne, że zimą nie wystarczało do zapewnienia odpowiedniej temperatury w salach lekcyjnych i pomieszczeniach administracyjnych. Termomodernizacja i wykonane w jej zakresie prace to przełom – ten remont był pierwszym tak wielkim od 45 lat – mówi **Grażyna Radkowska**, dyrektor Szkoły Muzycznej I stopnia nr 3 im. Juliusza Zarębskiego w Warszawie

Który to już rok pani pracy w Szkole Muzycznej I stopnia nr 3 im. Juliusza Zarębskiego w Warszawie? Chyba nie będzie przesadą stwierdzenie, że to pani drugi dom?

Ze szkołą im. Juliusza Zarębskiego związałam całe swoje życie zawodowe. We wrześniu miną 43 lata, od kiedy zgłosiłam się do PSM I st. nr 3 im. Juliusza Zarębskiego i zostałam przyjęta na stanowisko nauczyciela gry na skrzypcach.

Od szkoły podstawowej wiedziałam, że chcę uczyć. Nie wiem, kiedy minęły te wszystkie lata. Najpierw byłam nauczycielem, potem kierownikiem sekcji smyczkowej i kilkakrotnie wicedyrektorem. W marcu 2008 r. zostałam p.o. dyrektorem, a od września 2009 r. zostałam powołana na stanowisko dyrektora szkoły, którym jestem do dziś. Obejmując stanowisko dyrektora, znałam już szkołę bardzo dobrze. Wiedziałam, jak ważne jest zbudowanie i utrzymanie więzi uczniów z nauczycielami, z placówką, jak istotne jest zapewnienie dobrych wspomnień. Te więzi i wspomnienia powodują, że dawni uczniowie przyprowadzają do nas swoje dzieci, by uczyły się w szkole, która jest miejscem przyjaznym, otwartym. Nasi dawni uczniowie wracają też do nas jako nauczyciele, bo nauka tak ulotnej sztuki, jaką jest muzyka, musi się odbywać w przestrzeni mającej w sobie dużo ciepła i rodzinnej atmosfery. Założycielowi naszej szkoły prof. Lechowi Miklaszewskiemu, przed wielu laty udało się taką atmosferę zbudować. Dla kolejnych dyrektorów – i dla mnie też – wielkim wyzwaniem było i jest jej pielęgnowanie.

Jest pani związana ze szkołą od wielu lat, zrealizowano tu różne projekty – nie tylko artystyczne, ale dbano również o wygląd i stan placówki. A jednak, mówiąc o projekcie termomodernizacji, podkreśla pani, że jest to projekt przełomowy. Dlaczego?

Od kiedy zostałam dyrektorem, czyli od 2009 r., w szkole zrealizowanych zostało bardzo wiele projektów i wydarzeń artystycznych: audycji, koncertów, konkursów szkolnych i międzyszkolnych. Oprócz tego w każde ferie, wakacje i dłuższe przerwy w nauce w szkole odbywały się drobne remonty finansowane ze środków Centrum Edukacji Artystycznej oraz naszych oszczędności. Wszystkie te prace miały niewielki zasięg – jak choćby malowanie pomieszczeń, bieżące naprawy w budynku i na terenie ogrodu szkolnego, remont łazienek czy remont oraz wyposażenie sekretariatu i gabinetu dyrektora. Z programu ministra kultury „Infrastruktura szkolnictwa artystycznego" udało się zakupić nowe szafy do sal lekcyjnych, ławki, krzesła dla uczniów. Z tego samego projektu kupione zostały nowe instrumenty i pomoce dydaktyczne. Jednak dopiero zakwalifikowanie do projektu „Termomodernizacja placówek szkolnictwa artystycznego" otworzyło przed nami szansę na kompleksowy remont szkoły. Projekt obejmował wykonanie izolacji pionowej i poziomej budynku, wymianę instalacji elektrycznej i przeciwpożarowej, montaż energooszczędnego oświetlenia, wymianę okien i dachu, wykonanie generalnego remontu elewacji i odnowienie wnętrz oraz montaż pompy ciepła. Przede wszystkim zależało nam na montażu nowoczesnego ogrzewania, bo dotychczas szkoła była ogrzewana elektrycznie – było to bardzo drogie i tak mało efektywne, że zimą nie wystarczało do zapewnienia odpowiedniej temperatury w salach lekcyjnych i pomieszczeniach administracyjnych. Termomodernizacja i wykonane w jej zakresie prace to przełom – ten remont był pierwszym tak wielkim od 45 lat.

Co się konkretnie w szkole zmieniło i jak to wpływa na codzienną pracę pedagogów i uczniów?

Najistotniejszą zmianą jest możliwość utrzymania stałej, optymalnej temperatury we wszystkich pomieszczeniach szkolnych. Jest to ważne z punktu widzenia komfortu nauki i pracy, ale również dla zapewnienia właściwej eksploatacji instrumentów stojących na stałe w salach – pianin, fortepianów, instrumentów perkusyjnych. W szkole wykonano izolację pionową i poziomą budynku, co diametralnie zmieniło warunki pracy w salach położonych na najniższej kondygnacji – sale są dogrzane i właściwie wentylowane. Bardzo istotną częścią projektu było zainstalowanie stałych łączy internetowych we wszystkich pomieszczeniach dydaktycznych. Ich wykonanie zbiegło się w czasie z nauczaniem zdalnym i od razu okazało się niezwykle potrzebne. Z uwagi na grubość zabytkowych murów w szkole nie ma możliwości korzystania z internetu bezprzewodowego i nie byłoby możliwości prowadzenia zdalnych lekcji ze szkoły.

Szkoła przy Grochowskiej to swego rodzaju enklawa na mapie Grochowa i całej Pragi. Pięknie położony zabytkowy budynek, otulony parkiem, z bogatą historią.

eprasa.pl f5a6496d03

Przed termomodernizacją

Po termomodernizacji

Szkoła mieści się w neorenesansowym budynku, który powstał najprawdopodobniej na ruinach pałacu zbudowanego w latach 1774–1779 jako podmiejska rezydencja prymasa Polski Michała Poniatowskiego – brata króla Stanisława Augusta. W 1833 r. budynek i dobra, zwane Grochowem Pierwszym lub Małym, zostały zakupione przez Karola Augusta Osterloffa, szwedzkiego przemysłowca. W latach 1835–1840 dokonał on gruntownej modernizacji dworku, a po śmierci Karola Augusta dworek przeszedł w ręce jego syna, Fryderyka Krystiana. Od 1878 r. dworek często zmieniał właścicieli, przez co znacznie podupadł. Na początku XX w. niszczejący budynek i 85 ha otaczającego go terenu kupiło Towarzystwo Akcyjne Fabryki Machin i Odlewów K. Rudzki i S-ka. W sierpniu 1915 r., zaraz po ustąpieniu Rosjan z Warszawy, w dworku powstała jedna z pierwszych w stolicy polskich szkół – uczyła w niej i pisała swoje utwory Pola Gojawiczyńska. 13 lipca 1916 r. na werandzie dworku inżynier Aleksander Około-Kułak, członek Komitetu Obywatelskiego, odczytał proklamację o przyłączeniu Grochowa do Warszawy.

Od 1918 r. w pałacyku znajdował się sierociniec prowadzony przez metodystów. Budynek nie był remontowany przez dłuższy czas, niszczał i w końcu w 1924 r. postanowiono go rozebrać. Wówczas w jego obronie wystąpił Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Grochowa. Na początku 1925 r. została powzięta uchwała rady miejskiej – dworek grochowski postanowiono w stanie nienaruszonym zachować do 1931 r., do czasu setnej rocznicy powstania listopadowego. W tym samym roku mocno zniszczony już budynek został zakupiony przez posła Andrzeja Wierzbickiego, który w latach 1925–1927 przeprowadził jego gruntowny remont. W 1935 r. została zamontowana barokowa balustrada balkonu, pochodząca prawdopodobnie z osiemnastowiecznej warszawskiej kamienicy. Podczas ostatniej wojny dworek grochowski nie uległ poważniejszym zniszczeniom.

W 1945 r. powrócił do niego Andrzej Wierzbicki, a w 1946 r. miasto przejęło nieruchomość. W 1956 r. dokonano kolejnej restauracji budynku – z przeznaczeniem na dom poprawczy dla dziewcząt. Cały teren został wówczas otoczony wysokim parkanem oddzielającym go od ogólnodostępnego parku.

Pod koniec lat 60. XX w. dworek stał się siedzibą Muzeum Azji i Pacyfiku. Od 1974 r. do dziś w budynku mieści się Państwowa Szkoła Muzyczna I st. nr 3 im. Juliusza Zarębskiego.

Przyjęło się, że w dworku grochowskim 25 lutego 1831 r. mieściła się kwatera główna sztabu wojsk polskich pod dowództwem gen. Józefa Chłopickiego. Do upowszechnienia tej legendy przyczynił się Stanisław Wyspiański, który we wnętrzach dworku umieścił akcję swojego dramatu „Warszawianka", najkrwawsza zaś bitwa powstania listopadowego – bitwa pod Olszynką Grochowską – została upamiętniona na obrazie Wojciecha Kossaka. Kule armatnie, znalezione na polu bitwy, zostały wmurowane w elewację dworku grochowskiego. Tamte wydarzenia przywołują i utrwalają w pamięci potomnych rekonstrukcje bitwy pod Olszynką Grochowską, które odbywały się na terenie szkoły.

Przykład państwa szkoły pokazuje, że projekt termomodernizacji to inwestycja nie tylko w szkolnictwo artystyczne, ale też w cenne zabytki. Mówiąc o korzyściach płynących z tego projektu, wspomniała pani o oszczędnościach. Czy faktycznie zauważa już pani oszczędności w szkolnym budżecie?

Mamy ekologiczne i oszczędne ogrzewanie poprzez pompę ciepła, mamy nowy dach i nowe okna. W rachunkach bieżących widzimy drobne zmiany, spodziewamy się więc w rozliczeniu rocznym oszczędności płynących z tytułu użytkowania nowoczesnych systemów.

Rozpoczyna się właśnie kolejny rok szkolny. Jakie plany i wyzwania mają państwo na kolejne miesiące?

Termomodernizacja objęła tylko dworek grochowski – budynek szkoły. Na najbliższy czas mamy w planie dokończenie renowacji całego zespołu parkowo-pałacowego, na którego terenie znajduje się nasza siedziba. Z ministerialnego programu „Infrastruktura szkolnictwa artystycznego" udało się nam pozyskać fundusze na gruntowny remont ogrodzenia – prace rozpoczną się niebawem. Naszym marzeniem jest powrót do zwykłego stacjonarnego nauczania. Chcielibyśmy znów pracować z naszymi uczniami na lekcjach w szkole, organizować koncerty – w tym największy doroczny koncert uczniów, który odbywa się w S1, czyli Studiu Koncertowym Polskiego Radia, i angażuje absolutnie całą społeczność szkolną. Takie wydarzenia są niezwykle istotne dla utrzymywania wyjątkowej atmosfery, jaka charakteryzuje naszą szkołę – miejsce, z którym jesteśmy wszyscy bardzo związani, a które teraz stało się prawdziwą perełką wśród szkół artystycznych. ●

eprasa.pl f5a6496d03

Termomodernizacja Archiwów Państwowych

19
LOKALIZACJI

22
BUDYNKI

17
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

77,6 TYS. M²
ODNOWIONEJ POWIERZCHNI

WZROST OSZCZĘDNOŚCI ENERGETYCZNEJ O **OK. 60%**

OCHRONA CENNEGO ZBIORU ARCHIWALNEGO

BEZPIECZNE WARUNKI PRZECHOWYWANIA I UDOSTĘPNIANIA AKT

ZACHOWANIE DZIEDZICTWA KULTUROWEGO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ

PRZYJAZNE MIEJSCE PRACY

MNIEJSZA EMISJA CO^2 I NIŻSZE ZUŻYCIE ENERGII

POPRAWA STANU ŚRODOWISKA

Projekt pt. **„Kompleksowa modernizacja energetyczna wybranych obiektów archiwów państwowych w Polsce"** jest realizowany w ramach poddziałania 1.3.1 **„Wspieranie efektywności energetycznej w budynkach użyteczności publicznej"** Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020.

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Unia Europejska Fundusz Spójności

eprasa.pl f5a6496d03

Termomodernizacja Archiwów Państwowych pomoże w zabezpieczeniu najważniejszych dla dziejów Polski dokumentów

Konstytucje, traktaty, akty, dokumenty urzędowe, akta stanu cywilnego, ulotki, plany, mapy, gazety, dzienniki, stare fotografie, plakaty, nagrania, filmy – dziedzictwo dokumentacyjne wytworzone na przestrzeni dziejów stanowi znaczną i istotną część krajowych dóbr kultury. To właśnie ze źródeł historycznych kolejne pokolenia Polaków czerpią wiedzę o swojej przeszłości. Przechowywaniem i zabezpieczeniem tych świadectw, a także dokumentów, które pomagają Polakom w wyjaśnianiu bieżących spraw, zajmują się Archiwa Państwowe.

Już wkrótce 22 budynki Archiwów Państwowych – w Częstochowie, Gdyni, Jeleniej Górze, Kaliszu, Katowicach, Kielcach, Legnicy, Lesznie, Łodzi, Olsztynie, Opolu, Otwocku, Pile, Przemyślu, Siedlcach, Toruniu, Warszawie i we Wrocławiu – przejdą kompleksową modernizację energetyczną. Prace obejmą ocieplenie budynków, wymianę okien i drzwi, modernizację instalacji ogrzewania i ciepłej wody, wymianę oświetlenia na energooszczędne, przebudowę systemów grzewczych na bardziej efektywne energetycznie i ekologiczne, budowę lub przebudowę systemów wentylacji, systemów chłodzących i klimatyzacji, wykorzystanie odnawialnych źródeł energii oraz wprowadzenie systemów zarządzania energią. Dzięki tym działaniom nasze narodowe zbiory archiwalne będą mogły być przechowywane w odpowiednich, bezpiecznych warunkach.

W budynkach Archiwów Państwowych w całej Polsce przechowywane są najważniejsze dokumenty z dziejów państwa polskiego – zbiory praw, traktaty, umowy, spuścizny wybitnych Polaków, fotografie i filmy z przełomowych wydarzeń czy dokumentacja wytwarzana przez władze, urzędy, samorządy i instytucje.

– Realizacja projektu termomodernizacji przez Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu świadczy o głębokim zrozumieniu potrzeby zachowania fundamentalnych dla polskiej kultury i historii dokumentów, źródeł będących bezcennym świadectwem naszych dziejów – podkreśla naczelny dyrektor Archiwów Państwowych dr Paweł Pietrzyk. – Ich właściwe zabezpieczenie rozpoczyna się od zapewnienia odpowiednich warunków przechowywania w magazynach Archiwów Państwowych. Materiały te mogą ulec zniszczeniu nie tylko wskutek działania ognia, wody, zagrożeń biologicznych czy urazów mechanicznych, lecz również ze względu na działanie nieodpowiedniej temperatury, wilgotności, światła widzialnego i UV. Dlatego projekt ten jest tak kluczowy dla ochrony i zabezpieczenia unikatowych dokumentów przed zniszczeniem.

Rozwiązania przyjmowane w nowoczesnym budownictwie archiwalnym stawiają na przyjazność obiektów dla środowiska: zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych oraz większą energooszczędność budynków. Termomodernizacja sprawi także, że nowocześnie zaprojektowane i odpowiednio wyposażone budynki archiwów staną się miejscem spotkań i wydarzeń kulturalnych, a same obiekty – w tym czytelnie – będą lepiej przystosowane dla osób ze szczególnymi potrzebami.

– Termomodernizacja zapewni więc nie tylko odpowiednie warunki do przechowywania najważniejszych dokumentów w historii kraju oraz ich właściwego zabezpieczenia dla przyszłych pokoleń, lecz także przyniesie oszczędności i rozwiązania bardziej przyjazne dla społeczeństwa i środowiska. Realizacja projektu, wraz z prowadzonymi równolegle nowymi inwestycjami, otwiera nowy rozdział w kwestii poprawy infrastruktury Archiwów Państwowych w Polsce –podsumowuje naczelny dyrektor Archiwów Państwowych dr Paweł Pietrzyk. ●

Dodatek powstał we współpracy z Ministerstwem Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu | 55/0821/F

eprasa.pl f5a6496d03

Czy wiesz, że...

- W Archiwach Państwowych, działających w 75 lokalizacjach w kraju, przechowywanych jest obecnie ponad 360 km akt, powstałych od XII w. do czasów współczesnych. W samych tylko budynkach, które przejdą termomodernizację, znajduje się ponad 144 km akt. To niemal tyle, ile wynosi odległość w linii prostej między Krakowem a Rzeszowem!

- Aby dokumenty mogły być bezpiecznie przechowywane przez długie lata, temperatura w pomieszczeniach magazynowych nie powinna być wyższa niż 18°C, przy wilgotności nie większej niż 50 proc. Realizacja projektu termomodernizacji umożliwi utrzymywanie tych optymalnych warunków dla bezpieczeństwa zbiorów.

- Jeśli tworzysz drzewo genealogiczne i szukasz swoich przodków, możesz sięgnąć do aktów urodzeń, ślubów i zgonów przechowywanych w Archiwach Państwowych. To proste! Wystarczy skorzystać z serwisu Szukaj w Archiwach (szukajwarchiwach.gov.pl). W tej cyfrowej przestrzeni Archiwów Państwowych można dziś znaleźć prawie 50 mln skanów różnorodnych źródeł historycznych.

- W Archiwach Państwowych przechowywane są nie tylko cenne źródła historyczne, lecz także świadectwa czasów obecnych. W ramach akcji „Archiwum pandemii" Archiwa Państwowe zachęcają do przekazywania materiałów związanych z pandemią koronawirusa. Efektem akcji będzie wyjątkowa kolekcja dokumentacji z „czasów zarazy" stworzona przy pomocy całego społeczeństwa. Dołączyć do akcji może każdy.

- Jeśli posiadasz w domu stare zdjęcia, dokumenty i pamiątki i nie wiesz, jak zabezpieczyć swoje zbiory, zajrzyj na stronę projektu „Archiwa rodzinne Niepodległej" (archiwarodzinne.gov.pl). Znajdziesz tam poradnik dotyczący domowego zabezpieczania zbiorów. Możesz też je przekazać do wybranego Archiwum Państwowego. ●

TERMOMODERNIZACJA SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH I ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

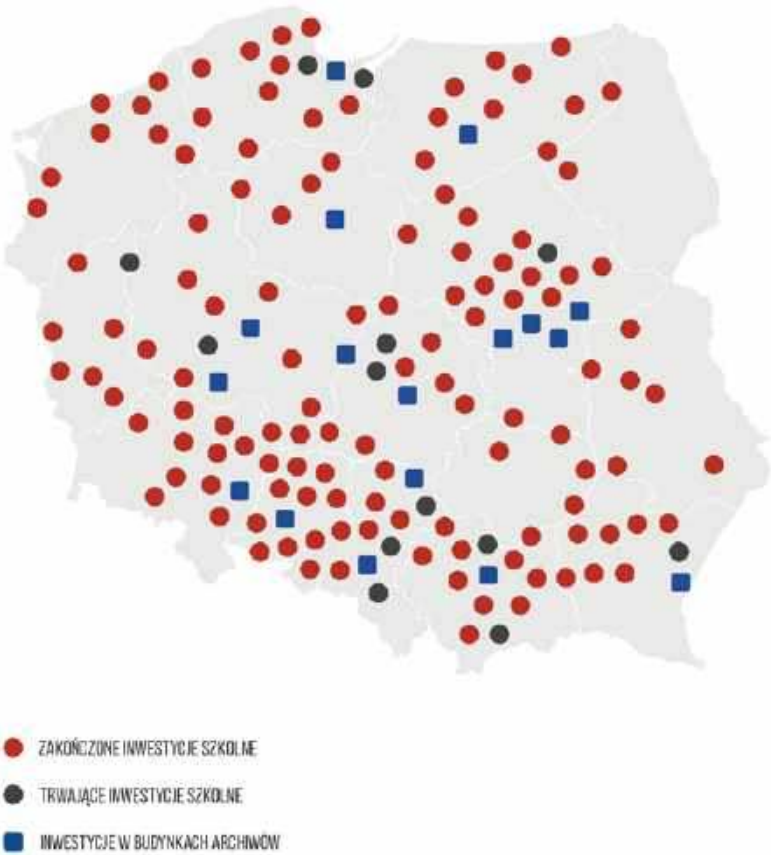

eprasa.pl f5a6496d03

InfoNina – robot, który wspiera klientów Alior Banku

Ma na imię InfoNina i już od pół roku rozmawia z klientami Alior Banku. Pomaga w załatwianiu wielu spraw bankowych i znacznie skraca czas obsługi. Ma miły głos, ale jest robotem. Obecnie prawie 10 proc. wszystkich klientów kontaktujących się z infolinią banku rozmawia wyłącznie z nim. Bank stale dodaje nowe umiejętności oraz rozszerza zakres i tematykę spraw, które pomoże rozwiązać voicebot – bez konieczności rozmowy z doradcą. Od niedawna są to także informacje o produktach i usługach

Asystentka głosowa InfoNina zadebiutowała w Alior Banku w lutym tego roku. Po półrocznym okresie intensywnych prac bank rozszerzył możliwości czatbota. Klienci mogą już uzyskać odpowiedzi na temat interesujących ich produktów i usług bezpośrednio w kontakcie z InfoNiną. Rozwiązanie skraca czas oczekiwania oraz usprawnia komunikację w infolinii. Zadaniem wirtualnej asystentki jest przeprowadzenie wstępnej rozmowy z klientem, podczas której przekierowuje rozmówcę do odpowiedniego konsultanta – bez konieczności wybierania tematu tonowo. To skróciło czas obsługi o 10 proc.

– Zakres rozmów przeprowadzanych przez InfoNinę obejmuje najczęściej zadawane pytania. Stale rozszerzamy umiejętności i bazę odpowiedzi wirtualnej asystentki. Takie rozwiązanie umożliwia znacznej części rozmówców uzyskanie potrzebnych informacji praktycznie od ręki. Komfort obsługi jest dla nas bardzo ważny, szczególnie w dobie pandemii, podczas której kanały zdalne stały się nie tylko najbezpieczniejszą, ale i najpopularniejszą formą kontaktu. Jesteśmy przekonani, że voicebot InfoNina odpowie na oczekiwania naszych klientów – mówi Mariusz Piturecki, dyrektor Działu Digitalizacji i Rozwoju Sztucznej Inteligencji w Alior Banku.

SZEROKI WACHLARZ MOŻLIWOŚCI

InfoNina sprawnie przeprowadza klientów przez proces autoryzacji w systemie bankowości internetowej, aplikacji mobilnej oraz w kantorze walutowym. Osoby logujące się po raz pierwszy otrzymują informacje związane z aktywacją bankowości internetowej, instalacją i aktywacją aplikacji mobilnej, jak również wskazówki dotyczące ustawienia bezpiecznego hasła. Wirtualna asystentka pomoże także aktywować logowanie do aplikacji mobilnej przy użyciu biometrii. InfoNina wspiera klientów w przypadku problemów z autoryzacją w kanałach elektronicznych banku – wytłumaczy, jak odblokować dostęp, odzyskać dane, a w razie potrzeby wskaże, w jaki sposób zmienić dotychczasowe hasło.

– Mając na uwadze kierunek rozwoju kanałów zdalnych oraz oczekiwania klientów, naszym celem jest zapewnienie im jak największego komfortu podczas interakcji z bankiem. Mamy nadzieję, że doceniają oni zalety InfoNiny, nie tylko szybkość dostępu do informacji, lecz również wysoką jakość obsługi – dodaje Jakub Burakowski, dyrektor Działu Obsługi Zdalnej Alior Banku.

Wirtualna asystentka informuje również o zmianach w regulaminach banku wprowadzonych w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Klienci otrzymają również odpowiedzi na pytania związane z transakcjami we wpłatomatach. Obecnie Alior Bank pracuje nad rozszerzeniem zakresu udzielanych informacji oraz uruchomieniem pierwszych procesów transakcyjnych, w ramach których klienci – w bezpieczny sposób – będą mogli zrealizować wybrane dyspozycje, zlecając je głosowo InfoNinie.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 27/0821/F

eprasa.pl f5a6496d03

Jak cyfrowo rozwijać cały region

Z Kamilem Mikulskim, starszym analitykiem w obszarze zakłóceń środowiska informacji w Instytucie Kościuszki, organizatorem Cybersec CEE Regions & Cities, które odbędzie się od 1 do 3 września w Krynicy-Zdroju, rozmawia Maksymilian Wysocki (wGospodarce.pl)

To chyba nadal niełatwe czasy dla takich spotkań jak konferencja Cybersec, jeśli liczymy na obecność ważnych postaci, nawet w wirtualnej przestrzeni. Kogo możemy się spodziewać?

Kamil Mikulski: Rzeczywiście czasy nie są łatwe w kontekście organizacji tego typu wydarzeń. Właśnie dlatego, ze względu na sytuację pandemiczną, nie tylko w Polsce, ale i na świecie (pamiętajmy bowiem, że jest ona różna w różnych krajach), Cybersec CEE Regions & Cities w Krynicy-Zdroju ma charakter hybrydowy. Ograniczenia prawne związane z liczbą osób na powierzchnię wydarzenia, zróżnicowane obostrzenia w różnych krajach, z których pochodzą lub w których pracują nasi goście, powodują, że duża ich część będzie obecna na forum online. Jednak w Krynicy obecnych będzie fizycznie wielu znamienitych gości, jak chociażby prezydent RP Andrzej Duda, Janusz Wojciechowski, komisarz UE ds. rolnictwa i rozwoju wsi, wiceminister gospodarki Litwy Eglė Markevičiūtė, Witold Kozłowski, marszałek województwa małopolskiego, liczni przedstawiciele administracji rządowej i samorządowej, ale także część gości z zagranicy. Online natomiast będziemy gościć np. minister ekonomii cyfrowej i transformacji Togo Cinę Lawson czy europosłankę Marinę Kaljurand. Wśród gości dołączających zdalnie będzie także sekretarz generalny Ministerstwa Spraw Zagranicznych Estonii Jonatan Vseviov, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Łotwy Andris Pelšs, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rumunii Cornel Feruță czy koordynator projektu europejskiej chmury Gaia-X w niemieckim Ministerstwie Gospodarki i Energii Marco-Alexander Breit.

Podobnie jest z przedstawicielami sektora prywatnego czy spółek skarbu państwa, część będziemy gościć osobiście, część online.

Hasło tegorocznego Cybersec to „W kierunku cyfrowego świata opartego na wartościach". Co to właściwie znaczy?

Cyberbezpieczeństwo i odporność cyfrowa Europy zależą w dużym stopniu od zaangażowania jej regionów i miast, a także od realnego partnerstwa publiczno-prywatnego. Od początku pandemii COVID-19 gwałtownie rośnie liczba i skala cyberataków, co jest przedmiotem politycznej troski nie tylko w Polsce, lecz także na forum Unii Europejskiej czy NATO. To właśnie od współpracy należy rozpocząć transformację cyfrową opartą na bezpieczeństwie i wartościach. Dlatego też hasło przewodnie wydarzenia brzmi „W kierunku cyfrowego świata opartego na wartościach", a jego celem jest nakierowanie dyskusji na temat wartości związanych z nowymi technologiami i odpowiedzialnością w cyfrowej rzeczywistości, ale też na rozmowę o tym, gdzie są granice cyfryzacji, np. w kontekście prywatności, danych osobowych etc. To temat, który będzie nam towarzyszył przez co najmniej kilka najbliższych lat, ale dyskusję należy zacząć już teraz. Powoli staje się to także temat kluczowy w skali globalnej – w obliczu coraz częstszego wykorzystywania technologii przez reżimy autorytarne zasadne i palące stają się pytania o to, jak projektować i wykorzystywać technologie, by nie stanowiły one zagrożenia dla praw jednostki, praw człowieka czy procedur demokratycznych.

Jakie tematy będą poruszane podczas tegorocznego forum?

W ciągu trzech dni przedstawione i omówione zostaną cztery ścieżki tematyczne.

Pierwsza to „Cyfrowe Trójmorze" – ponieważ region Trójmorza jest szczególnie narażony na nowe formy agresji i ingerencji oparte na technologii cyfrowej. Ale są też szanse na wykorzystanie transformacji cyfrowej do napędzania innowacji oraz wzmacniania własnych interesów w UE. I właśnie o tym chcemy i powinniśmy rozmawiać.

Druga to „Cyfrowa przestrzeń" – ponieważ jednym z priorytetów UE jest obecnie wspieranie konkurencyjności gospodarek regionalnych. Kluczowym projektem jest sieć Cyfrowych Centrów Innowacji, którego celem jest zapewnienie europejskim firmom korzyści z transformacji. Jest to szczególnie ważne z punktu widzenia małych i średnich przedsiębiorstw, które nierzadko pozostają w tyle za swoimi większymi konkurentami. Nowa strategia w zakre-

eprasa.pl f5a6496d03

sie danych zakłada utworzenie osobnego rynku danych, umożliwiającego swobodny przepływ informacji pomiędzy sektorami. Zebranie danych z różnych stron wraz z ustanowieniem ich powszechnej dostępności w ramach przestrzeni cyfrowej nie tylko wzmocni innowacyjność regionu, ale też doprowadzi do wzrostu gospodarczego oraz poprawy jakości usług publicznych. Transformacja cyfrowa jest jednym z kluczowych elementów, ponieważ pomoże regionom i miastom w rozwiązywaniu bieżących wyzwań i przygotowaniu społeczeństwa na nową, cyfrową przyszłość, którą należy kształtować już tu i teraz.

Jednostki samorządu terytorialnego (JST) są coraz częściej narażone na cyberataki, które utrudniają, a czasem wręcz paraliżują ich działanie. Co więcej, podlegające im instytucje, takie jak szpitale powiatowe, mogą się stać również celem cyberprzestępców, których działania w skrajnych wypadkach mogą doprowadzić do zniszczenia mienia, długotrwałego paraliżu funkcjonowania czy – jak w przypadku cyberataku na szpital w Düsseldorfie w 2020 r. – nawet śmierci pacjenta. Stąd trzecia ścieżka – „Cyberbezpieczeństwo administracji samorządowej", w której poza dyskusjami prowadzić będziemy warsztaty praktyczne dla administracji samorządowej, i także tutaj – zarówno onsite, jak i online.

I w końcu ostatnia ścieżka tematyczna, „Krynica goes digital", część poświęcona bieżącym tematom z zakresu gospodarki, energetyki i klimatu, obronności czy nowoczesnego prawa. A wszystko to zdeterminowane czasami pandemicznymi, które mocno wpłynęły na kierunki rozwoju i przyspieszyły w niektórych sektorach gospodarki i życia społecznego przemiany, w tym cyfryzację.

Jakie są cele tegorocznego forum?

Odbyć szeroką dyskusję o palących problemach rzeczywistości, która nadeszła w czasie pandemii. Obrać kierunki w kontekście rozwoju cyfrowego regionu w sektorze zarówno publicznym, jak i prywatnym i spróbować znaleźć między nimi nie tylko synergię, lecz swego rodzaju partnerstwo, w celu wspólnego przygotowania i wdrożenia kolejnych etapów cyfryzacji. Oczywiście w formie bezpiecznej i przy zachowaniu wspomnianych wcześniej wartości, ustaleniu granic, wytyczeniu ścieżek.

Czy po pandemicznym szoku cyfryzacja nadal jest ważna, czy zainteresowanie nią jednak osłabło?

Pandemia przyspieszyła pewne procesy, także te związane z cyfryzacją. Choćby w zakresie outsourcingu usług czy cyfryzacji usług publicznych. W pierwszym przypadku następuje wzrost tendencji do przenoszenia usług na zewnątrz, o czym w tym roku mówiło głośno choćby Asseco. Pandemia z jednej strony wymusiła weryfikację wielu procesów wewnętrznych, z drugiej zweryfikowała dostawców, dzięki czemu zostały zbudowane trwalsze relacje. W związku z tym choćby sama kwestia redukcji kosztów wymusza procesy cyfryzacji. Nowoczesne technologie cyfrowe mają bardzo duży wpływ na konkurencyjność oraz innowacyjność gospodarki. Dlatego cyfryzacja w sferze życia publicznego ma tak ogromne znaczenie, ponieważ jest ona wskaźnikiem poziomu rozwoju społeczno-gospodarczego państw. Zwiększony udział produktów i usług w cyfrowym państwie oznacza konieczność dostosowania systemów i usług po stronie podmiotów gospodarczych, m.in. w zakresie komunikacji, np. z klientami, czy dystrybucji informacji. Znakomitym przykładem są wdrażane rozwiązania, takie jak e-faktura, które pozwalają na cyfrowy obieg dokumentów i ich dystrybucję. A to tylko jedna ze zmian, które zawdzięczamy cyfryzacji.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f5a6496d03

Ktoś może powiedzieć, że w obecnej sytuacji – pandemii, kryzysu na granicy z Białorusią, zajęciu Afganistanu przez talibów, a także Polskiego Ładu oraz Green Dealu i transformacji energetycznej – cyfryzacja powinna zejść na dalszy plan i ustąpić miejsca trudniejszym sprawom. A może jest ważnym elementem każdego z tych problemów?

Cyfryzacja odgrywa ogromną rolę w każdym z wymienionych przypadków. Choćby w zakresie komunikacji, przetwarzania informacji, ich pozyskiwania etc. Choć jednocześnie jest i zagrożeniem, choćby w zakresie fake newsów czy cyberataków na osłabioną gospodarkę, administrację publiczną czy infrastrukturę krytyczną. Tym bardziej nasz region, przecież także bardzo narażony na te wszystkie wyzwania, powinien być liderem w obszarze zmian i wzorem dla krajów, które pan redaktor wymienił. Mało tego, w przyszłości to może być także istotne z punktu widzenia biznesowego, gdyż kształtując region jako lidera w tym obszarze, budujemy mocną pozycję wyjściową dla firm z tego regionu w kontekście przyszłości czy rozwoju w zakresie cyfryzacji.

Polski Ład, bezpieczeństwo europejskie – w jakim obszarze administracji nie możemy odpuszczać cyfrowej transformacji?

Znów odwołam się do pandemii. Wymusiła ona także i na administracji centralnej, i samorządowej zmiany w podejściu do cyfryzacji, przyspieszyła ten proces. To obszar, który trzeba mocno wspierać, jednocześnie ułatwiający codzienność obywatelom. To jeden aspekt. Kolejny to bezpieczeństwo europejskie. Coraz częściej zdarzają się cyberataki na infrastrukturę krytyczną, na razie w największej skali lokalnie czy regionalnie, ale jest to coraz częściej narzędzie także nacisku politycznego. Nie można nie wspomnieć tutaj o generowaniu fake newsów i wpływaniu w ten sposób na procesy społeczne, podziały, a nawet wybory. To kolejny element wspólnej walki Unii Europejskiej czy NATO o bezpieczeństwo regionu. Do tego dochodzi element konkurencyjności naszej gospodarki czy gospodarek regionu Trójmorza w Unii Europejskiej, ale także poza nią. Innowacyjność, nowe technologie, cyfryzacja procesów to elementy, które uczynią nas bardziej konkurencyjnymi na światowych rynkach. To także istotne z punktu widzenia gospodarki.

W jakich sektorach gospodarki powinniśmy najbardziej „pilnować" cyfryzacji?

Na to pytanie nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, bo gdyby pochylić się nad każdym ważniejszym, wszystkie wymagają dużej uwagi i konsekwencji w procesie cyfryzacji. Biorąc jednak pod uwagę choćby kontekst geopolityczny, trzeba duży nacisk położyć na sektor energetyczny czy przemysł. Stąd właśnie duża reprezentacja tego sektora na naszym wydarzeniu i chęć podjęcia dyskusji kierunkowych w tym zakresie.

> Nowoczesne technologie cyfrowe mają bardzo duży wpływ na konkurencyjność oraz innowacyjność gospodarki. Dlatego cyfryzacja w sferze życia publicznego ma tak ogromne znaczenie, ponieważ jest wskaźnikiem poziomu rozwoju społeczno-gospodarczego państw

Technologia odgrywa też coraz większą rolę w kontekście obronności...

Nowoczesne siły zbrojne bazują na błyskawicznej wymianie jak największej ilości informacji, jednocześnie jednak postępująca cyfryzacja naraża je na nowy rodzaj zagrożeń. W 2008 r. włamanie do sieci i systemów amerykańskich sił zbrojnych doprowadziło do kradzieży ważnych informacji, a w 2016 r. rosyjscy hakerzy zhakowali aplikację używaną przez ukraińskich artylerzystów, co pomogło ich zlokalizować i zneutralizować. Przykłady te pokazują, że cyfryzacja jest już wszechobecna na współczesnym polu walki i bez niej nie można wyobrazić sobie dzisiaj obronności.

Czy pana zdaniem Polska ma jeszcze szansę stać się Doliną Krzemową Europy?

Polski potencjał rośnie szybko, a historia zna przypadki, gdy kraje łączące różne regiony bardzo na tym korzystały. I nie ma aż takiego znaczenia choćby budowa fabryki Intela w Niemczech, a nie w Polsce. Jako kraj mamy ogromny potencjał w kapitale ludzkim, który wspiera i powinien wspierać jeszcze mocniej sektor publiczny i prywatny. Regionalnie i lokalnie widać coraz więcej inwestycji w technologie oraz innowacje, administracja samorządowa upatruje w tym coraz częściej przewagę swojego regionu, wybierając konkretne zagadnienia gospodarki, które chce wspierać. Spójrzmy choćby na województwo małopolskie, które z jednej strony jest jednym z centrów innowacji w Polsce, miejscem powstania i pracy nad innowacjami dla młodych przedsiębiorstw, z drugiej jest obszarem inwestycji lokalnych, regionalnych, ale także globalnych graczy choćby z rynku IT. Ponadto Małopolska jest jednym z najatrakcyjniejszych regionów Polski dla inicjatyw z sektora technologii kosmicznych. Utworzenie inkubatora Europejskiej Agencji Kosmicznej oraz Centrum Technologii Kosmicznych przy Akademii Górniczo-Hutniczej świadczy zarówno o zainteresowaniu podmiotów z Małopolski technologiami kosmicznymi, jak i o rozwoju know-how oraz niezbędnego środowiska biznesowego. A mówimy tylko o Małopolsce, pamiętajmy, że inne regiony również upatrują ogromne szanse w nowych technologiach i innowacji. Ponadto w Polsce w ten obszar inwestuje coraz więcej firm z sektora prywatnego, ale także administracja rządowa zwiększa coraz bardziej zainteresowanie i inwestycje w tym obszarze. Podsumowując – to jest możliwe, ale to też zależy od partnerstwa publiczno-prywatnego, o którym mówiliśmy na początku. I to także będzie ważnym elementem rozmów w Krynicy.

eprasa.pl f5a6496d03

Cybersec CEE Regions & Cities w Krynicy

W dniach 1–3 września 2021 r. odbędzie się międzynarodowe wydarzenie Cybersec CEE: Regions & Cities, podczas którego uczestnicy będą rozmawiać na temat lokalnych, regionalnych, a także globalnych wyzwań związanych z cyberbezpieczeństwem, transformacją cyfrową, obronnością czy energetyką

Cyberbezpieczeństwo i odporność cyfrowa Europy zależą od zaangażowania jej regionów i miast, a także od realnego partnerstwa publiczno-prywatnego. To właśnie tak należy rozpocząć transformację cyfrową opartą na bezpieczeństwie i wartościach, dlatego też motywem przewodnim wydarzenia jest „W kierunku cyfrowego świata opartego na wartościach". Jak podkreślają organizatorzy, czyli Instytut Kościuszki, hasło przewodnie nakierowuje dyskusję na temat wartości związanych z nowymi technologiami i odpowiedzialnością w cyfrowej rzeczywistości. Zwłaszcza w kontekście coraz większej skali wrogich zachowań w cyberprzestrzeni, co jest przedmiotem politycznej troski nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, a co jest ważnym tematem dyskusji także na forum Unii Europejskiej czy NATO.

W związku z tym w ramach wydarzenia zostały stworzone cztery ścieżki tematyczne.

DIGITAL SPACES, CZYLI M.IN.:

Oprogramowanie jako narzędzie masowych ataków – największe zagrożenie cyfrowej przyszłości? Złośliwe oprogramowanie zalewa internetowy czarny rynek, a cyberataki kosztują obecnie światową gospodarkę więcej niż terroryzm – i nic nie wskazuje na to, aby miało się to zmienić w najbliższej przyszłości. Jak możemy zapobiec ofensywnemu wykorzystywaniu luk w oprogramowaniu?

Europejskie przestrzenie danych – pomiędzy cyfrowym a geograficznym Trójmorzem. – Przetwarzanie danych może być wykorzystane do wspierania innowacji, zwiększenia wzrostu gospodarczego, poprawy jakości usług publicznych i usprawnienia zarządzania. Celem tego formatu jest omówienie roli współpracy regionalnej i licznych korzyści dla regionów, jakie mogą wyniknąć z utworzenia europejskich przestrzeni danych.

DIGITAL THREE SEAS, CZYLI M.IN.:

Bliskie spojrzenie na potencjał i wyzwania krajów EŚW w erze nowych i przełomowych technologii. – W ciągu najbliższych dwóch lat NATO ma nadzieję uruchomić Akcelerator Innowacji Obronnych (DIANA), którego celem będzie pobudzenie i złączenie potencjału innowacyjnego wszystkich 30 krajów, w tym 12 z Europy Środkowo-Wschodniej. Jak region powinien budować swój technologiczny ekosystem, aby wnieść wkład w działania NATO?

Cyber made in three seas – potencjał technologiczny regionu dla bezpiecznej transformacji cyfrowej. – Region Trójmorza ma w sobie pełno niewykorzystanego potencjału. Zastanówmy się, jak możemy go wykorzystać, aby umożliwić transformację cyfrową w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, a także zwiększyć perspektywy gospodarcze i społeczne regionu.

CYBERBEZPIECZEŃSTWO ADMINISTRACJI SAMORZĄDOWEJ, CZYLI M.IN.:

Budowanie zdolności cyberbezpieczeństwa samorządów. – Cyberataki na Urząd Gminy Kościerzyna, Urząd Gminy w Lututowie, a także Urząd Marszałkowski w Krakowie pokazują, że problem cyberbezpieczeństwa w samorządach narasta i wymaga skoordynowanych działań. W jaki sposób jednostki samorządu terytorialnego mogą budować swoje cyberbezpieczeństwo?

Samorząd terytorialny w krajach EŚW wobec fake news – Szczególna rola jednostek samorządu terytorialnego oraz administracji publicznej dla zdrowego funkcjonowania państwa oparta jest w dużej mierze na obiegu rzetelnych i prawdziwych informacji. Jak pracownicy samorządów mogą rozpoznawać i reagować na dezinformacje i manipulacje informacjami?

KRYNICA GOES DIGITAL (WE WSPÓŁPRACY Z WOJEWÓDZTWEM MAŁOPOLSKIM), CZYLI M.IN.:

Małopolska XXI w. Technologie kosmiczne szansą na skok rozwojowy regionu. – Utworzenie inkubatora Europejskiej Agencji Kosmicznej oraz Centrum Technologii Kosmicznych przy Akademii Górniczo-Hutniczej świadczy o zainteresowaniu technologiami kosmicznymi, a także o rozwoju know-how oraz niezbędnego środowiska biznesowego. Jaka jest przyszłość przemysłu kosmicznego w Krakowie?

NATO-EU. Nowa koncepcja strategiczna sojuszu. – Ciągle ewoluujący krajobraz zagrożeń podkreśla konieczność pogłębienia współpracy na linii NATO–Unia Europejska. W tym kontekście wiele może zależeć od powodzenia tzw. kompasu strategicznego. W jakim kierunku powinna rozwijać się współpraca w ramach Sojuszu?

Nowe technologie cyfrowe a środowisko. – Czwarta rewolucja technologiczna obiecuje postęp na niespotykaną dotąd skalę, m.in. w obszarze sztucznej inteligencji, czy 5 i 6G. Jak nowe technologie mogą wpłynąć na postępujące zmiany klimatyczne? Czy narzędzia cyfrowe mogą powstrzymać negatywne trendy?

eprasa.pl f5a6496d03

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI*

W drodze do fikcji

Urodziłem się w Zielonej Górze. Mieście spokojnym i raczej niekojarzącym się z przestępczością ani tym bardziej ze zbrodnią. Do czasu. Przyznaję, przyczyniłem się do tego, że Zielona Góra może być postrzegana inaczej. A to za sprawą trylogii z komisarzem Igorem Brudnym w głównej roli. Mowa o „Piętnie", „Sforze" i „Cherubie".

Zanim trafiłem ze swoim bohaterem na stare śmieci, pierwszy raz wspomniałem o rodzinnym mieście sześć lat temu, w debiutanckim „Kodzie Himmlera". To była ledwie migawka, bo większość wydarzeń rozgrywała się w Europie lub dalej.

W „Drodze do piekła" zaprowadziłem czytelników do Nowego Jorku – miasta, które nigdy nie zasypia i, zwłaszcza nocą, gdy jest oświetlone od poziomu ulicy po szczyty wysokościowców, dostarcza niesamowitych bodźców. W dwóch tomach „Radykalnych" – political fiction, w którym islam zaczyna przejmować kontrolę nad Europą – przeszedłem przez Hiszpanię (od półwyspu La Manga), przez Murcję, Barcelonę, Pireneje, do Paryża, a potem Berlina. Zahaczyłem też o Polskę. Ale na dłużej zatrzymał mnie w kraju dopiero Brudny.

Prowadząc kryminalne śledztwa, komisarz przemieszcza się autentycznymi ulicami, trafia w rozpoznawalne lokalizacje. Już w „Piętnie" pojawiają się też charakterystyczne bachusiki – figurki, na które można się natknąć w przeróżnych punktach (dziś jest ich 57). Całe to wykonane w brązie towarzystwo przypomina o winiarskich tradycjach Zielonej Góry. Odwołuje się do Bachusa, którego nie mogło zabraknąć tam, gdzie uprawia się winorośl i urządza winobrania.

W realu na bachusiki można się natknąć m.in. w palmiarni, która w książce stała się miejscem zbrodni, a dwie figurki dosłownie zostały wplątane w akcję. I to w dość makabryczny sposób.

Prowadząc śledztwa, Brudny dociera również do znanej zielonogórskiej winnicy i nad zakola Odry.

Jeśli ktoś chciałby pójść śladami komisarza, nie powinien mieć problemów z odnalezieniem przedstawionych w trylogii lokalizacji, ale musi to zrobić we własnym zakresie. Nic mi nie wiadomo o organizowanych przez miasto wycieczkach tropem Brudnego (uśmiech).

Zanim napisałem pierwszą książkę, sporo czasu spędziłem poza krajem. Wyjechałem w ramach studenckiego programu Erasmus. Wcześniej, w poszukiwaniu zarobku, na rok wylądowałem w Irlandii. Z czasem przeniosłem się do Anglii, po drodze zahaczając o Francję. W Hiszpanii podjąłem studia, równocześnie pracując, bo przecież musiałem się utrzymać. A potem, w ramach studenckiej wymiany, przeniosłem się na uniwersytet w Charleston w Południowej Karolinie. Kolejnym przystankiem był Nowy Jork, gdzie miałem znajomych. Tam już pracowałem, m.in. na budowach wysokościowców. Po powrocie do Polski zostałem dziennikarzem „Gazety Lubuskiej", następnie rzecznikiem prasowym koszykarskiego klubu Stelmet Zielona Góra (grał wtedy w Eurolidze), by na koniec zdecydować: jadę do Norwegii popracować na słynnych platformach wiertniczych. Kiedy na potrzeby tego wyjazdu robiłem parę potrzebnych kursów, pozostały czas wykorzystałem na napisanie pierwszej książki.

Każda podróż, którą odbyłem, była inspirująca. Dużo dali mi spotykani po drodze ludzie, zwłaszcza poznani na norweskich platformach. Do takiej pracy najmują się przeróżne postaci, z całego świata. Pełny społeczny przekrój: od wypalonych artystów czy lekarzy, którzy nie chcą dyżurować na okrągło, po skruszonych przedstawicieli półświatka. W czasie dwutygodniowej zmiany, kiedy stale przebywa się razem i pracuje po kilkanaście godzin dziennie, można usłyszeć wiele niesamowitych historii. Wyjątkowa jest też sceneria. Wydawnictwo namawia mnie, by wykorzystać ją w kolejnej książce. Na razie proponuję czytelnikom wyjazd na pozornie sielską polską wieś, gdzie thrillerowa „Matnia" (wyd. Czarna Owca) zaciska się wokół nieświadomej niczego bohaterki.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autor kryminałów, thrillerów i powieści political fiction*

Fot. Materiały prasowe; archiwum prywatne

eprasa.pl f5a6496d03

SŁODKO-SŁONY

Kasza owsiana

ANNA MONICKA

Jedni jesień czują w kościach, ja przewiduję jej rychłe nadejście brzuchem. I nie chodzi o bóle wrzodowe, chociaż kiedyś i tak bywało, ale o nagłą zmianę smaków. Najpierw nachodzi mnie coraz częściej ochota na gorącą i pachnącą herbatę, która może nie istnieć latem, kiedy to popijam najchętniej miętę, rumianek i inne ziołowe napary. Potem nagle, tak z dnia na dzień, na śniadanie zachciewa mi się miski kaszy albo płatków. Jakieś resztki z zimy zawsze mam w szafce, więc na zaspokojenie pierwszego głodu wystarczy, a potem trzeba się ruszyć do sklepu.

Lubię szperać w kaszach. Mama nauczyła mnie od małego je jeść. Na szczęście nie katowała mnie manną na mleku, tylko zawsze na wywarze warzywnym. Kaszami faszerowało się u nas warzywa, gołąbki, jedną z ulubionych zup był i jest krupnik, a kultowym letnim daniem obiadowym kasza gryczana ze zsiadłym mlekiem, a niedawno wróciłam do ulubionych w dzieciństwie makaroników z kaszy krakowskiej z koprem – rosół z nimi jest wybitnym dziełem sztuki.

Dzisiaj dzieciaki niechętnie jedzą kaszę, ja podpijałam z garnka wodę po perłowej czy pęczaku. Nic dziwnego, że ciągnie mnie do półek z kaszami w sklepach, zawsze wynajduję przy okazji jakieś nowinki, które natychmiast sprawdzam na własnej skórze.

Nie zawiodły mnie chia (przypomina nieco żabi skrzek, ale jest świetna do deserów, zwłaszcza owocowych galaretek i musów) ani komosa, czyli quinoa (gotuje się ją jak ryż, ale jest znacznie bardziej wyrazista w smaku; bardzo pożywny dodatek do sałatek warzywnych, dobra baza do farszu). Rozsmakowałam się w płatkach gryczanych, a ostatnio w kaszy owsianej, która jest znacznie lepsza niż zwykła owsianka i o niebo lepiej wygląda – to nie brązowawy kit, ale ładne, pełne kulki.

O zaletach ziarna owsa nie trzeba chyba nikomu opowiadać, jest najzdrowszym chyba zbożem (lekkostrawne białko, wartościowe tłuszcze i węglowodany, błonnik, a także mnóstwo witamin z grupy B oraz pierwiastków: wapnia, magnezu, sodu, potasu, miedzi). Do tego ma świetny smak, który nie wymaga właściwie żadnych przypraw poza szczyptą soli. Wypróbujcie zresztą sami – talerz takiej kaszy na śniadanie i nie chce się jeść do późnego popołudnia.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Myszołów na autostradzie

O tym, jak szybko i w jak innowacyjny sposób zwierzęta potrafią dostosować sposób zdobywania pożywienia do nowych warunków stworzonych przez człowieka, świadczy przykład myszołowów i autostrad.

Zapewne wiele osób miało okazję w tegoroczne wakacje zauważyć duże, drapieżne ptaki, siedzące nieruchomo na siatkach ogradzających autostradę. To myszołowy zwyczajne *Buteo buteo*, ptaki drapieżne o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do ok. 110 cm.

Tradycyjnym środowiskiem łowieckim myszołowów są tereny otwarte: urozmaicone lasami i zadrzewieniami pola i łąki, wśród których wypatrują zdobyczy – gryzoni, owadów, jaszczurek itp. Jeżeli w takim terenie widzimy na niebie krążącego z wolna, szerokoskrzydłego drapieżnika, na ogół jest nim myszołów i najczęściej to jego głos – nieco miauczące, wysokie „piiije" – dobiega z wysokości.

Pojawienie się autostrad stworzyło nową niszę, którą zajęły właśnie myszołowy. Zjawisko to już dekady temu ujawniło się w Niemczech – po pierwsze, jest to kraj, który od dawna ma rozwiniętą sieć autostrad, po drugie, w Niemczech zamieszkuje najliczniejsza w Europie populacja tego gatunku ptaka. Myszołowy nauczyły się, że zamiast polować, wystarczy siąść na ogrodzeniu autostrady i czekać, aż któreś z aut potrąci jakieś stworzenie. Wystarczy wtedy sfrunąć z siatki, podnieść martwą już zdobycz lub urwać kawałek z większego zwierzęcia – myszołowy korzystają bowiem również z padliny – i wrócić na czatownię. Oczywiście jeżeli myszołów nie jest dość szybki, sam staje się ofiarą.

Na niektórych odcinkach sylwetkę przycupniętego myszołowa można dostrzec co nawet kilkaset metrów, co świadczy zarówno o tym, że jest to opłacalny i kuszący sposób zdobywania pożywienia, jak i o tym, że na autostradach ginie bardzo dużo zwierząt, przeważnie tych drobnych, których pędząc, nawet nie zauważamy.

Im dalej na zachód w Polsce, im bliżej pionierskiej w tym zakresie populacji niemieckiej, tym częściej obserwuje się taki właśnie sposób polowania myszołowów. Można więc przypuszczać, że mamy do czynienia z naśladowaniem i uczeniem się. A że autostrady są u nas drogami nowymi, wskazuje to jednocześnie, jak szybko zwierzęta potrafią się uczyć.

eprasa.pl f5a6496d03

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wojna przez pośrednika

Prowokacje graniczne zwykle poprzedzają wydarzenia na większą skalę, dlatego są tak niebezpieczne

Przypada właśnie 82. rocznica prowokacji gliwickiej. Niemcy przebrani za polskich powstańców śląskich weszli na teren swojej, bo niemieckiej, radiostacji w Gliwicach, sterroryzowali obsługę stacji, nadali komunikat, że radio jest zajęte przez Polaków, zastrzelili jednego z polskich Ślązaków, podrzucili zwłoki zamordowanych niemieckich więźniów i wszystko to rozgłosili na falach eteru oraz sfilmowali. Dwa dni później, 1 września 1939 r., mógł Hitler zakomunikować światu, że to Polska rozpoczęła wojnę, ale napadnięci Niemcy już od godz. 4.45 odpowiadają ogniem.

Graniczna prowokacja białoruska z emigrantami, określana słusznie jako wojna hybrydowa, to być może także preludium do czegoś większego. Na razie chodzi o destabilizację polskiej granicy, wywołanie politycznego zamętu i mobilizację agentury w kraju przeciwnika. Ta nie zawiodła. Uzbrojona w poselskie i senatorskie immunitety próbowała przełamać kordon polskich strażników broniących granicy przed nielegalnymi emigrantami. Wydawało się, że „polska" opozycja nie jest już w stanie niczym nas zaskoczyć, a jednak. Wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka: „Byli tacy żołnierze, którzy wykonywali rozkazy; żeby Wojsko Polskie do tego stopnia upadło?", Władysław Frasyniuk o Straży Granicznej: „wataha psów", „śmieci". Bartosz Kramek i Paweł Kasprzak: „Jedźmy na granicę i obalmy te zasieki". Piotr Maślak, dziennikarz Tok FM, przyrównuje Straż Graniczną do formacji SS. Posłowie Michał Szczerba, znany z ataków na policję, oraz Dariusz Joński, gigant intelektu lokujący powstanie warszawskie w 1988 r., próbują na siłę dostarczyć emigrantom dwa śpiwory. Nie zabrakło też posłanki Klaudii Jachiry, którą – przypomnę – wsadził do parlamentu w celu wywoływania skandali Grzegorz Schetyna, i posła Franciszka Sterczewskiego, który biegiem leciał do emigrantów. Na czele tej razwiedki jak zwykle „Gazeta Wyborcza" domagająca się od polskich żołnierzy niewykonywania rozkazów. Jest tych przykładów zaprzaństwa, zdrady narodowej zbyt dużo do cytowania w felietonie. Nasz największy problem to antypolska, antypaństwowa opozycja gotowa zlikwidować także Wojsko Polskie.

W 1982 r. Goebbels stanu wojennego Jerzy Urban, chcąc zakpić sobie z Amerykanów wspomagających solidarnościową opozycję, zorganizował pomoc dla bezdomnych w Nowym Jorku. Ekipa „Dziennika Telewizyjnego" długo pokazywała biedotę śpiącą w kartonach. Aż usłyszała od jednego z bezdomnych, że niczego nie potrzebuje od komunistycznej Polski, tym bardziej że jest mu tu bardzo dobrze, że lubi spać w kartonie. W życiu jest tak, że ludzie często świadomie i z godnością przyjmują na siebie ciężki los, także zawód związany z ciągłym ryzykiem, w tym śmierci, jak żołnierze. I nie dzieje im się krzywda. Rtm. Witold Pilecki dobrowolnie dał się skazać na Auschwitz. Znalazł się tam, aby pomagać innym i opisać światu ich gehennę – zbrodnie Niemców.

Nie wierzę w chęć udzielenia pomocy emigrantom na białoruskiej granicy przez totalną opozycję. Stanecka chciała ponoć przekazać leki. Jakie, komu, ile? Licytowanie się na humanitarne gesty i jednoczesne oskarżanie rządu o okrucieństwo, bezduszność to typowe zachowanie opozycji. Pognali tam, gdyż już widzieli upadający rząd, który wykorzystuje wojsko do prześladowania biednych emigrantów. Tymczasem tych biednych emigrantów stać było na opłacenie samolotu do Mińska i zapłatę dla organizatorów przerzutu. Wiemy, że otrzymują od białoruskich pograniczników wodę, chleb i papierosy. (Notabene „pogranicznik" to rosyjskie słowo, które nie może być używane w stosunku do polskich żołnierzy Straży Granicznej). W tej białoruskiej prowokacji emigranci nie są ofiarami, bo niewykluczone, że działają wspólnie z Białorusinami. Jedni zgromadzeni po stronie białoruskiej absorbują uwagę Straży Granicznej, mediów i polskiej agentury wpływu, inni w tym czasie przedzierają się nielegalnie przez polską granicę.

Wspomniane argumenty prowadzą do konkluzji, która zawiera się w łacińskiej sentencji mówiącej „Volenti non fit iniuria", czyli chcącemu nie dzieje się krzywda. Emigranci sami wybrali swój los, sami zdecydowali się na wędrowną poniewierkę, nie mają więc prawa domagać się pomocy, choć wiemy, że ją otrzymują, a polski konwój humanitarny nadal nie ma prawa wjazdu na Białoruś. Jakby specjalnie utrudnia się nawiązanie bliższego kontaktu z emigrantami, stąd możliwa jest też inna interpretacja. Jeżeli emigranci są pod ochroną już nie białoruskich pograniczników, ale sił specjalnych Białorusi, to może dostają od nich pieniądze za destabilizowanie granicy, tworzenie na granicy szerokiego, wzbogaconego o polską opozycję i jej antyrządowe media frontu walki z Polską. Niewykluczone, że biorą udział w wyznaczonym Białorusi przez Rosję scenariuszu wojny hybrydowej. A ta zakłada prowadzenie wojny także przez pośrednika, czyli Białoruś Łukaszenki.

www.wojciechreszczynski.pl

Reklama | 35/0621/F

Numer 77

mistrz, który bił Niemców jak chciał

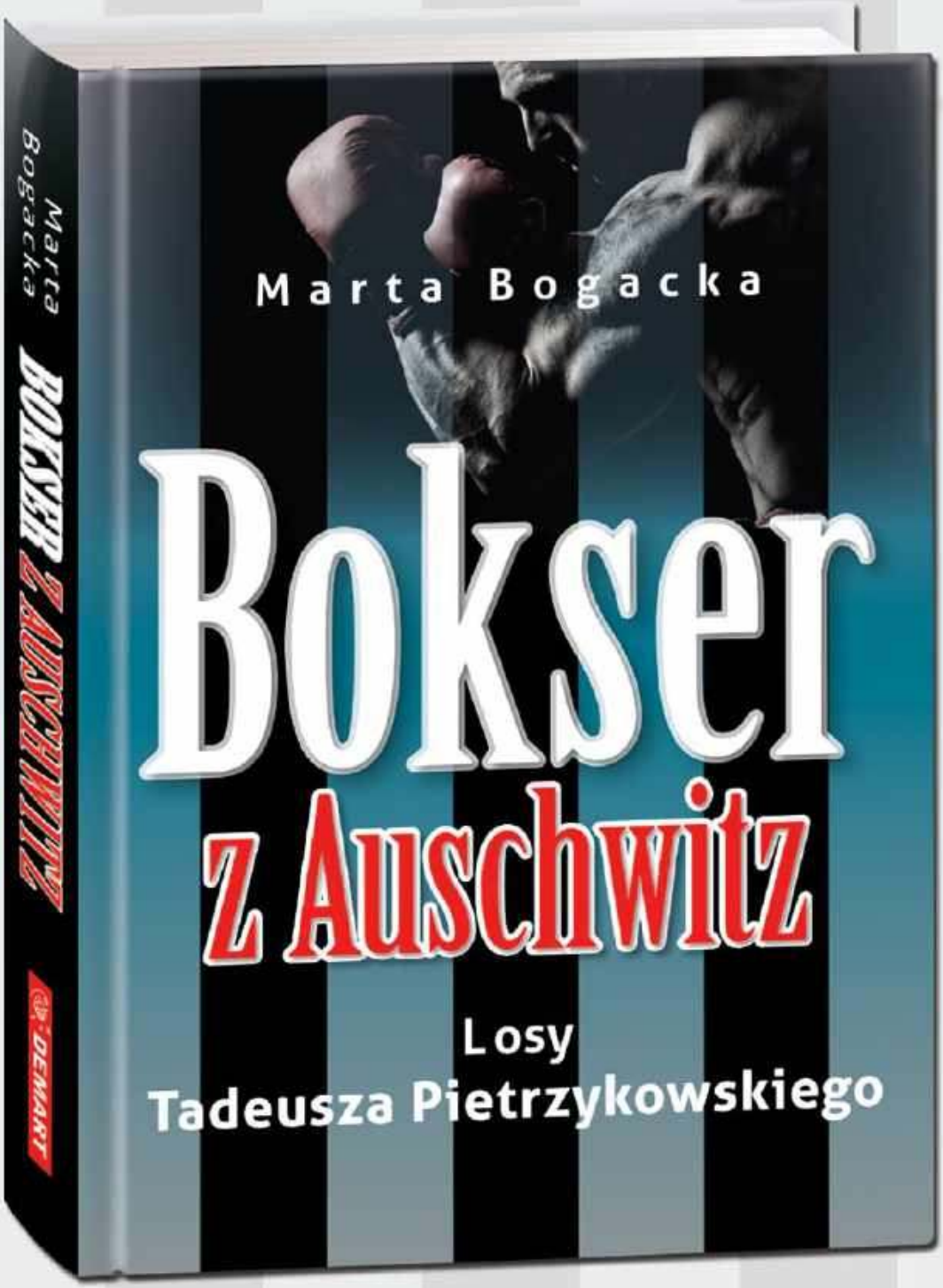

DEMART

www.demart.com.pl

eprasa.pl f5a6496d03

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kultura nowej oktawy

Aleksander Nalaskowski

Obejrzałem sopocki festiwal piosenki politycznej. Umiejętnie podprowadzane komentarze telewizyjnych polityków udających w TVN dziennikarzy pozwalały interpretować każdą piosenkę w nowym ośmiogwiazdkowym zapisie nutowym. To taka nowatorska odmiana oktawy. Pozbawiona półtonów i dlatego nieco trybalna, aby nie rzec prymitywna. Podobnie jak większość zaprezentowanych tam utworów. Ale muzyka to kwestia gustu i daleki jestem od krytykowania odbiorców tego, co nazywają swoją muzyką.

Najważniejsze i tak były manifesty i manifestacje, których nośność i zawartość muszą smucić. Bo były żenujące. Sprytni manipulatorzy wplątali w propagandę polityczną muzyków, których zadaniem jest kompletnie coś innego niż udział w nowych wersjach akademii pierwszomajowych. Oni mają pamiętać, który klawisz w którym momencie nacisnąć i w tym mają być wirtuozami na miarę oczekiwań swoich odbiorców. Zawiódł ich instynkt samozachowawczy, bo występując z chórkiem fałszujących rozmaitych Morozowskich, Kraśków czy Olejników, zrazili do siebie jakąś część potencjalnych nabywców płyt, a to daje się przeliczyć na złotówki. Jeśli nie oni, to chociaż ich menedżerowie powinni wiedzieć, że mustrują się na nieuchronnie tonącym statku. Szkoda tych pogubionych i ogłupionych estradowców. Do historii sztuki przechodzi się dziełami, a nie polityką. Z ośmiu gwiazdek da się ułożyć niewiele tekstów piosenek.

Szkoda tych pogubionych i ogłupionych estradowców. Do historii sztuki przechodzi się dziełami, a nie polityką

Przy okazji można było zobaczyć, usłyszeć, odczuć hejt na Kukiza. Z estrady poleciały zawczasu przygotowane aluzyjki, ukryte inwektywy, słowa nieukrywanej pogardy. Kukiza tam nie było, szerokim i transmitowanym na całą Polskę frontem atakowano człowieka w tym momencie bezbronnego, posła, niegdyś ulubieńca tej publiczności. Scena ochoczo brzmiała szyderstwem. Jakie to komunistyczne! Nikt bowiem tak bardzo jak komuniści nie potrafił nienawidzić odszczepieńców, tych, którzy nie chcieli śpiewać w chórze. Przykład Trockiego jest tutaj znamienny. Nienawiść do Kukiza była kluczem wiolinowym chyba wszystkich sopockich partytur.

Sumując tylko dwa wydarzenia – festiwal Owsiaka i festiwal TVN, oba kierowane do młodego odbiorcy, jestem niemal przekonany, że prędzej czy później dojdzie w Polsce do politycznej zbrodni. Z młodymi emocjami tak się nie igra, bo szybko wymykają się spod kontroli i niosą gdzie popadnie, ale zawsze w stronę krwi. I co wtedy powie Kraśko, Olejnik czy inny Morozowski? „To nie ja! Ja byłem tylko konferansjerem! To były takie żarty"? Co powie Owsiak, Okła-Drewnowicz, która przyklasnęła napaści na Sośnierza?

Co powie Tusk, który przyjechał do Polski zrobić uliczną rewoltę, ale szybko się przekonał, że to nie ta sama Polska, z której wyjechał „za chlebem", pozostawiając ją na pastwę politycznej amatorki, co to kotlecik wąchała?

Już nie pytam, gdzie są granice tego szaleństwa, bo takowe chyba nie istnieją. Zawsze może być głupiej, zawsze może być szkodliwiej, zawsze może być gorzej.

Hasło „wszystkie ręce na pokład" ma tutaj nader wyrazisty kształt. Widać to w kulturze uwikłanej w politykę tak bardzo, że sparaliżowanej. Sukces „Idy" pokazuje, jak można używać politycznego jokera z rękawa, aby ugrać Oscara, który już dawno nie jest złoty ani nawet tęczowy, ale bezczelnie czerwony. Kto żyw, biegnie krzyczeć ośmioma gwiazdkami. Aktorzy, pisarze, publicyści kulturalni, reżyserzy, plastycy, kabareciarze – niemal wszyscy stanęli po tej samej stronie, po której nie ma ani sztuki, ani wartości, ani rozwoju. Czy te masy mają rację? Zamiast odpowiedzi przywołam nieapetyczny żart: „Miliony much nie mogą się mylić – łajno jest smaczne". Na nieco innym poziomie mógłbym się odwołać do „Nosorożca" Ionesco...

Ważnym elementem kultury jest język. To nie tylko instrument przekazu, ale i trwania. Na tym polu „zmiany na lepsze" zaszły już bardzo daleko. Nasz nowy język został zredukowany do dwóch reguł. Pierwszą z nich jest obowiązek używania feminatywów. Co czyni go tak komicznym, jak język czeski w uszach Polaka. Ale ten śmiech jest już nie do zniesienia. Jest jak ten sam dowcip opowiadany bez przerwy przez namolnego uczestnika zakrapianej biesiady. Drugą regułą jest wprowadzenie językowych „lemparcizmów" do oficjalnego języka. Wielokrotnie tu przypominane osiem gwiazdek to tylko symbol tego, co zaakceptowaliśmy jako normę.

Nie wątpię jednak, że znajdą się literaci, którzy za pomocą tych ośmiu zamienników i feminatywów napiszą nowego „Pana Tadeusza" i dostaną za to nagrodę Nike, Paszport „Polityki" i nagrodę miasta stołecznego Warszawy.

eprasa.pl f5a6496d03

PRZEZ ŚWIETLIK

Deewolucja

Wiktor Świetlik

Przyznam, że nigdy nie miałem dość danych i wiedzy, by w jakiś poważny, a nawet lekki sposób wziąć udział w sporze ewolucjonistów z kreacjonistami, który choćby za oceanem był jednym z najważniejszych i najbardziej głośnych. Mam jednak wrażenie, że właśnie legnie teoria, która starała się pogodzić oba podejścia, a która wydawała mi się najbliższa, tłumacząca pochodzenie człowieka. Teoria inteligentnego projektu. Wybił mi ją z głowy w zeszłym tygodniu szereg polskich posłów.

Nawet jeśli człowiek był inteligentnym projektem, to przestał być. Nawet jeśli w wyniku ewolucji starał się być coraz bardziej przystosowany, to przestał się stawać. Nawet jeśli Dobry Bóg stworzył nas na swoje podobieństwo, to od pewnego momentu postanowił urządzić sobie z tego swojego pomysłu zabawę i parodię. Bo jak inaczej, mili czytelnicy, drodzy zaprzyjaźnieni księża i naukowcy, ludzie szkiełka i serca, możecie wytłumaczyć, że posłanka Jachira, która uważa, że „Polacy tak pomagają uchodźcom, jak kiedyś Żydom", jest posłanką. I jak uzasadnić, że posłem jest pan Sterczewski, który w ramach niesienia pomocy emigrantom (udręczonym przez Polskę na złość dobremu Łukaszence) biegał, przewracając się, w tę i we w tę przed pogranicznikami. Wcześniej zaś wymyślił ckliwą, ale w skrajnie oczywisty sposób nieprawdziwą historię Irakijczyka, którego on znalazł w rowie i mu pomógł. Wszystko to z kretesem przebija zachowanie posła Nitrasa i posłanki Muchy sprzed kilku lat podczas okupacji Sejmu, którzy – wydawało się – walnęli już o dno tak mocno, jak się da.

A da się dużo mocniej. Da się chociażby, legitymując się immunitetem poselskim, domagać od pograniczników, by przepuszczali przez granice Unii Europejskiej w miejscu, gdzie nie ma przejścia. Zapewne część świeżo upieczonych, a nawet bardziej doświadczonych posłów uważa już zapewne, że na widok ich legitymacji poselskiej morza powinny się rozstępować, jak przed narodem wybranym wiedzionym przez Mojżesza. Co ciekawe, wiarę w tak zbawczą moc immunitetu mają także zagorzali ateiści.

Ktoś tych ludzi wybiera. Oni nie tylko nas bawią, ale współdecydują o naszym bezpieczeństwie, ekonomii, życiu. Nikt normalny by się na to nie zgodził ani nikt inteligentny. Ale wygląda na to, że zaczynamy żyć w świecie nieinteligentnego projektu.

Odszedł Charlie Watts, opoka Stonesów

Adam Ciesielski

Świat muzyki żegna zmarłego 24 sierpnia w Londynie Charliego Wattsa. Słynny perkusista The Rolling Stones przez blisko sześć dekad objeżdżał świat. W Polsce ze Stonesami zagrał pięć razy: dwa koncerty 13 kwietnia 1967 r. w Sali Kongresowej, 14 sierpnia 1998 r. na Stadionie Śląskim w Chorzowie, 25 lipca 2007 r. na warszawskim Służewcu i 8 lipca 2018 r. na Stadionie Narodowym. Wielokrotnie bywał u nas na aukcjach koni arabskich.

Najstarszy ze Stonesów urodził się w 1941 r. w Londynie. Od dzieciństwa słuchał amerykańskiego jazzu, jego wzorami byli perkusiści Elvin Jones i Art Blakey. Zaczynał w zespołach rhythmandbluesowych, ale płyty jazzowe wydawał nawet, gdy był już (od 1963 r.) gwiazdą The Rolling Stones. Posługiwał się nader skromnym instrumentarium, jednak potrafił na nim wykreować niezawodny fundament rytmiczny legendarnego zespołu. Nie lubił fajerwerków – te zostawiał Jaggerowi i Richardsowi.

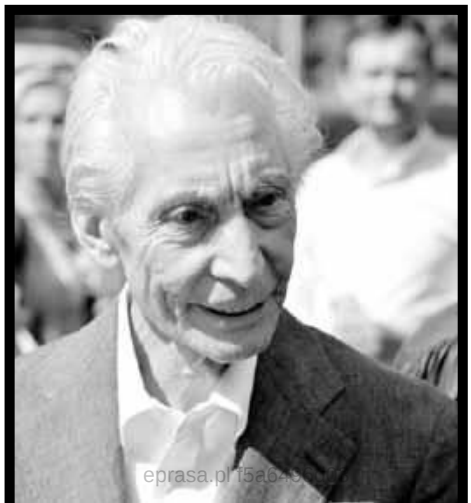

Fot. Grand Warszawski/Shutterstock.com

Spędzając z Mickiem i Keithem pół życia, zawsze mocno się od nich różnił. Na tle wyzywająco wystrojonych, szalejących przy mikrofonach frontmanów, spokojny, elegancko ubrany dżentelmen przy bębnach wyglądał na osobnika z innej planety. W przeciwieństwie do kolegów licytujących się na głośne romanse i afery narkotykowe Charlie, choć też miewał problemy z uzależnieniami, 58 lat wytrwał w jedynym małżeństwie z Shirley Ann Shepherd. Dochowali się córki, potem wnuczki i prawnuka. Dzielił z żoną pasje hippiczne, realizowane we własnej stadninie w hrabstwie Devon oraz na aukcjach koni arabskich za granicą, także w Polsce.

„Nigdy nie odpowiadałem stereotypowi gwiazdora rocka" – zwierzył się kiedyś. Kontrast, choćby tylko modelu życia i stylu bycia z wybujałym ego kolegów z estrady, mógł rodzić konflikty. Wybuchy się zdarzały, wydaje się jednak, że zdystansowany, nieco flegmatyczny charakter Wattsa moderował nastroje i cementował zespół. Tak jak rytm jego bębnów był opoką ich muzyki.

Żegnaj Charlie!

eprasa.pl/5a6

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Robak bezkarności

Jedyną karą, jaka spotyka V kolumnę, która działa u nas śmiało, jest „fala oburzenia w sieci”

Władysław Frasyniuk zaproszony do TVN24, aby wesprzeć intelektualnie przekaz, recenzował żołnierzy strzegących razem ze Strażą Graniczną polsko-białoruskiej rubieży: „...mam wrażenie, że to jest wataha psów, która otoczyła biednych słabych ludzi, tak nie postępują żołnierze, śmiecie po prostu...”. Najwyższe czynniki wyraziły dezaprobatę. Skierowano nawet sprawę do prokuratury.

Ryszard Makowski

Na granicę, gdzie rzeczywiście koczują biedni ludzie, których Łukaszenka oszukał, że przez Białoruś wiedzie szlak do Unii Europejskiej, ruszyła pielgrzymka parlamentarzystów, którzy, wymachując immunitetem, chcieli wykazać się „dobrym serduszkiem”. Jeden parlamentarzysta nawet próbował ominąć mundurowych bystrym zygzakiem. Ich rzekoma pomoc była na pokaz: śpiwór, kanapki, jakieś leki... Skąd wiedzieli, na co chorują uchodźcy... W każdym razie był to dobytek mieszczący się w reklamówce. Prawdziwym celem było sianie defetyzmu wśród obrońców granicy. Te osoby wzięły udział w wojnie hybrydowej przeciwko Polsce. One są znane z imienia i nazwiska.

Zaprzaństwo jest wszędzie traktowane z całą surowością. Ale nie u nas. My jesteśmy rozbrojeni instytucjonalnie. Nie mamy ani wymiaru sprawiedliwości, ani nie możemy wyrugować jątrzących mediów. „Fala oburzenia w sieci” to chyba trochę mało. Ponadto front poparcia w ramach V kolumny działa bez zarzutu i „polityczna małpiarnia” wyrasta na bohaterów. „Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy”. Robakiem, który toczy Polskę, jest bezkarność.

eprasa.pl f5a6496d03

Michał Korsun prezentuje:* *Jachira vs Frasyniuk: zaciekły pojedynek o miano „Pożytecznego idioty roku”

Wycinki z przeszłości

W tym roku minie równo 50 lat od podpisania przez Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Pol-Mot” licencyjnej umowy z Fiatem o współpracy technicznej i licencyjnej, w której efekcie na polskich drogach pojawił się Fiat 126. Sympatyczne, choć na dzisiejsze standardy dramatycznie małe autka, powstawały najpierw w Bielsku-Białej, a potem także w Tychach. W sumie w Polsce wyprodukowano ich ponad 3,3 mln egzemplarzy, z czego niemal 900 tys. na eksport. Pierwszy raz Polacy zobaczyli autko 22 lipca 1973 r. – i z tego czasu pochodzi znaczek pocztowy, który pokazujemy. Ostatnie zjechało z linii produkcyjnej w 2000 r. Po drodze było wiele modyfikacji, modeli, eksperymentów. I wspomnień, bo nie ma chyba Polaka, który w taki lub inny sposób by się z nim nie zetknął. Popularny maluch pojawił się nawet w jednym z odcinków „Misia Uszatka” jako nowy nabytek Cioci Chrum-Chrum. Miś i koledzy autko oczywiście nieco rozregulowali, a za karę wracali do domu pieszo.

I to było wychowanie!

(mk)

Kłopoty wiekuiste...

Ach któżby inny jeszcze umiał tak zobaczyć, ponazywać i urządzić nam tam potem, potem... te zaświaty...? Genialny reżyser i wizjoner. Poeta nad poety, urodzony i zmarły w Warszawie, rejent z Zamościa.

Leszek Długosz

Bolesław Leśmian (1877–1937)

Mają zmarli w niedzielę ten pośmiertny kłopot,
Że w obczyźnie cmentarza czują się – bezdomnie –
A lubią noc tę spędzać popod mgłą lub popod
Wiecznością, co się w jarach gęstwi nieprzytomnie.

Maria z Bzówka – wygody wspomina izdebne,
Słońce – w łóżku, wiatr – w sieni – i ogród macierzyn,
Gdzie było tyle w radość uchodzących ścieżyn,
A wszystkie takie – trafne i drzewom – potrzebne!...

Żebrak, co się zadławił na śmierć krztyną chleba –
Kijem niegdyś wędrownym obłędnie się babrze
W nieodgadle błękitnym – pełnym Boga – chabrze,
By zeń dla snu wiecznego wydłubać – źdźbło nieba.

Mnich, co po to byt ziemski tłumił bez szemrania,
By pędzić żywot wieczny w sposób nienaganny –
Kreśli palcem na próchnie list do panny Anny
Z życzeniami rychłego w kwiatach – zmartwychwstania.

Panna Anna udaje, że jest – w bezżałobie
I biorąc na kolana młodą mgłę – pieszczochę –
Ukradkiem z pajęczyny tka zwiewną pończochę
Dla brzozy, co tkwi boso na kochanka grobie.

A opodal – mniej więcej naprzeciw rozstaju,
We fraku bezrozumnie skąsanym przez szczura,
Na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju
Nieboszczyk Madaleński – prowadzi mazura.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl f5a6496d03

OD A DO ZYBERTOWICZ

Zakazać obrażania III RP!

Wielkie pieniądze robią wielkie wrażenie. Koszty samych żądanych w pozwie ogłoszeń z przeprosinami to co najmniej 600 tys. zł

Wiosną 2019 r. grupa 35 osób (obecnie 31, gdyż cztery zmarły) obejmująca opozycjonistów, którzy uczestniczyli w okrągłostołowych obradach, oraz ich spadkobierców złożyła pozew o ochronę dóbr osobistych przeciw memu mężowi. Chodziło o wypowiedź w debacie oksfordzkiej zorganizowanej dla młodzieży w Pałacu Prezydenckim z okazji rocznicy obrad okrągłego stołu. Padły wtedy m.in. słowa: „do dziś wielu obserwatorów i komentatorów okrągłego stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy po rozmowach okrągłego stołu, który powiedział, że podczas obrad okrągłego stołu władza podzieliła się władzą z własnymi agentami. I gdy uświadomimy sobie ten wymiar okrągłego stołu, to zupełnie inaczej obie strony powinny skonstruować swój wywód. I zabrakło mi tej świadomości historycznej".

Mąż w debacie wystąpił w roli tzw. jurora, a jego wypowiedź miała charakter komentarza eksperckiego. Chodziło o uświadomienie młodym, że każdy doniosły proces historyczny ma swoje ukryte wymiary. I często właśnie za kulisami ucierane są interesy i następuje podział wpływów.

24 sierpnia 2021 r. odbyła się kolejna wokanda procesu.

SLAPP I SLAPPECZEK…

Dlaczego o tym przypominam? Ostatnio w dyskursie, nie tylko prawniczym, hula skrót SLAPP (z ang. strategic lawsuit against public participation).

W skardze kasacyjnej RPO (z listopada 2019 r.) na rzecz stowarzyszenia, w którym działa aktywista Jan Śpiewak, czytamy, że „celem SLAPP jest nie tyle wygranie sprawy sądowej, lecz uciszenie krytycznych wypowiedzi oraz zapobiegnięcie kolejnym – poprzez stworzenie swoistego efektu mrożącego".

Praktykę powództw typu SLAPP potępił w rezolucji z 2014 r. Parlament Europejski. Wskazał przy tym, że ich charakterystyczną cechą jest wszczęcie lub grożenie wszczęciem postępowania sądowego nie z zamiarem wymierzenia sprawiedliwości, lecz w celu skłonienia osoby podejmującej tematy nieprawidłowych lub nielegalnych praktyk do autocenzury lub wyczerpania finansowego, moralnego lub psychicznego".

Niedawno Piotr Trudnowski, prezes Klubu Jagiellońskiego, na Twitterze zalinkował rozmowę OKO.press (z 9 sierpnia br.) z mec. Sylwią Gregorczyk-Abram, przedstawiającą się jako bojowniczka przeciw SLAPP-om, komentując: „Bo SLAPP-y pisowców ograniczają wolność słowa. SLAPP-y przeciw pisowcom wolności słowa bronią". Wkleił też wypowiedź prawniczki: „W imieniu 75 byłych opozycjonistów opozycji demokratycznej pozwaliśmy też doradcę Jarosława Kaczyńskiego prof. Andrzeja Zybertowicza. Na spotkaniu z młodzieżą, organizowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę, prof. Zybertowicz powiedział, że prawdą jest, co mówił Andrzej Gwiazda, że po 1989 r. władza podzieliła się stanowiskami ze swoimi agentami".

Tak się składa, że adwokatka, obok mec. Michała Wawrykiewicza, reprezentuje pozywających mego męża. Skąd wzięła aż 75 osób? No i mój mąż nie jest doradcą Jarosława Kaczyńskiego. Co w takiej sytuacji powiedziałby Zygmunt Freud?

W OKO.press Gregorczyk-Abram dodaje: „»Nasza« strona powinna też prowadzić spór za pomocą środków prawnych. Musi przejść z defensywy do ofensywy". A gdy dziennikarka pyta: „Jak osoby z kręgu władzy reagują na wasze pozwy? Czy w ogóle robią na nich wrażenie?". Prawniczka odpowiada: „Na pewno prof. Zybertowicz nie spodziewał się pozwu i mogło to na nim zrobić wielkie wrażenie".

Wielkie pieniądze robią wielkie wrażenie. Koszty samych żądanych w pozwie ogłoszeń z przeprosinami to co najmniej 600 tys. zł.

I jeszcze przypomnę, co mec. Wawrykiewicz powiedział Onetowi 10 maja 2019 r., gdy zapytano go o wysokość kary: „To niezbędne, bo skala naruszenia dóbr osobistych jest tak gigantyczna i dotyczy tak dużego grona osób otoczonych powszechnym szacunkiem i zasłużonych dla historii Polski, więc przeprosiny powinny mieć stosowny zasięg i rangę (...) A to, co powiedział pan Zybertowicz podczas debaty oksfordzkiej do młodzieży, było zdyskredytowaniem samej idei okrągłego stołu, wszystkich dokonań niepodległej Polski. Tak naprawdę, to była obraza całej III RP".

Ot i cała filozofia.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 23/0721/F

eprasa.pl f5a6496d03

Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

III edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

– JAK STWORZYĆ ODPOWIEDNIE WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO I OSIĄGNĄĆ ROZWOJOWY SUKCES

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Finansów
Ministerstwo Klimatu i Środowiska
Ministerstwo Rozwoju i Technologii
Ministerstwo Zdrowia – Patronat Honorowy Ministra Zdrowia
govtech Polska

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro
BAT POLAND
Dr. Schumacher Sp. z o.o.
PHILIP MORRIS POLSKA
VEOLIA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

Abbott
abbvie
AstraZeneca
Deloitte.
emitel
JTI
LIDL
Microsoft
VELUX

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

GAZETA BANKOWA – NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE
SIECI
wPolityce.pl
W POLSCE PL
wGospodarce.pl

eprasa.pl f5a6496d03

#SZCZEPIMYSIĘ i WYGRYWAMY

W LOTERII NARODOWEGO PROGRAMU SZCZEPIEŃ

Zarejestruj się na

www.pacjent.gov.pl

na swoim IKP lub zadzwoń pod 989

2 x 1 000 000 ZŁ

2 x TOYOTA C-HR

6 x TOYOTA COROLLA

6 x 100 000 ZŁ

60 x 50 000 ZŁ

720 x HULAJNOGA ELEKTRYCZNA SEGWAY

NAGRODY NATYCHMIASTOWE

500 ZŁ DLA CO 2000. OSOBY

200 ZŁ DLA CO 500. OSOBY

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

TOTALIZATOR SPORTOWY

Szczegóły i regulamin na www.gov.pl/szczepimysie/loteria. Okres promocyjny trwa od 1 lipca do 30 września 2021 r. Pula nagród natychmiastowych jest ograniczona i wynosi 52 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

OSTATNIA PROSTA! #SZCZEPIMYSIĘ

eprasa.pl f5a6496d03